

Dwutygodnik „Towarzystwa Solidarność”

# Pogląd



W numerze:  
**ROZMOWA  
Z MARIĄ KURECKĄ**

Grzegorz Ziętkiewicz  
Filipińska zmiana warty . . . . 1

ZLP po zjeździe  
Rafał Czekanek  
Rozgrywki gangsterów . . . . 11  
Janusz Rudnicki  
Po tamtej stronie  
„barykady” . . . . . 13

Anatol Wiśniewski  
Sprawiedliwość bez maski . . . 15  
Jak ci się siedziało? . . . . 18  
List z Polski . . . . . 22  
Maciej Radwan-Rybiński  
Prywatne rozmyślenia . . . . 24

Rozmowa z Marią Kurecką . . 27

## RECENZJE, OMÓWIENIA POLEMIKI

Wokół „Shoah”  
Same pytania . . . . . 38  
Shoah – zagłada . . . . . 40  
Kto kogo inspirował? . . . . 41  
Lanzmann i kilku innych . . . 42  
Ewa Czerwiakowska  
Sprovokowana bezradność . . 43

Jerzy Hoffmann  
Berlinale '86 . . . . . 46  
Jakub Jahn  
Lwów jest wszędzie . . . . . 50

György Dalos  
„1985” . . . . . 53

Andrzej Zwaniecki  
Śmierć premiera . . . . . 60

Jerzy Starski  
Zjazd KPZS – zmieniać nie  
zmieniając . . . . . 65

Robert Tof  
Powrót pilotów . . . . . 71

Krzyszyna Grzybowska  
Londyn i reszta świata . . . . 73

Z Rzymu . . . . . 76

Z Oslo . . . . . 78

Z Indii . . . . . 79

notatki . . . . . 80

Listy do redakcji . . . . . 83

Listy do redakcji . . . . . 84

Oddano do druku 22. 03. 1986 r.

Na okładce: Maria Kurecka i  
Günter Grass

# interlinie

Święta Wielkanocne. Czytelnikom życzymy więc wszystkiego najlepszego.

Tymczasem w Polsce i na świecie ostatnie dni przyniosły szereg nowych wydarzeń.

Krajowy "zjazd" neo-ZLP jest tematem publikowanych przez nas dwóch komentarzy; w jednym z nich Rafał Czekanek (str. 11) pisze, iż "masy związkowe, wykonały w wyborach pupilków władzy ludowej", ale "cała ta afera nie ma nic wspólnego z literaturą (...). Neo-ZLP jest karykaturą przedtem działającego stowarzyszenia."

X X X

"Radio szwedzkie podało wiadomość o zabójstwie premiera w godzinę po nadaniu tej informacji przez BBC" - czytamy w materiale Andrzeja Zwanieckiego zatytułowanym "Śmierć premiera". O Szwecji, będącej dotąd "wzorem otwartego i demokratycznego" kraju piszemy na str. 60.

Również zebrani w Moskwie na XVII zjeździe KPZS "delegacji" minutą ciszy uczcili pamięć zamordowanego Olofa Palme. Komentarz o tym, jak "zmieniać nie zmieniając" pióra Jerzego Starskiego zamieszczamy na str. 65.

Grzegorz Ziętkiewicz

# Filipińska zmiana warty

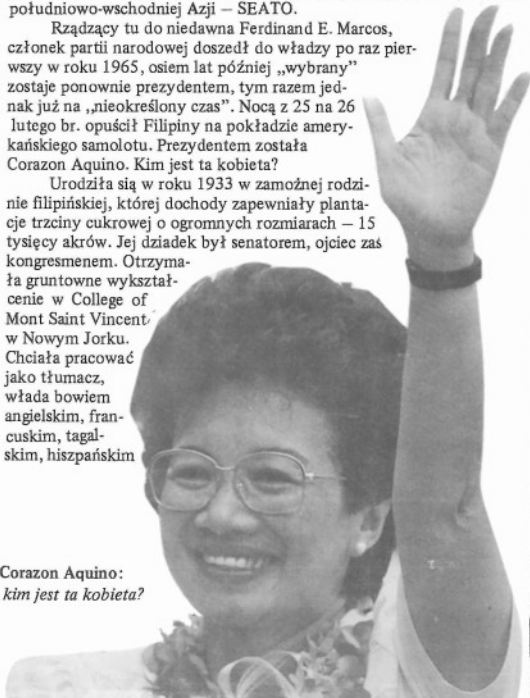
Żółty kolor, który przybrała pani Corazon Aquino, żółte chórągwie powiewające nad tłumem, który wyraża jej swoje – wydawać by się mogło – bezgraniczne poparcie, żółte kwiaty i stroje – w takiej tonacji ukazuje się światu w ostatnich tygodniach kraj, którego pełna nazwa brzmi Republika Filipin. Siedem tysięcy sto wysp, z tego 20 procent zamieszkałych przez 55 mln mieszkańców mówiących 88 językami, z których trzy uznane są za urzędowe – tagalski, angielski i hiszpański.

Filipiny odkryte w 1521 roku przez Magellana stanowiły od 1543 roku hiszpańską kolonię. W 1934 wywalczyły sobie autonomię; w latach 1942-44 pod okupacją japońską; wyswobodzone w roku 1945 przez armię amerykańską, w 1954 przystępują do paktu wojkowego południowo-wschodniej Azji – SEATO.

Rządzący tu do niedawna Ferdinand E. Marcos, członek partii narodowej doszedł do władzy po raz pierwszy w roku 1965, osiem lat później „wybrany” zostaje ponownie prezydentem, tym razem jednak już na „nieokreślony czas”. Nocą z 25 na 26 lutego br. opuścił Filipiny na pokładzie amerykańskiego samolotu. Prezydentem została Corazon Aquino. Kim jest ta kobieta?

Urodziła się w roku 1933 w zamożnej rodzinie filipińskiej, której dochody zapewniały plantacje trzciny cukrowej o ogromnych rozmiarach – 15 tysięcy akrów. Jej dziadek był senatorem, ojciec zaś kongresmenem. Otrzymała gruntowne wykształcenie w College of Mont Saint Vincent w Nowym Jorku. Chciała pracować jako tłumacz, władła bowiem angielskim, francuskim, tagalskim, hiszpańskim

Corazon Aquino:  
*kim jest ta kobieta?*



Z pracy podziemnej



NOWY PATRIOTYZM?

Otrzymałmyśy z Australii fragmenty listów, które pisał nie żyjący już Polak z Afganistanu do swoich przyjaciół. Będziemy je publikować w *Portowcu* w przekonaniu, że pogłębią naszą świadomość i doświadczenie w trwającej u nas walce ze złem i groźnymi niebezpieczeństwami.

Wpierw podajemy pełne brzmienie nekrologu oraz wspomnienie pośmiertne, które ukazało się w prasie polonijnej:

W dniu 4 lipca 1985 roku zginął walcząc z sowieckim najeźdźcą nasz przyjaciel śp. LECH ZONDEK gorący patriota, człowiek oddany duchem idei wolności i wizji Niepodległej Polski, aktywny działacz Konfederacji Wolnych Polaków i Grupy „Support for Solidarność”. Odszedł od nas zbyt wcześnie, bo w wieku lat 33. Pochowany został w prowincji Nuristan w Afganistanie. Pozostanie w naszych modlitwach, myślach i czynach. Przyjmij go Panie do Królestwa Swego.

Grupa „Support for Solidarność”  
Konfederacja Wolnych Polaków.

W dniu 4 lipca 1985 zginął w Afganistanie nasz przyjaciel

Lech Zondek

Urodził się w Polsce w 1952 roku. Po zrobieniu matury dostał się na Wydział Psychologii Uniwersytetu Warszawskiego, gdzie studiował aż do wyjazdu z Polski. Wśród przyjaciół znany był ze swego szalonego entuzjazmu dla wszystkiego, czym się zajmował, i z ogromnej wrażliwości.

Sportowiec i alpinista dzięki znakomitym warunkom fizycznym w krótkim czasie osiągnął wyniki, na które inni musieli czekać wiele lat.

Po przyjeździe do Australii natychmiast aktywnie włączył się do działalności politycznej i społecznej w ugrupowaniach patriotycznych kontynuując studia na wydziale psychologii Melbourne University.

Po podjęciu decyzji o wyjeździe do Afganistanu intensywnie przygotowywał się do tego studiując kulturę i język. Ostatnim etapem przygotowań był wyjazd do Zachodniej Australii, gdzie Leszek spędził ponad pół roku mieszkając na pustyni, szlifując kondycję i odporność na bardzo trudne warunki klimatyczne i terenowe.

Z Australii wyjechał w lipcu 1984 roku i od tego czasu sporadycznie docierały do nas listy opisujące jego przeżycia. Zamierzał wrócić po upływie roku aby kontynuować studia. Nie zdążył. Straciłmy najbliższego Przyjaciela, a Polska gorącego patriotę. Żegnamy Cię Leszku w głębokim smutku.

Grono najbliższych przyjaciół  
Melbourne, 8 października 1985.

A oto pierwszy fragment Jego listu:

*Wracając do „butów-wspinalców”, o których pisałem w poprzednim liście, że nie będą mi potrzebne, bo jak się dowiedziałem. próba wystąpienia mnie na północ Afganistanu zimą była podyktowana chęcią uzmięnienia mnie w grzeczny sposób, to znaczy wystąpienia mnie tam, gdzie się nic nie dzieje. Niektórzy z przywódców cierpią na całkowity brak wyobraźni politycznej i nie bardzo wiedzą, co z takim fantem jak ja robić. Nie pasuje to do schematu, odmówić byłoby niezręcznie, bo mógłbym narobić nie najlepsze opinie, bądź pójść do konkurencyjnej grupy, a ta zaakceptowałaby mnie choćby dla zrobienia na złość tej pierwszej.*

*Tak więc na początek wystąpienie mnie do cichej prowincji ale wbrew ich intencjom Ruscy zaatakowali naszą czołgów i miałem okazję wyrobić sobie opinie, że nie strach, a przeciwnie mogę jeszcze Mujahidów czegoś nauczyć. Tak więc mam teraz sporo propozycji od różnych komendantów, aby się bić w ich oddziale. Tyle, że powiedział mi generał, że jak śnieg spadnie, to oni nie wujają, bo nie mają butów (choć w rozklekotanych sandałach). Tak więc może byłbym jedynym Mujahidinem w Afganistanie w dobrych butach umożliwiających*

i japońskim. W 1955 roku wysłała za mąż za dziennikarza, studenta nauk politycznych – Benigno Aquino. Przez 28 lat stała w cieniu swego męża, zwanego Ninoy, uważanego za charyzmatycznego przywódcę Filipin. Gdy Ninoy został aresztowany, przejął jego polityczną działalność, co – jak sama mówi – było dla niej, jako jego żony oczywiste. Wraz z mężem wyjechała z Filipin w roku 1980 do USA.

W roku 1972 rządzący Filipinami Marcos ogłosił stan wojenny. Wśród tysięcy uwięzionych wówczas przeciwników politycznych znalazł się również jej mąż – Ninoy. Skazano go za dokonanie morderstwa, nielegalne posiadanie broni i próbę obalenia władzy...

W 1978 Marcos umożliwił opozycji udział w wyborach do zgromadzenia narodowego. Przebywający wówczas w więzieniu Ninoy kierował z pomocą swej żony kampanią przedwyborczą partii o nazwie „Laban” (walka) – zdobyła ona wówczas 21 miejsc w parlamencie. W roku 1980 Ninoy został zwolniony z więzienia i wydalony z kraju. Zamieszkała wówczas wraz z żoną Aquino w Bostonie (USA). W roku 1983 zdecydował się na podróż do stolicy Filipin, gdzie został zastrzelony w chwili, gdy opuszczał samolot. Aquino przyjechała do Manili zadbać o pogrzeb męża i wtedy to działacze partii „Laban” zwrócili się do niej z prośbą o kontynuowanie jego działalności. Marcos natomiast zorganizował proces 26 osób oskarżając je o współudział w zamordowaniu Ninoya, sąd jednak wszystkich uniewinnił. Spowodowało to kolejną falę protestów i zwyciężyło poparcie dla Corazon Aquino, której udało się zjednoczyć podzieloną dotychczas opozycję we wspólny front. Część bowiem opozycji stała na stanowisku, iż wybory do parlamentu przewidziane na maj 1984 roku winny zostać zbrojotkowane, inna część opowiadała się za udziałem w wyborach. Tak też uważała Aquino, której udało się przekonać do swojego programu całą opozycję. Wykazała wtedy wspaniały instykt polityczny, gdyż w wyborach opozycja uzyskała 1/3 miejsc w parlamencie, co stało się podstawą do prowadzenia dalszej walki.

W 1985 roku Marcos zapowiedział wybory prezydenckie, które miały się odbyć w lutym br. Corazon Aquino nie zamierzała początkowo brać w nich udziału, zdecydowała się jednak wysunąć swoją kandydaturę, gdy przedstawiono jej petycję podpisaną przez 1, 2 mln Filipińczyków.

7 lutego br. na Filipinach rozpoczęły się wybory prezydenckie. W lokalach wyborczych odpowiedzialni za prawidłowy przebieg wyborów urzędniczo demonstracyjnie pokazywali, iż urny są zamknięte i nie mają podwójnego dna. Ale dla każdego Filipińczyka było jasne, że „Jeży już w nich” wiadomość o wygranej Marcosa. Zarówno podział na okręgi wyborcze, jak obliczanie głosów kontrolowane było przez jego ludzi. Za druk kart wyborczych odpowiedzialny był oficer służby bezpieczeństwa, zaś generał Fabian Ver otrzymał zadanie zapewnienia bezpieczeństwa w czasie wyborów – tymczasem liczba ofiar śmiertelnych wyniosła ok. 100, wśród nich były również najbliżsi współpracownicy Aquino. Generał Fabian Ver uważany jest zresztą za winnego śmierci jej męża, Benigno Aquino. Sympatyzującym z Aquino rolnikom członkowie militarnych formacji obrony zabronili uczestnictwa w wyborach: *wasze głosy znajdują się już i tak w urnach* – mówiono im. Mieszkańcy dzielnicy Manili szczególnie sympatyzujący z Corazon Aquino ze zdziwieniem stwierdzali, iż ich nazwiska zostały skreślone z list uprawionych do głosowania. Szacuje się, iż w ten sposób pozbawiono możliwości udziału w wyborach w samym tylko rejonie stolicy około milion osób.

Znane są też liczne przypadki fałszowania kart wyborczych, zastrępowania ich korzystnymi dla Marcosa, głosy oddane na Corazon

Aquino znajdowano później na przykład w kanalizacji miejskiej. W miejscowości Davao City Marcos otrzymał większą ilość głosów niż wynosił liczbą mieszkańców, w prowincji Ilocos Sur doliczono się 137 lokali więcej, niż przewidywał klucz wyborczy. W mieście Isabella „przepadło” 70 tys. głosów oddanych na panią Aquino, które zostały już uprzednio podliczone, wreszcie w Tawi-Tawi na 6 tys. uprawnionych do głosowania zanotowano 13 tys. oddanych głosów.

Po tak przeprowadzonych „wyborach” Filipiny miały naraz dwóch prezydentów. Zarówno bowiem pani Aquino, jak i Marcos ogłosił, iż odnieśli zwycięstwo. Tydzień później mieszkańcy Manili zdawali się nie być już specjalnie zainteresowanymi tym, jak naprawdę wyglądał wynik głosowania. Ważne stało się nagle to, po której stronie opowie się jeden jedyny człowiek z dalekiego Waszyngtonu — prezydent Reagan. Jedno jego słowo wystarczyłoby przeciw, by Marcos utracił swoją władzę na Filipinach, kraju związanym gospodarczo i militarnie (żołnierze amerykańscy stacjonują na wyspach) z USA. Zamiast jednak podjąć konkretną decyzję, Reagan wysłał do Manili ambasadora do spraw specjalnych Philipa Habiba, który skłonił miał panią Aquino do rozmów pojednawczych z Marcosem.

Tymczasem Senat USA na swym posiedzeniu 19 lutego uznał (85 głosami przeciwko 9), iż w wyborach na Filipinach dopuszczono się oszustw i wygranej Marcosa nie można traktować jako efektu rzeczywistej woli narodu. Interesy amerykańskie na Filipinach reprezentować będzie najlepiej rząd posiadający faktyczny mandat zaufania.

Również minister spraw zagranicznych Shultz podkreślił, iż wybory na urząd prezydencki zostały sfalszowane. Marcos nie otrzymał, zdaniem Shultza, społecznego poparcia.

Z drugiej jednak strony należy również odnotować fakt, iż minister obrony USA, Weinberger wezwał Kongres do udzielania Filipinom dalszej pomocy militarnej, nawet gdyby świeżo odbyte wybory oparte były na kłamstwie i przemocy. Komunistyczne ugrupowania guerilleros — powiedział Weinberger — mogą bowiem próbować wykorzystać istniejące w filipińskim społeczeństwie podziały. Dlatego też konieczne jest kontynuowanie programu militarnej pomocy dla Filipin.

walkę zimą. Niestety w tym, że trudno by mi było walczyć w południe przeciwko ruskiej armii. W związku z tym postaram się najpierw dowiedzieć, czy istnieje jakiś obuty oddział, a jeśli nie, to pójdę się prac do Kandahar, gdzie nie ma śniegu. Tam się naprawdę zdrowo grzmocą, bo nie ma gdzie uciekać przed czołgami, kompletnie płasko, a z jednej strony pustynia. Jak się Ruscy pchają, to dowcip polega na tym, aby nie dać się wyrzucić z miasta na pustynię, bo tam wykończą helikopterami i czołgami. Mam kilku kumpli z Kandahar i dzięki nim znam dokładnie sytuację: nóż i granaty, walka wręcz o pokoje w budynkach. Sytuacja zblizona chyba do tej na Starówce w Powstaniu. Doświadczenie z takiego miejsca może być bardzo cenne. (...)

Studiuję teraz instrukcje i teoretyczne wykresy do PGR 7, czy jak tam się wabi, czyli „rocket launcher” w ruskim wydaniu. Wygląda to nie najgorzej tyle, że jak nosiłem to ciężkie bydlę, to po paru godzinach ramiona mi siadały. Poza tym większość pocisków do nich jest produkcji chińskiej, jak się domyślicie tak kiepskiej jakości, że co któryś tam nie wypala. Podobną sytuację miałem z moim karabinem. Raz lub dwa razy na dziesięć nie ładował z magazynka do komory, a gdzieś co dziesięć czy piętnaście pocisków to niewypał (wszystkie datowane 1935-1942, większość 1942). Teraz możecie sobie wyobrazić moją pewność siebie, kiedy szedłem na akcję z takim wspaniałym sprzętem. Teraz wezmę kałaznikowa, nawet chińskiego (przegrzewa mu się lufa), bo przez łupę nie będę mógł tak sprawnie manipulować zamkiem karabinu. Przedtem byłem w stanie wykonać 3 akcje boltem i spustem na jednego przeciętnego Afgańczyka. To dzięki tym królikom w Australii nauczyłem się tych karabinowych trików. Gdybym miał skądś dobry celownik optyczny 8-10X i „mount” (bardzo mocny) do zamocowania na amerykański karabin z drugiej wojny, to postaratbym się ze wszystkich afgańskich grzmotów wybrać jeden z najlepszym skupieniem i po zamocowaniu miałbym coś na kształt „sniperki” z drugiej wojny. Zwiększyłoby to moją skuteczność i bezpieczeństwo, bo nie musiałbym podzielić na 100 m. Wystarczyłoby podejść na jakieś 400-500 m. Przystałem już marzyć o „sniperze” z prawdziwego zdarzenia. Tyle na teraz. Pozdrawiam wszystkich.



Ferdinand E. Marcos: odnośnikiem zwycięstwa.

### Kraj w prasie zachodniej



3. 03. - 12. 03. 1986

#### PROCES CZŁONKÓW KPN

3 marca rozpoczął się przed Sądem Wojewódzkim w Warszawie proces przeciwko członkom Konfederacji Polski Niepodległej; oskarżeni - Moczulski, Słomka, Król i Szumiński - znajdują się już od roku w areszcie śledczym. Akt oskarżenia zarzuca działaczom KPN „stworzenie nielegalnej, kryminalnej organizacji mającej na celu wzniecanie niepokojów społecznych; oczernianie systemu socjalistycznego oraz rozpowszechnianie fałszywych informacji przy pomocy wydawnictw podziemnych”, podaje *Der Tagesspiegel*.

#### „NOWI” ZWIĄZKOWCY PRZECIWKO PRZEDŁUŻENIU CZASU PRACY

Zarządzenie rządu PRL „przedłużające czas pracy w szczególnie ważnych zakładach przemysłowych z 42 na 46 godzin tygodniowo „spotkało się z ostrą krytyką „nowych” związków”. „Zarządzenie rządowe jest fałszywym krokiem, który nie sprzyja dyscyplinie pracy”, stwierdził związkowcy dodając, że „liczba zakładów objętych tą regulacją wynosi ponad 1 000, a nie - jak podał rzecznik prasowy rządu - ok. 400”, píše *Neue Zürcher Zeitung*.

#### ROZMOWY SPD - PZPR

6 marca przebywała w Warszawie delegacja zachodnioniemieckich socjaldemokratów z zastępcą przewodniczącego frakcji parlamentarnej SPD Ehmke na czele. Jest to już piąte spotkanie „grup roboczych” obu partii w ramach tzw. „przedsięwzięcia na rzecz porozumienia”, które pow-

Tymczasem w Manili pani Aquino prowadziła rozmowy z ambasadorami RFN i Hiszpanii. Ich przedmiotem była możliwość ewentualnego zbojkotowania przez państwa Europy Zachodniej zaplanowanego na 25 lutego zaprzysiężenia Marcosa jako prezydenta. Liberalna gazeta *Manila Times* podała też wiadomość, iż pani Aquino próbuje nie dopuścić do uznania Marcosa jako prezydenta przez - jak podano - *rzęzione przez chrześcijańskich demokratów lub socjaldemokratów przyjaźnione kraje*.

Przewidziany przez Aquino na wiceprezydenta Salvador Laurer poinformował również o powołaniu specjalnej komisji ekspertów do spraw stałych kontaktów z misjami dyplomatycznymi w Manili, w celu wywarcia międzynarodowego nacisku na reżym Marcosa. Jakakolwiek współpraca z Marcosem jest niemożliwa - powiedziała pani Aquino amerykańskiemu dziennikarzom, odpowiadając w ten sposób na nierelalne propozycje prezydenta Reagana. Jedynym rządem, który - do 19 lutego - pogratulował zwycięstwa Marcosowi był... Związek Sowiecki.

Następnego dnia Corazon Aquino spotkała się z dyplomatami 14 krajów zachodnioeuropejskich i poinformowała, iż jest zdecydowana spełnić wolę narodu i objąć - najszybciej jak to możliwe - urząd prezydencki. Tego samego dnia wypowiedziała się po raz pierwszy oficjalnie w sprawie sytuacji na Filipinach rząd RFN, czyniąc Marcosa odpowiedzialnym za manipulacje wyborcze. Również Parlament Europejski w Strasburgu skrytykował jednogłośnie postępowanie rządu Marcosa i stwierdził, iż w oparciu o liczne relacje zachodnich obserwatorów łatwe jest do ustalenia, iż pani Aquino przeważającą większością wygrała wybory. Moskwa - jakby głucha na to, co się dzieje - zarzuciła natomiast Stanom Zjednoczonym w komentarzu agencji TASS *mieszanie się w wewnętrzne sprawy*, a stanowisko Senatu USA określiła jako *wywieranie politycznych, gospodarczych i wojskowych nacisków na Filipiny*. Shultz miał - według komentatora TASS - wypowiadać się o Filipinach - ach, te ostre słowa - *jak o kraju, stanowiącym kolonialną własność USA*.

W historii stosunków sowiecko-filipińskich nie brak zresztą na przestrzeni ostatnich lat elementów paradoksalnych. Moskwa wiedziała wprawdzie, że Marcos jest politykiem antykomunistycznym i proamerykańskim, nie przeszkadzało jej to jednak w utrzymywaniu serdecznych stosunków z Manilą. Prezydent Marcos i jego żona Imelda otrzymali w ciągu 20 lat swych rządów cały szereg odznaczeń sowieckich, to za bohaterskie czyny w okresie okupacji japońskiej, to za działania na rzecz umacniania wzajemnej przyjaźni obu państw. W ciągu ostatnich kilkunastu lat Imelda Marcos odwiedziła Moskwę aż 7 razy, po raz ostatni w listopadzie ub. roku. Aby uwiarygodnić się jako partner handlowy Filipin, Moskwa przez długie lata tolerowała znaczny własny deficyt we wzajemnej wymianie towarowej. Nie szczędziła też wysiłków, by zapewnić Marcosa, że Związek Sowiecki nie popiera partyzantki komunistycznej na Filipinach.

Pierwsze poważne błędy polityczne popełnił Kreml po zabójstwie Benigno Aquino, które zapoczątkowało bieg wydarzeń prowadzących do upadku Marcosa. Oburzenie prasy zachodniej z powodu zabójstwa agencja TASS przeciwstawiła twierdzenie, że był on wodzem prawicowej burżuazji, zaś moskiewskie *Izwestia* dały do zrozumienia, iż sam sobie zawinił, bo przecież powrócił do kraju z wygnania w Stanach Zjednoczonych. W ciągu następnych kilkunastu miesięcy, w miarę jak wschodziła gwiazda polityczna wdowy po zamordowanym polityku, sowieckie środki przekazu wyrażały się o niej z wyraźną niechęcią.

22 lutego minister obrony Filipin Juan Ponce Enrile oraz zastępca szefa sztabu, generał Fidel Ramos ogłosili w obstawionym przez woj-

ska i czołgi budynku ministerstwa wypowieszenie posłuszeństwa wobec Marcosa i zażądali jego ustąpienia. *„Damy się raczej zabić, niż opuścimy budynek ministerstwa* – powiedzieli dziennikarzom. Do sił zbrojnych kraju skierowali apel o *wypełnianie konstytucyjnych obowiązków. Przigniatająca większość wojska stoi po naszej stronie* – poinformowali Enrile i Ramos, podkreślając jednocześnie, iż przywódczyni opozycji, pani Corazon Aquino zwyciężyła w wyborach. Do sytuacji tej doszło nad ranem, gdy minister obrony otrzymał informacje, że podległe Marcosowi oddziały sił bezpieczeństwa pod dowództwem generała Vera mają zamiar go aresztować. W odpowiedzi Marcos zagroził „rebeliantom” atakiem wojskowym i zażądał, by Enrile oraz Ramos *skończyli te głupoty. Wołę paktować, niż strzelać* – dodał Marcos. Powiedział też, iż rząd panuje całkowicie nad sytuacją i że wszyscy dowódcy i podlegający im żołnierze zapewnili go o swojej lojalności.

Potwierdził również, że planowane na 25 lutego zaprzysiężenie go na prezydenta odbędzie się w przewidzianym terminie, jednakże członkowie korpusu dyplomatycznego nie zostaną na nie zaproszeni. W ten sposób zareagował na decyzję wielu państw (przed wszystkim EWG) o niewysłaniu na tę uroczystość swych przedstawicieli.

Tymczasem w Kongresie USA coraz głośniejsze mówiło się o tym, że Waszyngton powinien zmusić Marcosa do ustąpienia. *Prezydent Reagan powinien być tą osobą, która przekona Marcosa, iż nadszedł czas, by ustąpił* – powiedział między innymi przewodniczący senackiej komisji służby bezpieczeństwa Durenberger.

24 lutego w odpowiedzi na decyzję o utworzeniu rządu tymczasowego pod przywództwem pani Aquino, o której poinformował minister Ponce Enrile, Marcos ogłasza stan wyjątkowy i wprowadza na czas nocy godzinę policyjną. Mieszkańcy Manili nie podporządkowują się

jednak jego postanowieniom. Między oddziałami Marcosowi oddziałami a „rebeliantami” wspieranymi przez ludność cywilną dochodzi do sporadycznych starć.

Rząd USA po tygodniowej misji Habiba oferuje Marcosowi i jego rodzinie azyl wzywając go – w ten pośredni sposób – do ustąpienia.

\* \* \*

*Jestem potwornie rozczarowany* – odpowiedział po długiej przerwie Ferdinand Marcos republikańskiemu senatorowi Laxaltowi, gdy ten w imieniu rządu Reagana poinformował go telefonicznie, iż *nadszedł czas*.

Marcos: „zaproszony przez Reagana”.

stało w ub. roku, informuje *Frankfurter Allgemeine Zeitung*.

## KISIEL – 75 URODZINY

Stefan Kisielewski – muzyk i liberał, pisarz i „oficjalny opozycjonista” – obchodził 7 marca swoje 75 urodziny. Wiele gazet zachodniemieckich w tym *Frankfurter Allgemeine Zeitung*, *Sueddeutsche Zeitung*, *Der Tagesspiegel*, zamieściło artykuły poświęcone (określenie FAZ) „Stańczykowi PRL-u”.

## JARUZELSKI – WKRÓTCIE W RZYMIE I W WATYKANIE?

W związku z pogłoskami o planowanej przez Jaruzelskiego wizycie we Włoszech, rzecznik prasowy Watykanu Valls oświadczył, iż „Jan Paweł II jest gotów przyjąć przewodniczącego Rady Państwa PRL na prywatnej audiencji”, podaje *Der Tagesspiegel*.

Specjalny wystannik włoskiej agencji prasowej ANSA przeprowadził wywiad z Lechem Wałęsą dotyczący m. in. planowanej przez Jaruzelskiego podróży.

„Wałęsa oświadczył, że jest bardzo rozczarowany i zaniepokojony decyzją Sądu Najwyższego, który utrzymał w mocy wyrok 3,5 roku dla Władysława Frasyniuka i zmniejszył zaledwie o 6 miesięcy wyroki Michnika i Lisa”. Agencja przypomina, że w czasie swej wizyty w Warszawie w maju ub. roku premier włoski Craxi ujął się za trzema działaczami „Solidarności”. „Reżym nadal posyła do więzienia najlepszych Polaków – jest to hańba dla nas i dla Europy”, powiedział laureat Pokojowej Nagrody Nobla. „Władza nie posiada żadnego programu, który mógłby być skuteczny w wychodzeniu z kryzysu” – stwierdza Wałęsa – „i to właśnie zmusza ją do nasilenia represji”.

Komentując dotychczasowe spotkania Jaruzelskiego z politykami zachodnimi Wałęsa zwraca uwagę, że „jak do tej pory nie miały one żadnych znaczących następstw z punktu widzenia społeczeństwa, stwierdzić trzeba, że po wizytach tych nastąpił nawet wzrost liczby więźniów politycznych; nie widać również żadnych postępów na drodze do dialogu i pluralizmu, a przeciw bez dialogu i pluralizmu nie sposób rozwiązać polskich problemów”.

Mówiąc o planowanej wizycie Jaruzelskiego we Włoszech i Watykanie, Wałęsa zauważa, że „jeżeli jej rezultatem będzie to, że otworzą się bramy więzień, a rząd zacznie przestrzegać podjętych przez siebie poro-

zumiem zarówno krajowych, jak i międzynarodowych, wówczas będzie można powiedzieć, że była udana”.

„Nie należy jednak zbyt ufać – dodaje Wałęsa – zobowiązaniom i obietnicom, z jakimi może wystąpić generał podczas tych spotkań, gdyż jak dotąd wszystkie takie oświadczenia okazały się być niewiarygodne. Jeżeli chodzi o mnie – mówi Wałęsa – wciąż słyszę te same obietnice. Partner tylko wtedy jest wiarygodny, gdy przestrzega podpisanie wcześniej umowy i konwencji. Gdy zastanawiam się nad tym, czy Jaruzelski powinien być na Zachodzie przyjmowany czy nie – podkreśla przewodniczący NSZZ „Solidarność” – najbardziej liczyć się powinny moim zdaniem fakty; jednakże dzisiaj trudno jest tę sprawę ostatecznie ocenić”.

„Co się dotyczy możliwości wizyty Jaruzelskiego we Włoszech i w Watykanie – mówi na koniec Wałęsa – muszę powiedzieć, że Papież jest dla Polaków wielkim autorytetem moralnym; zaś postawa włoskich polityków, a w szczególności włoskich central związkowych była zawsze wyrazem pełnego zrozumienia dla naszych spraw. Ufam więc, że ci, którzy mają podjąć decyzję (w sprawie tej wizyty – przyp. red.) będą mieli na uwadze dobro Polski i Europy”.

#### „FAZ” O „TOWARZYSTWIE SOLIDARNOŚĆ” I „POGLĄDZIE”

*Frankfurter Allgemeine Zeitung* zamieściła 7 marca artykuł traktujący o „Towarzystwie Solidarność” z siedzibą w Berlinie Zachodnim. Ralf Georg Reuth opracował swój raport na podstawie rozmów prowadzonych z przewodniczącym „Towarzystwa Solidarność” Edwardem Klimczakiem, w „cywilu” docentem języka rosyjskiego na uniwersytecie w Berlinie Zachodnim.

#### WNIOSEK O ZWOLNIENIE ŚLEDZTWA W SPRAWIE ANTONOWICZA

Adwokaci występujący w imieniu rodziny zmarłego Marcina Antonowicza „wystąpili do prokuratury o zwolnienie śledztwa w sprawie okoliczności śmierci 19-letniego studenta”, podaje *Sueddeutsche Zeitung*. Prokuratura w Olsztynie umorzyła w lutym śledztwo w tej sprawie motywując to raportem lekarzy sądowych, którzy wykluczyli, iż „śmierć Antonowicza nastąpiła w wyniku

*Głębokie rozczarowanie* wyraziła Corazon Aquino w wywiadzie dla magazynu *Stern* mówiąc o stosunku prezydenta Reagana do wydańców na Filipinach – ignorował on od samego początku wyborcze oszustwa Marcosa. Pani Aquino poinformowała też o utworzeniu nowych władz. Wiceprezydentem został – dotychczasowy kandydat jej partii na to stanowisko – Salvador Laurer, ministrem obrony natomiast Ponce Enrile, który zwołał w stan spoczynku 23 generałów pełniących nadal swą służbę, mimo iż przekroczyli już wiek emerytalny. Salvador Laurer jest zresztą najważniejszą – w powołaniu przez panią Aquino rządzie – osobą, objął on bowiem również stanowiska premiera i ministra spraw zagranicznych. Generał Ramos, który wraz z Ponce Enrilem zbuntował się przeciwko Marcosowi, został szefem sztabu. Urząd ten zajmował przednio generał Fabian Ver, który opuścił Filipiny wraz z Marcosem.

27 lutego Laurer zarządził zwolnienie z więzień 39 osób przetrzymywanych tam od czasów Marcosa. Wśród zwolnionych w Manili znaleźli się między innymi były rektor uniwersytetu, były urzędnik rządowy wysokiej rangi, przywódca związków zawodowych, jak i poetka Milagros Aquilar. Wszyscy oni przebywali w więzieniu pod zarzutem współpracy z komunistami, jaki postawił im rząd Marcosa. Ogólną liczbę więźniów politycznych ocenia się na około 500 osób. Czterech przywódców komunistycznych ugrupowań wyłączone jednak z planowanej amnestii, bez podania przyczyn. Są to między innymi: szef zakazanej Komunistycznej Partii Filipin, Sison oraz przywódca zbrojnego jej ramienia – podziemnej partyzantki pod nazwą „Nowa Armia Ludowa”, Buscayano. *Trzeba tylko pół roku, by w kraju powróciły stare czasy Marcosa* – twierdzą działacze obu komunistycznych ugrupowań, przypominając, że w czasie kampanii przedwyborczej pani Aquino zapowiedziała, iż jeśli zwycięży, zalegalizuje Komunistyczną Partię Filipin, a nawet skłonna będzie dopuścić do współdziałania w rządach niektórych jej przedstawicieli. Ale po paru dniach rządów w nowym gabinecie doszło do sporów na ten temat, co – jak komentują zachodni dziennikarze akredytowani w Manili – doprowadzić może w najbliższych miesiącach do zakłóceń przy wprowadzaniu reform, tak potrzebnych temu zrujnowanemu – również gospodarczo – krajowi. Dodać bowiem trzeba, iż długi Filipin za granicą wynoszą 26 mld dolarów USA, a dla ratowania zniszczonej gospodarki konieczne są nowe, miliardowe kredyty. Deficyt gospodarki Filipin tylko za pierwszy kwartał bieżącego roku wynosi już ponad 500 mln marek zachodniemieckich.

Nowemu rządowi nie zamierzają pomagać – nieliczni co prawda, ale jednak – zwolennicy byłego prezydenta Marcosa. *Prosimy Marcosa, by wrócił* – powiedziała w imieniu grupy jego zwolenników jeden z demonstrowających w budynku parlamentu. Jak poinformowała gazeta *Malaya*, zwolennicy Marcosa przygotowują w prowincji Ilocos Norte akcje zbrojne wymierzone w obecny rząd.

1 marca prezydent Aquino zapowiedziała ściganie na drodze prawnej wszystkich zwolenników Marcosa, którzy brali czynny udział w aktach przemocy mających polityczny charakter. Poinformowała również, iż powtórnie przeprowadzone zostanie postępowanie przeciwko mordercom jej męża, Benigno Aquino.

Setkom zwolenników Marcosa wydano również zakaz opuszczania kraju, a 13 generałów jego ekipy osadzono (8 marca) w areszcie domowym, by zapobiec – jak podano – organizowaniu oporu przeciwko obecnym władzom.

Trwają również prace nad nową konstytucją, która stać się ma podstawą do przeprowadzenia planowanych reform i zapewnić polityczną stabilizację kraju. I tak 3 marca pani Aquino ogłosiła zniesienie



mocy prawnej wprowadzonych przez Marcosa przepisów, pozwalających na przykład na bezterminowe przetrzymywanie w areszcie. W najbliższym czasie powołany ma zostać „rząd rewolucyjny” oraz ogłoszona „tymczasowa konstytucja”, której postanowienia obowiązywać mają przez okres 6 miesięcy. W tym czasie przygotowany ma zostać projekt nowej konstytucji, który następnie poddany będzie narodowej konsultacji. Jednocześnie planowane są również wybory do parlamentu. Jak powiedział bowiem minister sprawiedliwości Gonzales, który stoi również na czele nowo powołanej komisji do spraw reformy politycznej, powyższe przedsięwzięcia stały się koniecznością, tak że względu na zachowanie zwolenników Marcosa, jak i brak możliwości współpracy z „wybranym” za czasów jego rządów parlamentem. Zaplanowane więc uprzednio na maj br. wybory lokalne zostały przełożone.

Cóż stało się tymczasem z Marcosem?

Wywieziony przez amerykańskie samoloty wraz z żoną Imeldą i pozostałymi, 88 towarzyszącymi mu osobami na Hawaje zatrzymał się – póki co – w USA, gdzie otrzymał opiekę amerykańskich służb bezpieczeństwa. Zarządzono ją na osobiste polecenie prezydenta Reagana, gdyż – jak to określił jeden z rzeczników służb bezpieczeństwa USA – Marcos korzysta ze statusu, jaki przysługuje wizycie obcokrajowca znacznej rangi. Ministerstwo spraw zagranicznych USA poinformowało też, iż Marcos przybył do Stanów na zaproszenie prezydenta (!!).

Dwa inne transportowe samoloty amerykańskiej armii zadbały o przewiezienie na Hawaje dóbr Marcosa. Według relacji amerykańskich sieci telewizyjnych ABC i NBC ładuneków składał się z setek kartonów zawierających banknoty peso i dolary o łącznej wartości ok. 3 mln dolarów amerykańskich (ok. 6, 8 mln DM), jak także kosztowności, broń i dokumenty kupna akcji i nieruchomości.

Prezydent Corazon Aquino podjęła 4 marca decyzję o zajęciu pozostawionych przez Marcosa w kraju dóbr i przekazaniu ich na własność Filipinowi. Wartość zagranicznych dóbr Marcosa oceniana jest natomiast przez rząd na 5 do 10 mld dolarów. 10 marca rząd w Manili uznał paszporty Marcosa i 88 towarzyszących mu osób za nieważne, uniemożliwiając mu w ten sposób powrót do kraju.

Na Filipinach w ostatnich tygodniach panuje święto radości i... demokracji, objawiające się złotym kolorem, jaki przybrała – jeszcze za czasów opozycji – partia pani Aquino. Zdają się nie zakłócać go informacje o kolejnych ofiarach śmiertelnych (tym razem 19) – zabitych podczas zbrojnego napadu komunistycznych guerilleros na pojazd sił zbrojnych. Z dobrze poinformowanych źródeł dyplomatycznych dotarła wiadomość, iż niewykluczone jest, że w najbliższym czasie kraj ten odwiedzi prezydent Reagan. 53-letnia pani prezydent wyklużyła natomiast możliwość podjęcia bliższych kontaktów z ZSSR, który w końcu zorientował się w sytuacji i po raz drugi w tych samych wyborach gratulował prezydentemkiego fotela. Przed Filipinami długa droga do demokracji...

działań osób drugich”, píše monachijski dziennik.

#### KRYTYCZNY STAN ZDROWIA BIELECKIGO

Stan zdrowia prowadzącego od października ub. roku strajk godo-

wy w warszawskim więzieniu na Rakowieckiej Czesława Bieleckiego jest fatalny. Bielecki waży obecnie 56 kilogramów – 33 mniej niż na początku głodówki. „Kardiolog, który przebadał ostatnio polskiego opozycjonistę, stwierdził, iż znajduje się on na krawędzi zawału serca”, podała *Der Tagesspiegel*.

#### KOLEJNE KREDYTY DLA PRL

11 marca w Bonn zakończyło się szóste spotkanie komisji rządowych RFN i PRL; delegacjom przewodniczyli ministrowie d/s gospodarczych obu stron, Martin Bangemann i Zbigniew Szałajda. Strona zachodniemiecka „udzieliła PRL gwarancji na kredyty w wysokości 100 mln DM mających na celu zabezpieczenie kontaktów handlowych pomiędzy obu państwami”, píše *Die Welt*.

#### UCIECZKA Z PRL

11 marca wylądował na lotnisku Tempelhof w Berlinie Zachodnim samolot sowieckiego typu „Jak-12A” prowadzony przez polskiego pilota. Według oświadczenia miejscowej policji: „32-letni mężczyzna zaczął się w zagajniku położonym na krawędzi lotniska w Zielonej Górze; wykorzystał odpowiedni moment, aby dostać się do maszyny i wystartował w kierunku Berlina Zachodniego”, informuje *Der Tagesspiegel*.

13. 03. - 18. 03. 1986

#### ZJAZD PZPR WYZNACZONY NA CZERWIEC

14 marca KC PZPR wyznaczył na dzień 29 czerwca br. termin kolejnego zjazdu polskich komunistów. Sekretarz KC Mokrzyński stwierdził podczas obrad w Warszawie, że „liczba członków partii wzrosła po raz pierwszy od roku 1981”. W 1985 roku przyjęto do PZPR 63 tys. nowych kandydatów, ogólna liczba członków wynosi obecnie 2 115 tys., podaje *Der Tagesspiegel*.

#### KARL DEDECIOUS – POŚREDEK Pomiędzy POLAKAMI I NIEMCAMI

Tygodnik *Die Zeit* zamieszcza artykuł traktujący o działalności Karla Dedeciusa i założonego przez niego w Darmstadzie Instytutu Niemiecko-Polskiego. Dedecius, „tytan” tłumaczy niemieckich, opublikował dotychczas ponad 85 pozycji, wśród książek tych znajdują się tłumaczenia Herberta, Miłozsa, Różewicza i innych poetów współczesnych oraz klasyki polskiej. Instytut Niemiecko-Polski, powstały w marcu 1980 roku, opublikował dotychczas 25 książek; posiada bibliotekę składającą się z ponad 12 tys. tomów, obejmujących tematykę polską i polsko-niemiecką. Karl Dedecius urodził się

w 1921 roku w Łodzi uczęszczał do polskiego gimnazjum po wojnie (przebywał w niewoli sowieckiej) osiedlił się w RFN. Pod koniec lutego br. otrzymał Dedeucus nagrodę z rąk premiera Hesji (RFN) Helgara Boernerza za działalność kulturalną.

**PAP KRYTYKUJE  
„LEGENDE OTTO SCHIMKA”**

Polska Agencja Prasowa zaatakowała ostro „fałszywą legendę” patrona pacyfistycznej grupy „Wolność i Pokój” Otto Schimka, żołnierza Wehrmachtu, który zginął rozstrzelany podczas II wojny światowej za niewykonanie rozkazu (wykonanie wyroku niemieckiego sądu doraźnego na polskiej ludności cywilnej). PAP określa historię Schimka jako „fałszerstwo i alibi dla tych, którzy chcieliby zamazać zbrodnie dokonane w Polsce przez nazistowskie Niemcy”, podaje *Frankfurter Allgemeine Zeitung*.

**POLSKA STOI PRZED  
KRYZYSEM ENERGETYCZNYM**

Eksperti d/s gospodarczych przewidują, iż „w Polsce dojdzie wkrótce do ostrego kryzysu energetycznego. Szeroko rozpowszechniona opinia, iż zasoby węgla na Śląsku są na razie nieznaczące – jest mitem”. Szacunki, według których Polska wydobycwać będzie w roku 2000 ok. 500 mln ton węgla są zbyt optymistyczne. „Należałoby się cieszyć, gdyby wydobycie pozostało na poziomie 200 mln ton”, informuje *Die Welt*.

**1, 5 ROKU ZA ZWRÓT  
KSIĄŻECZKI WOJSKOWEJ**

Tomasz Waćkow, 28-letni historyk mieszkający we Wrocławiu, członek ugrupowania „Wolność i Pokój”, skazany został na 1, 5 roku więzienia za to, iż „odezwał się swoją książeczkę wojskową Ministerstwu Obrony Narodowej”, dwaj inni członkowie wspomnianej organizacji ukarani zostali za podobne „przewinienie” grzywną w wysokości 50 tys. zł, podała *Neue Zuercher Zeitung*.

**POLSCY BISKUPI  
KRYTYKUJĄ...**

W dniach 13-14 marca odbyła się w Warszawie konferencja Episkopatu, której przewodniczył Prymas Glemp. Biskupi krytykują w wydanym na zakończenie obrad oświadczeniu „atmosferę wrogości, jaką

tworzą ostatnio władze wokół Kościoła polskiego”. Ostatnie zarządzenia ministra oświaty Joanny Michałowskiej-Gumowskiej, dotyczące weryfikacji nauczycieli według ich światopoglądu, określił Episkopat jako „naruszenie praw człowieka i wolności wyznania”. Biskupi polscy „zapowiedzieli wsparcie każdego nauczyciela, który sprzeciwił się będzie praktykom rządowej weryfikacji”, informuje *Die Welt*.

**PODWYŻKI CEN W PRL**

16 marca ogłoszono w Polsce kolejną podwyżkę cen. Podstawowe produkty spożywcze podrożały przeciętnie o 8-10% (chleb – 8%, mąka – 7,9%, oleje, margaryna i mleko – 9,5%, przetwory mleczne i cukier – 11% oraz alkohol – 10%). Ceny podróży koleją i autobusem mają wzrosnąć o 20%; droższe również węgiel, gaz i prąd. *Frankfurter Rundschau* komentuje:

„Kolejna podwyżka nastąpiła bez konsultacji z nowymi związkami zawodowymi. Wskazywałoby to, iż rząd nadal obawia się negatywnych reakcji społeczeństwa. Jednakże nastroje panujące obecnie nie są już tak „wybuchowe” jak w roku 1981. Przemęczone społeczeństwo zostało zmuszone do tego, aby się do takich podwyżek „przyzwyczaić” (...). Obciążenie budżetów rodzinnych poprzez wydatki na wyżynienie jest w Polsce bardzo wysokie. Przeciętą rodziną na Zachodzie wydaje na te potrzeby 1/3 swoich przychodów, natomiast w Polsce musi ona przeznaczyć ponad 55% swego budżetu i to pomimo subwencji państwowych”.

**SZEWARNADZE W PRL**

Minister spraw zagranicznych Związku Sowieckiego Szewarnadze przybył 17 bm. do Warszawy. Na lotnisku witał go „polski kolega z urzędu, Orzechowski”, informuje *Der Tagesspiegel*.

**CIEŹKIE POBICIE  
K. CHROSTOWSKIEGO**

Krzysztof Chrostowski, syn byłego szofera ks. Popiełuszki, Waldemara Chrostowskiego, został w nocy z 15 na 16 marca ciężko pobity przez milicję. 23-letni Chrostowski, który wraz z kolegami przebywał w jednej z warszawskich dyskotek został „po opuszczeniu lokalu zatrzymany przez patrol milicji; wciągnięty do radiowozu, a następnie ciężko pobity (mi-

licjanci krzykali: „Teraz ci pokażemy. Teraz ty jesteś Popiełuszką”, podaje *Der Tagesspiegel*.

**STRAJK GŁODOWY  
W PODKOWIE LESNEJ**

17 marca w kościele pw. Św. Krzysztofa w Podkowie Lesnej rozpoczął się jedynogodniowy strajk głodowy sześciu kobiet, które „chcą tą akcją zaprotestować przeciwko postępowaniu władz wobec członków ugrupowania „Wolność i Pokój”, podaje *Sueddeutsche Zeitung*.

**Kraj w prasie PRL**



**LITERACKIE ŻYCIE**

Dnia 21 stycznia *Trybuna Ludu* poinformowała, że ukazał się w księgarniach ósmy tom Dzieł Wszystkich Lenina.

*Trybuna Ludu* nie pisze o tym wprawdzie, z dziennikarskiego obowiązku my więc doniesiemy, że edycja dzieł wszystkich Lenina cieszy się w kraju dużą popularnością i jest masowo kupowana. Z przyczyn propagandowych Lenin jest do nabycia bardzo tania, a za to w okładce z prawdziwej skóry, przydatnej do łatania spodni, której w sklepach tania się kupić nie da.

Z kolei dawno już, bo 24 listopada ub. r. tygodnik *Przełom* poinformował, że przyznane zostały doroczne nagrody literackie Stowarzyszenia Bibliotekarzy Polskich. Szacowne gremium w dziale literatury pięknej wyróżniło paszkwil na „Solidarność” Romana Bratnego *Rok w trumnie, Kamień na kamieniu* Wiesława Myśliwiego oraz pierwszą „prawdziwą polską” powieść pornograficzną *Raz do roku w Skrońtawkach*, autorstwa Zbigniewa Nienackiego. W dziale zaś książek niebele-

trystycznych Powstanie warszawskie Jana Ciechanowskiego znalazło się na liście wyróżnień obok *Seksu partnerskiego* Zbigniewa Starowicza oraz *Sztuki Kochania* Michaliny Wiśtociokiej.

Aby uzupełnić aktualny obraz życia literackiego w Polsce dodajmy jeszcze, że - jak wynika z audycji Polskiego Radia, program I - inny specjalista seksuolog - Mikołaj Kozakiewicz jest obecnie przewodniczącym Komisji Odrodzenia Moralnego PRON. W wywiadzie dla PR pan przewodniczący ubolewa m.in., że wielu twórców *idzie zła na rozrywkę i seks*.

Z kolei Janusz Przymanowski również na łamach *Trybuny Ludu* (11-12. 01. 1986) omawiając sytuację literatów w Polsce informuje, że 13 grudnia ub. roku Rada Ministrów wydała rozporządzenie, które normuje stosunki finansowe pomiędzy autorami i wydawcami. *Nieistotne po raz który zmienia się system akordowego wynagrodzenia ludzi piszących książki* - donosi autor *Czterech Pancernych* - *Niezwykłe ważne natomiast, iż po raz pierwszy stawki nie są wzięte z sufitu, (...) lecz opierają się na przyrównaniu pracy literata do trudu hutnika, górnika, śluszarza, inżyniera... Lub wziętego seksuologa?*

#### TRAGEDIA CZY ZANIEDBANIE

W wydaniu z dnia 4 i 5 stycznia br. *Trybuna Ludu* doniosła, że w grudniu ub. r. doszło do infekcji wewnętrznej na oddziale noworodków. W rezultacie zachorowało na bieżący 26 noworodków, a troje z nich zmarło. Pierwszy przypadek choroby miał miejsce 10 grudnia, San-Epid poinformowano... 27 grudnia.

W dwa dni później, bo 7 stycznia, *Trybuna Ludu* doniosła o dwóch dalszych przypadkach zachorowań. Do Koszalina udata się odnośna komisja ministerialna. 8 stycznia zaś *Trybuna* poinformowała czytelników, że badania potwierdziły, że głównym sprawcą epidemii jest gronkowiec złocisty. Skąd się wziął w szpitalu - nie wiadomo. Mimochoćdem niejako podano, że do 30 wzrosła ilość zachorowań oraz, że zanotowano następną śmiertelną ofiarę.

20 stycznia *Rzeczpospolita* opublikowała notatkę pod znamienną serią tytułów: *Zakończył prace zespół ustalający przyczyny zakażenia w szpitalu koszalińskim. Nie ustalono źródła infekcji. Ukarano winnych zaniedbań. Przypominamy - pisze *Rzeczpospolita* - że od 10 grudnia ub. r. do 16 stycznia br. za-*

*chorowało 49 dzieci, urodzonych w tym szpitalu po 4 grudnia (...). 5 dzieci zmarło. (...) Komisja nie ustaliła źródła infekcji. Przypuszcza się, że mogła być ona spowodowana niewłaściwym procesem prania oraz wadliwym systemem transportu wewnętrzznego. Natomiast stan czystości (...) szpitala nie budzi zastrzeżeń. Szpital był więc czysty, tylko noworodki ubrano w tak brudną bieliznę, że zachorowały i zmarły. Było to - że odwołamy się raz jeszcze do tytułu z *Rzeczpospolitej* - *zaniedbanie*, za które w stosunku do dwóch pracowników szpitala na stanowiskach kierowniczych wojewoda koszaliński wyciągnął konsekwencje służbowe. Jeden z nich otrzymał upomnienie, drugi został odwołany ze stanowiska.*

#### PRACA

*Każdy robotnik był nieobecny w pracy ponad 50 dni w roku - donosiła *Trybuna Ludu* 3 stycznia br., podsumowując w ten sposób osiągnięcia roku ubiegłego. Z kolei - jak informuje *Rzeczpospolita* z 13 stycznia - Rada Ministrów po porozumieniu z Ogólnopolskim Porozumieniem Związków Zawodowych - uchwaliła 19 grudnia 1985 r. rozporządzenie w sprawie czasu pracy w uspołecznionych zakładach pracy w latach 1986-88 oraz zmian niektórych przepisów o czasie pracy (Dz. U. nr 59) Rozdział 1, paragraf 4, ustęp 1 wspomnianej ustawy głosi, że *Na wniosek pracowników kierownik zakładu pracy może przedłużyć czas pracy na dobę do 9 godzin, a w tygodniu (...) do 48 godzin...**

Na wniosek pracowników! Jednak już ustęp drugi tegoż paragrafu rozwiewa nadzieje na demokratyczne wydłużenie czasu pracy. Bo oto w *okresach zwiększonych zadań produkcyjnych lub usługowych system czasu pracy, o którym mowa w ust. 1, może być wprowadzony również z inicjatywy kierownika zakładu pracy*. Zwiększenie wymiaru godzin pracy nie może jednak zaskoczyć pracowników, dlatego też ustęp trzeci stanowi, że *może on być wprowadzony co najmniej z trzydniowym uprzedzeniem (...) i w uzgodnieniu z zakładową organizacją związkową. I dalej - ustęp 4: okres zwiększenia pracy związany z wyż. wym. systemem czasu pracy nie może być dłuższy niż 24 tygodnie*. A więc na 5 miesięcy można dowolnie przedłużyć czas pracy w danym zakładzie. Z wydłużonego czasu pracy zwolnieni są młodociani, kobiety w ciąży lub opiekujące się małymi dziećmi. chy-

*ba że wyrazą one na to zgodę. Praca tak wykonywana nie jest pracą w godzinach nadliczbowych. Dostaje się za to dni wolne. Przy pracach uzależnionych od pory roku i warunków atmosferycznych - głosi ustawa w paragrafie 11 - kierownicy mogą przedłużać czas pracy w poszczególnych dniach do 12 godzin na dobę, pod warunkiem, że w ciągu 5 miesięcy odda się im to w postaci wolnych dni. Podobnie odbywa się też dobrowolne czy też ogólnie narzucone podjęcie pracy w dni ustawowo wolne od pracy, pod warunkiem jedynie racjonalnego wykorzystania pracy w pozostałe dni tygodnia.*

A więc robotnicy - lenie nie pracują (tytuł *Trybuna Ludu* głosi, że *czas przecieka przez palce*, podtytuł zaś, *iż dniówka jak zęlaty perka!*), więc teraz - *na własną prośbę* będą pracować dłużej. A jak nie poproszą, to znajdzie się na nich ustawa.

#### „ŻOŁNIERZ WOLNOŚCI” L... DUSZPASTERSTWO

20 grudnia ub. r. w podniosłej atmosferze przedświątecznej Tadeusz Mitek wypowiedział się obszernie o *Strategii ewangelizacji i duszpasterskiej praktyce* na łamach *Żołnierza Wolności*.

Posoborowa „*accommoda renovatio*” oznacza przystosowanie się katolicyzmu do współczesności, a zarazem się wysiłek przywrócenia prymatu religii w dzisiejszym świecie, poperzejenia go ideą chrystohumanizmu. Kościół z wielką energią, konsekwencją i nowoczesnymi metodami rozwija koncepcję totalnej ewangelizacji (chrystianizacji) współczesnego świata.

Jak odbywa się owa totalna ewangelizacja w Polsce?

Obok rozbudowanego duszpasterstwa urabiającego religijnie wszystkie niemal środowiska społeczne i zawodowe, uwagę zwraca zwłaszcza ogromna aktywizacja Kościoła w dziedzinie katechizacji młodzieży. Z konsekwencją tworzy Kościół nowe i reorganizuje stare struktury katechetyczne obejmujące dzieci już od wieku przedszkolnego. (...)

Od wieku, w którym dziecko nie jeszcze nie rozumie z otaczającej je rzeczywistości, wpała mu się przekonanie o jedności i absolutnym prymacie wartości religijnych oraz wyrabia negatywny stosunek do wszelkich przejawów materialistycznej wizji świata. Ta prolektynna ciekawka jest permanentna i jest faktem. (...)

Jak wobec tych faktów mają się ponawiane co pewien czas wystąpienia kierownictwa Kościoła protestujące przeciwko świeckiemu charakterowi państwowych szkół i wszelkie zarzuty co do przymusowej rzekomo ateistycznej społeczeństwa

Doprawdy, tak jest trudno utrzymać pluralizm ideologiczny w kraju, gdzie rządzą partyną nomenklatura, że *Zołnierze Wolności* dosłownie tamie ręce, dramatycznie pytając:

*Czyżby społeczeństwo nie miało jednak prawa być pluralistyczne światopoglądowo, a już w żadnym wypadku nie mogło być wychowywane w duchu świeckim?*

#### TRADYCJA

3 grudnia *Głos Wybrzeża* doniósł o otwarciu *Sali Tradycji* w gdańskim MUSW. Artykuł zacytował dodatkowo wzruszającym zdaniem: *By pamięć o nich trwała w pokoleniach.* Aby nie było wątpliwości - Sala Tradycji upamiętnia walki funkcjonariuszy SB i MO o utrwalenie władzy ludowej i obronę socjalistycznej ojczyzny, jest dowodem ich bohaterstwa i poświęcenia, świadczy o ogromnym wkładzie pracy w zapewnienie ładu i porządku publicznego ... I tak dalej, i tak...

#### POMNIK MATKI POLKI

W trzy dni później, a więc 6 grudnia *Głos Wybrzeża* poinformo-

wał, że *Prawomocnym orzeczeniem Kolegium ds. Wykroczeń (...)* ob. Henryk Mikulewicz (...) ukarany został (...) karą zasadniczą grzywny 40.000 zł, ponadto karą dodatkową w postaci nawiązki 5.000 zł na rzecz Centrum Matki Polki, przepadek ulotki oraz podanie orzeczenia do publicznej wiadomości w prasie na koszt obwinionego za to, że (...) naklecił na szybie okna wystawowego ulotkę...

*Gazeta Robotnicza* z 21 listopada 1985 r., relacjonując sprawę Tadeusza Lenkiewicza i Bogdana Giermka (obu aresztowano i skazano - z uwagi na chuligański charakter przestępstw - w trybie doraźnym za uszkodzenie mienia społecznego oraz zmuszanie funkcjonariuszy publicznych do zaniechania prawnych czynności służbowych) podała, że obaj oskarżeni skazani zostali na bezwzględne kary pozbawienia wolności - każdy na 1 rok i 6 miesięcy oraz grzywny po 50 i 70 tysięcy zł. Ponadto zasądzone od nich dwie obligatoryjne nawiązki - na rzecz strony poszkodowanej po 40 tysięcy zł oraz na rzecz budowy Pomnika Szpitala Centrum Matki-Polki - po 30 tysięcy zł.

Tak więc budujemy pomnik, wymyślony przez generała (wówczas) - premiera dla uczczenia polskiej tradycji patriotycznej, która pomogła przetrwać niewolę zaborów i wojny. Czci się ją urzędowo i przymusowo, zasądzając obligatoryjne na-

widując od działaczy podziemia i ludzi budujących niezależne społeczeństwo.

#### STRASZNE

Paź drugi w krótkim okresie celnicy ze szczęcińskiego urzędu odkryli w paczce nadanej z Francji *wrogą literaturę i materiały poligraficzne* - o tym strasznym wydarzeniu poinformowało Radio Warszawa w I programie 10 lutego br. Dalej dowiedzieliśmy się, iż według dokumentów w przesyłce, której adresatką jest jedna z mieszanek Lublina, mieliśmy znajdować się dary w postaci odzieży i żywności. Paczka zawierała zaś m. in. 200 matryc poligraficznych i kilkanaście broszur. W sprawie tej wszczęto odpowiednie postępowanie.

Z kolei innego dnia na łamach polskiej prasy dyrektor Agencji Interpress - pan Głabiński (wyrzucony swego czasu przez rząd Reagana ze Stanów Zjednoczonych), obrzucając „Wolną Europę” wciąż tym samym błotem, chwali się m. in., iż czytał wydaną na Zachodzie książkę byłego dyrektora Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa, Jana Nowaka. Czy w sprawie tej „wrogiej literatury” wszczęto również „odpowiednie postępowanie”? ■

## KSIAŻKI WYDAWNICTWA "KONTRA"



LEW SZESTOW

"APOTEOZA NIEOCZYWISTOŚCI" — £ 6-75 (\$14-00)

SZYMON SZECHTER

"CZAS ZATRZYMANO DO WYJAŚNIENIA" — £ 6-00 (\$12-00)

"SZECHTEREZADA"

— £ 4-50 (\$12-00)

JÓZEF MACKIEWICZ

"FAKTY, PRZYRODA I LUDZIE" — £ 12-00 (\$24-00)

"ZWYCIĘSTWO PROWOKACJI"

— £ 7-95 (\$20-00)

"KONTRA"

— £ 7-95 (\$20-00)

JÓZEF MACKIEWICZ

i BARBARA TOPORSKA

"DROGA PANI" — £ 13-50 (\$29-00)

SASZA SOKOŁÓW

"SZKOŁA DLA GŁUPKÓW" — £ 6-00 (\$12-00)

NINA KARSOV i SZYMON SZECHTER

"NIE KOCHA SIĘ POMNIKÓW" — £ 6-75 (\$14-00)

KSIAŻKI WYDAWNICTWA "KONTRA" MOŻNA KUPIĆ WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH POLSKICH LUB W WYDAWCY: "KONTRA", 28 LANACRE AVENUE, LONDON NW9 5FN, TEL. 01-200 6125

k

Rafał Czekanek

## Rozgrywki gangsterów

Związek Literatów Polskich nigdy nie był w PRL organizacją dla władz wygodną. W swej historii wielokrotnie stanowił ognisko zapalne w komunistycznym organizmie, był zarazem oazą względnej wolności i równie względnej demokracji. Wolno było w czasie zamkniętych zebrań ZLP w okresie stalinizmu krytykować – jak to zrobił Aleksander Wat – doktrynę realizmu socjalistycznego co w ówczesnej rzeczywistości było niemal zdradą stanu. Można było, zwłaszcza po roku 1956, atakować istnienie cenzury i żądać jej usunięcia. Słynne zebranie oddziału warszawskiego ZLP z 29 lutego 1968 roku podejmowało uchwały protestujące przeciw narastającej kampanii antysemitkiej, zaś pisarze odważnie atakowali tak zwaną „politykę kulturalną”. To właśnie wówczas Stefan Kisielewski wypowiedział swe słynne słowa o „ciemniakach” kierujących życiem kulturalnym kraju. Mówił: *Zaczyna się jakaś ponura bzdura, dla której trudno znaleźć motywację poza tym, że ta sprawa (kultury) dostała się w ręce ciemniaków wyposażonych w monopolistyczną władzę nad słowem, drukiem i rozpowszechnianiem.*

ZLP, aż do jego „rozwiązania” w roku 1983, był związkiem chroniącym swych członków przed represjami władz. Pisarze pozbawieni prawa druku, szykanowani i znieważani nie tylko mogli na terenie organizacji znaleźć forum dla przedstawiania swych racji, lecz ratowani byli z opresji finansowych różnego rodzaju (niewysokimi, to prawda) stypendiami i zasiłkami. Był też ZLP jakąś minisceną rzeczywistej demokracji, której brakło gdzie indziej; tu dochodziło do faktycznego ścierania się postaw ideowych, do niemanipulowanych dyskusji o stanie kraju i społeczeństwa. Skuteczność działań pisarzy poza związkiem była co prawda niewielka, ale istnienie tej oazy względnej wolności stanowiło dość ważny element całego polskiego życia intelektualnego. Co prawda pokrzykiwał Gomułka na niesfornych ludzi pióra, że *tatwo być w opozycji, gdy nie grozi za to więzienie i nie trzeba nad ranem oczekiwać nieproszonego gościa*, ale jednocześnie karzeni pisarze podpisywali (jak w roku 1963) słynny „List 34” w sprawie zagrożeń kultury narodowej czy (jak w roku 1975) znany memoriał pięćdziesięciu dziwiuczy protestujących przeciw zmianom Konstytucji. Te głosy było słychać w całym kraju. Choć nie były skuteczne

w sensie doraźnym, oddziaływały przecież na kształtowanie postaw społecznych, ocalały idee „obywatelskiego nieposłuszeństwa”. Więcej: mimo stałego nacisku władz środowisko literackie nie dopuściło do wydalenia z ZLP swych przebywających na emigracji kolegów, co miało wymowę symboliczną, dowodziło, że literatura pozostaje rzeczywście niepodzielna. Warto też może przypomnieć drobny, ale ważny epizod: po klęsce powstania węgierskiego w roku 1956 polscy pisarze wystąpili o udzielenie azylu zagrożonym kolegom.

Teraz władza z „literatami” podobnych kłopotów nie ma. Po udanej akcji zmiany związku dziennikarzy na „super-duperel” (SD PRL) i pisarzy na „zlep” (ZLP) tego rodzaju trudności się zakończyły. Ale też należy podkreślić, że władza z pisarzami jednak się cackała, usiłowała wymusić na nich kolaborację. Nie było to proste, podobnie jak w wypadku plastyków: oba związki podpisały w roku 1981 umowy o współpracy z „Solidarnością”, zaangażowały się czynnie w odbudowę podmiotowości społeczeństwa, toteż po 13 grudnia 1981 roku nie udało się z nich wyłonić ani prośbą, ani groźbą kolaboranckich ekip. Władza długo jednak nie rezygnowała. Wiadomo dlaczego. Chodziło, z grubsza rzecz biorąc, o to, żeby w neo-związkach twórczych nadal znajdowali się pisarze z prawdziwego zdarzenia. Władza lubi mieć swoich „literatów”, najchętniej dobrych. Lecz w końcu podjęto decyzję o rozwiązaniu ZLP i o utworzeniu nowego związku. W języku gangsterów nazywa się to obrabowaniem firmy razem z szyldem. Powstał nowy ZLP, którego twórcami była grupka od początku nosząca się z zamiarem przejęcia władzy w dawnej organizacji. Teraz władzy nie przejęła, ale dostała ją od junty. Tak oto reprezentantami literatury polskiej zostali: Audeńska, Koźniowski, Wasilewski, Safjan. Jedno w tym wszystkim było dla nich przykre: zdobyli wymarzone tytuły i stanowiska, ale spod ich władzy wymknęli się prawdziwi pisarze, którymi tak chcieli drygować. Ci po prostu do neo-ZLP nie wstąpili.

Tu dygresja: „Rozwiązanie” ZLP jest z punktu widzenia prawa czystym idiotyzmem i nie może zostać uznane. ZLP, podobnie jak wszelkie organizacje związkowe tego typu, może być rozwiązane jedynie przez zjazd delegatów, co wyraźnie określone jest w jego statucie. Sytuację tę z punktu widzenia prawa trafnie opisuje Joanna Strzelecka: *ustawa o związkach zawodowych z 8 października 1982 roku (...) nie zawiera przepisu o rozwiązaniu związków zawodowych istniejących przed wprowadzeniem jej w życie. Artykuł mówiący, że unieważnia się rejestracje starych związków, jedynie odbiera tym związkom oso-*

bowość prawną, rejestracja bowiem nie ma nic wspólnego z legalizacją. Związki zawodowe są jedynymi organizacjami, które nie muszą się „legalizować”. Gdy na konferencji prasowej zorganizowanej przez Jerzego Urbana w sejmie po uchwaleniu ustawy o związkach zawodowych zapytałam go, dlaczego wciąż mówi o rozwiązaniu „Solidarności”, związków branżowych i autonomicznych, skoro one się nie rozwiązały, ani żaden sąd ich nie rozwiązał i co więcej, nawet ustawa nie zawiera żadnego przepisu o ich rozwiązaniu, rzecznik prawosy rządowi stwierdził, że nie jest prawnikiem i nie potrafi na to pytanie odpowiedzieć. Zapisalam je na kartce i po dwóch tygodniach otrzymałam odpowiedź od prawników zatrudnionych w biurze rzecznika rządu PRL. Brzmiała ona mniej więcej tak: Co prawda ustawa o związkach zawodowych nic nie mówi o rozwiązaniu starych związków zawodowych, ale to, że zostały one rozwiązane wynika z... przemówień posłów w sejmie. I panowie prawnicy i ja wiemy dobrze, że przemówienia posłów praw nie tworzą. To samo dotyczy „rozwiązania” ZLP.

Wróćmy jednak do Auderskiej i Koźniewskiego, którzy musieli w końcu stworzyć sobie własny związek: to wolno w świetle prawa każdemu. To, że ukradli własność swych niedawnych kolegów (majątek związkowy, prawa przedstawicielskie itp.), to w końcu drobiaż – nie takie już dobra rabowano w komunizmie. Ważne jest, co się stało dalej: a dalej chłopcy – z Auderską na czele – wzięli się rażno do roboty i podwyższyli sobie stawki autorskie, załatwili wyższe honoraria za odczyty (z zastrzeżeniem, że nie dotyczy to autorów „niezrzeszonych”), wreszcie wywalczyli coś, co nazywają „ścieżką szybkiego druku” – po ścieżce poleciały, jak o tym doniosła *Polityka* tomy dzieł członków zarządu neo-ZLP i ich najbliższych kumpli. Warto przy tym wiedzieć, że normalny pisarz czeka na wydanie książki w PRL mniej więcej pięć lat – „ścieżka” załatwia sprawy w kilka miesięcy.

I oto nadszedł zjazd neo-ZLP. Zaczęły się dziać rzeczy tak straszne, że *Polityka* poświęciła im w jednym numerze aż 3 (słownie: trzy) materiały, a w następnym dołożyła Passentem, który problem pogłębił. Dlaczegoż to tak? Ano dlatego, że „masy związkowe” wykopały w wyborach pupilków władzy ludowej – nie wybrano ani Putramenta, ani Przymanowskiego, ani Koźniewskiego, ani Wasilewskiego. Ledwo Żukrowski ocalał i on właśnie, a nie proponowany przez władze prof. Krawczuk, został nowym prezesem. Tylko dlatego, że nie był desygnowany przez KC. Jedno zdolano uratować: „w uznaniu zasług” mianowano Auderską „honorowym prezesem” tak zwanego ZLP (mającą na dotychczas).

Kłęska władzy na całej linii. Ale kto zwyciężył? *Polityka* pisze, że „lewacy”. Inni mówią, że środowisko *Rzeczywistości*. Tymczasem zdarzyło się to, co zwykle. Sprawa jest dziecinnie prosta. Komuniści najpierw zepsuli zabawkę, a później dziwiły się, iż nie działa. Rozwiązanie dawnego ZLP oznaczało zachwianie równowagi między „opozycją” a „ultralewakami” w rodzaju Bogdana Drozdowskiego. „Opozycja” i życzliwy jej „środek” znalazły się poza związkiem. Do neo-ZLP należały w tej chwili około 800 członków (wobec 1 500 pisarzy zrzeszonych uprzednio). Władza mianowała zarząd złożony z ludzi „linii porozumienia i walki”, natomiast do neo-ZLP napływać zaczęły zwolennicy „linii walki jako takiej”, czyli miernota literacka, dla której jedyną legitymacją twórczą może się stać jedynie kariera typu urzędowego. W dodatku władza stworzyła bodźce do walki o stanowiska: skoro członkowie zarządu pierwsi wbiegli na „ścieżkę szybkiego druku” to znaczy że trzeba ich „wykosić” i wepchnąć się na ich miejsce.

Tak oto rozpoczął się frontalny atak grafo-manów, przedtem sfrustrowanych tym, że stawę odbierają im pisarze z prawdziwego zdarzenia, a teraz wkurzonych na swoich kumpli z zarządu, że dbają tylko o siebie. W dodatku zarząd – zapewne w nadziei, że skusi choć część z tych, co z neo-ZLP kolaborować nie chcą – wypowiadał się raczej w tonie liberalnym, podczas gdy „masy związkowe” wolałyby rozstawiać różnych Worzylskich, Herbertów czy Szymborskie po kątach. Ot i wszystko. Aż wstyd wyjaśniać tak nieskomplikowane rzeczy takim ludziom jak Passent. Że Passent jest cynikiem wiadomo to w końcu od dawna, ale że jest głupcem to pewnego rodzaju nowości.

Powiedzmy sobie szczerze: cała ta afera ma znaczenie jedynie dla władzy, nie ma natomiast nic wspólnego z literaturą. Pisarze polscy, aby pisać, nie muszą należeć do neo-ZLP. Tym bardziej, że nie jest to już ich organizacja, lecz „transmisja partii” do „mas związkowych”. Jak większość organizacji powoływanych do życia po wprowadzeniu stanu wojennego, neo-ZLP jest karykaturą przedtem działającego stowarzyszenia. Być może, to, co się w nim ostatnio stało zmusi, „liberalną ekipę” Generała do przemyślenia swych dotychczasowych posunięć. Wybory w neo-ZLP można bowiem potraktować jako modelową sytuację, która powtarzać się będzie i gdzie indziej. w filmie i gospodarce, w dziennikarstwie i w polityce. Cóż, już kiedyś, dawno temu, pisał poeta: *Nowe przystawie Polak sobie kupi, że i przed szkodą i przostodzie głupi*. Najprawdopodobniej nie dotyczy to wszystkich Polaków. rządzących na pewno. ■

Janusz Rudnicki

## Po tamtej stronie „barykady” żyje się ciężko

Rechu! Rechu! Kwaku! Kwaku!  
Śród moczarów i mokradł  
Harmonijną serenadę  
Na fujarkach, chlupu, chlup  
Wygrwiają chóry żab.

(Arystofanes, *Żaby* z tomu *Komedie*  
wybrane. Przełożył A. Sandauer)

Do tego nowego ZLP nie łatwo tak od razu się dostać. Trzeba najpierw być kandydatem, potem dopiero zostaje się członkiem. Kiedyś to od razu, teraz „staż kandydacki”.

Członków jest już 817, kandydatów 113. Mówi się, że napływ ma tendencję zwyżkową i niedługo będzie okragły tyśiąc.

Przed Zjazdem wielu z tych, którzy piszą, wypowiadało się. Temat rzuciła warszawska *Kultura*: *Doświadczenia ruchu literackiego i jego perspektywy*.

Kolega Gąsiorowski pozwolił sobie zacytować siebie samego sprzed blisko dwóch lat:

*Uważam, iż powinniśmy sobie zdawać sprawę z tego, że wchodząc do ZLP, do jego władz, uczestniczymy w wielkim i dramatycznym polityczno-społecznym eksperymencie, od powodzenia którego (...) zależy być może, ni mniej ni więcej, tylko... nasza narodowa przyszłość, przynajmniej jej najbliższe dziesięciolecie, że na tym niewielkim, ale nader pilnie obserwowanym wycinku polskiego życia zbiorowego także tworzymy i sprawdzamy, naprawdę w historycznej skali, nasze społeczne i narodowe szanse wyjścia z kryzysu postaw, wartości i marzeń...*

Kolega Rogowski wypowiedział się na temat „barykady”. Po tej stronie nie jest dziś wcale łatwiej, niż po tamtej, bo tam są mecenasi, którzy dają taskawe wsparcie i nie żądają pieniędzy. Są siły, mówił kolega Rogowski, które usiłują powstrzymać zblżliżanie się ran, czy tylko zadrapań, i dla tego żyje nam się ciężko.

Żyje się ciężko to raz, a dwa: żyjemy w otoczeniu pełnym gęstego, zimnego cienia zapadlin, gdyż roznamiętnieni oporem przeciwnicy usiłują zabić to, co najważniejsze nie tylko dla pisarza, ale

dla każdego człowieka, jego godność własną, jego dobre imię. Ci przeciwnicy, których wrogość ma już cechy irracjonalne, to może się kiedyś zmieniać, w czym *Boże im dopomóż*, mówił kolega Rogowski.

Koleżanka Auderska poruszyła temat dyskryminacji, która jest, a jakże, tylko w przeciwną stronę: *Na przykład krytycy w swoich recenzjach ostatnimi czasy preferują autorów nie będących członkami ZLP, o czym miałam okazję przekonać się sama jako autorka książki „Zabić strach”*. I tu pada skarga, że choć minęło parę miesięcy od wydania książki, to jedyną recenzję zamieściła tylko *Kultura*.

Co się tyczy rozszerzenia kręgu oddziaływania polskiej literatury, to on się nieco rozszerzył: *...myślę tu m. in. o przekładzie prozy Sienkiewicza na język chiński*.

Kolega Żukrowski zaczął od zdania: *Najważniejsze, że przy ujadaniu tyłu wrogich radiostacji Związek jednak powstał*.

W ocenie prezesa nowego ZLP in spe wszystkich wyglądało mniej więcej tak:

*Kiedy załamały się wyrachowania powiązane z „Solidarnością”, dążono do katastrofy, byle tylko spięcia miały głośne echo, skwapliwie wzmocnione przez wrogie Polisce ośrodki agenturalne. Została zerwana łączność z wszystkimi Związkami Literatów w krajach socjalistycznych, co oczywiście odbiło się na wymianie pisarzy i ich dorobku. Jasne, że lękając się kłopotów zagraniczni wydawcy, nie wiedząc, jak się pisarz zadeklaruje, czy nie fiknie koziołka, nie ogłosi listu otwartego w „Le Monde” czy paryskiej „Kulturze”, woleli książek współczesnych nie publikować. To odium rozciągało się i na rzetelnych pisarzy, którzy nie utracili rozsądku, nie mieli wyrachowań na paryskie wydanie i emigrancką nagrodę.*

Oprócz przekładu Sienkiewicza na chiński, Związek, w ocenie kolegi Żukrowskiego, ma jeszcze inne zasługi:

*Otóż za najważniejszą zastęgę tymczasowego Zarządu ZLP pod kierownictwem Haliny Auderskiej uważam obronę dobrego imienia pisarza myślącego patriotycznymi racjami swego narodu, mimo obrzydliwych pomówień, anonimów, nagonki, a nawet prób podpalenia jej mieszkania...*

I tak, powoli, wypowiedź za wypowiedzią, zleciało do samego Zjazdu.

\* \* \*

Zjazd nowego ZLP, drugi, zaczął się, trwał i odbył.

Wybrano nowe władze, pożegnano stare. Ponoć te nowe to beton, ale jakie to ma dla nas

znaczenie? Kolega Centkiewicz złożył wniosek, aby podjęto uchwałę nadzwyczajną. Mianowicie, żeby koleżankę Auderską uczynić honorowym prezesem ZLP. W dowód uznania. Wniosek przeszedł przez aplakację.

Kolega Żuliński zauważa w warszawskiej *Kulturze*, że pointa, którą koleżanka Auderska zakończyła swoje wystąpienie była wymowna. Pointa koleżanki Auderskiej brzmiała: *Wyrażam nadzieję, że przyszedł zarządek w dłuższym, bo trzyletnim okresie, potrafi zdziałać nie mniej dla polskiej kultury oraz prestiżu związku.*

O tym, co zrobiono i zdziałano, między wieloma innymi dokonaniem, mówi też przewodniczący komisji zagranicznej, kolega Roszko. Podpisano otóż porozumienie o współpracy z krajami socjalistycznymi, w tym z Kubą, Chinami, Afganistanem, a nawet z OWP. To jeszcze nie wszystko, bo przygotowane są umowy z Grecją, Syrią, Wietnamem i Indiami.

Na Zjeździe padało wiele głosów krytycznych. Padła też jedna metafora, też krytyczna, która się przyjęła. Metafora ta wyszła z ust kolegi Twerdochliba, chyba pisarza. Chodziło w niej o to, że w sprawach socjalnych, bytowych, wydawniczych *daleko jeszcze do drugiego brzegu.*

Kolega Twerdochlib powiedział jeszcze, oprócz w/w metafory, że Zjazd ten powinien być dyskusją ludzi, którzy zdają sobie sprawę, że zajmują w społeczeństwie wyjątkowo odpowiedzialne i brzemiennie w konsekwencji miejsce.

Do Zarządu Głównego ZLP wybrano 21 kolegów powierzając im tym samym miejsce jeszcze bardziej w konsekwencje brzemiennie. Całego składu nie ma sensu wymieniać, bo większość znana jest jedynie w swoich kręgach rodzinnych. By ograniczyć się do bardziej znanych: koledzy Czeszko, Kawalec, Koprowski, Rusinek, Sadkowski, Wasilewski, Wójcik, Żukrowski.

Następnie wyłoniono prezesa.

Ogłoszenie wyniku w ujęciu wspomnianego wcześniej kolegi Żulińskiego „Wojciech Żukrowski!” Habemus papam – chciałoby się powiedzieć o Żukrowskim, przyjacielu z lat młodości Karola Wojtyły.

Ponoć sam kolega Żukrowski miał dziękować delegatom za wybór z zakłopotaniem. Miał, świadomy czekających go trudów, powiedzieć: *Czuje się jak przed wypuszczeniem na corridę.*

I miał nawet zażartować, że nie da się w przyszłości wykluczyć głosów, że *za tej Auderskiej nie było tak źle.*

Zrelacjonował kolega Rudnicki

## SUPLEMENT

Żaby wysoko wyspecjalizowane mają krótkie tułów, brak im ogona, mają silne, rozszerzone nogi tylnie z błotniastymi stopami, a cechy te stanowią przystosowanie do ich trybu życia...

Język żaby jest przyczepiony w przedniej części jamy gębowej i może się wysuwać z otworu gębowego, by chwycić owady i inną zdobycz...

(...)

(Claude A. Villee, Biologia)

*Żaba* z IV, CMs. – bie, Im D. *żab*(...) Występuje w wielu gatunkach lądowo-wodnych na wszystkich kontynentach. X przysł. Konia kują, żaba nogę podstawią.

Żabi przym. od Żaba, Żabi rechot.

(Słownik języka polskiego  
PWN, W-wa 1981

Red. naukowy prof. dr M. Szymczak)

## PISANIE W TIUTIURLISTANIE





Anatol Wiśniewski

# Sprawiedliwość bez maski

*Wbrew pewnym nadziejom na odwilż, jakie żywiła znaczna część społeczeństwa polskiego u schyłku 1985 r. w pierwszych miesiącach br. nastąpiło widoczne zaostrzenie kursu w stosunku do opozycji politycznej. Złożyło się na to szereg czynników.*

Przed wszystkim zawiódła „humanitarna” akcja, zainicjowana w listopadzie przez PRON, która zresztą obecnie już „wygasła”, choć władze nie ogłosiły jej zakończenia. Wprawdzie do połowy stycznia br. na jej podstawie – jak podano oficjalnie do wiadomości – zakłady karne opuściło 234 więźniów sumienia, żadnemu z nich jednak nie umorzono postępowania, ani nie darowano kary w całości lub części, co sprawa, że ich konflikty z wymiarem sprawiedliwości nie są zakończone. Zwalniani powracali na wolność bądź na podstawie uchylecia sankcji w śledztwie przez prokuratora, by następnie z wolnej stopy odpowiadać przed sądem, bądź na wniosek oskarżyciela publicznego zawieszano im wykonanie wyroku pozbawienia wolności, bądź też po zakończeniu procesu i uprawnoczeniu się werdyktu sądowego, wyrażano zgodę na warunkowe przedterminowe zwolnienie albo przerwę w odbywaniu kary. Należy przy tym dodać, iż wszystkie stosowane środki nie stanowią w polskim systemie karnym nowości i były stosowane na szeroką skalę przed wejściem w życie ostatnich zmian w kodyfikacji karnej w lipcu 1985 roku. Ograniczono wówczas możliwość zawieszania kary pozbawienia wolności, udzielania przedterminowych warunkowych zwolnień oraz wprowadzono ustawowo obowiązek szeregokiego stosowania aresztów, choć te były zawsze w Polsce nadużywane.

Co jednak najważniejsze „humanitarna” akcja objęła tylko część więźniów sumienia wskutek najrozmaitszych ograniczeń, o których już pisaliśmy. Sprawili one, że z ulg, jakie z sobą niosła, nie mogli skorzystać najbardziej znani w Polsce działacze opozycji, jak i inni mniej znani, którzy w Polsce szczególnie narazili się władzy.

Równoległe ze zwalnianiem odbywały się też nowe aresztowania. Wedle najnowszych danych, udostępnionych dziennikarzom zagranicznym przez Centralny Zarząd Zakładów Karnych w dniu 10 marca br., w polskich więzieniach przebywa obecnie 150 aresztantów i więźniów niekryminalnych, zaś według danych pochodzących ze źródła nieoficjalnych i opartych o listy imienne, prawdziwa liczba więźniów sumienia sięga 242 osób. Zwyczajem polskich władz część więźniów politycznych potraktowano jako kryminalnych, co

często służy podwójnemu celowi. Po pierwsze – poprawia statystyki, po drugie – pomaga w ukryciu nadużyć popełnianych przez esbeków i milicję.

Dla bliższego naświetlenia problemu posłużę się dwoma przykładami. Przed paroma zaledwie tygodniami Sąd Najwyższy drastycznie podwyższył kary dwu funkcjonariuszom milicji, skazanym w swoim czasie przez Sąd Wojewódzki w Słupsku za rzekome łapownictwo. W rzeczywistości obu funkcjonariuszy ukarano za współpracę z nielegalnymi strukturami „Solidarności”, choć tę część zarzutów umorzono na mocy amnestii z roku 1984. Pomysł oskarżenia ich o łapówkarstwo przyszedł do głowy władzom śledczym dopiero w parę miesięcy po aresztowaniu, gdy okazało się, jak wątpliwe są dowody winy. Owo łapownictwo polegać miało na tym, że rzekomo kpt. Adam Hodysz wręczył 100 tys. zł łapówki swemu koledze, Piotrowi Siedlińskiemu, młodszemu inspektorowi w randze szeregowca, za udzielenie podziemnej „Solidarności” informacji o osobach zatrzymanych w zajęciach ulicznych. W rzeczywistości owe 100 tys. zł stanowiło charytatywną pomoc dla Siedlińskiego, który był w owym czasie zawieszony w czynnościach służbowych przez szereg miesięcy z powodu swej uprzedniej działalności i miał na utrzymaniu czteroosobową rodzinę. Ostatecznie Adam Hodysz skazany został przez Sąd Najwyższy na karę 6 lat pozbawienia wolności (w pierwszej instancji 3 lata), zaś Piotr Siedliński na 4 lata (w pierwszej instancji na 1,5 roku). Przy czym obu funkcjonariuszom wymierzono wysokie grzywny.

Inny przykład stanowi proces, który odbył się niedawno w Kielcach. Niejaki Marian Trzpiet, technik-mechanik, zatrudniony w miejscowej fabryce pomp, został skazany za czynną napaść na funkcjonariusza MO na karę 1,5 roku pozbawienia wolności z zawieszeniem i 200 tys. zł grzywny (!). Sprawa przedstawiała się następująco: w dniu 12 października, w przededniu wyborów do sejmiku PRL, funkcjonariusze milicji zauważyli napisy i ulotki wzywające do bojkotu, rozlepiane w pobliżu jednego z lokali wyborczych na osiedlu Karczówka oraz ujrzeni dwóch młodych ludzi, którzy zaczęli uciekać. Funkcjonariusze puścili się

w pogoń, strzelając do uciekających, po czym udało im się chwycić jednego z nich, Mariana Trzpieta, którego ciężko pobili, a następnie przewieźli do urzędu spraw wewnętrznych. Ponieważ przy podejrzanym nie znaleziono żadnych kompromitujących materiałów, zaś on sam nie przyznał się do rozlepiania ulotek, oskarżono go o dopuszczenie się czynnej napaści na funkcjonariusza, co zarazem usprawiedliwiało odniesione przez niego obrażenia. Świadcami oskarżenia byli ci sami funkcjonariusze, którzy najpierw gonili Trzpieta strzelając do niego (niecelnie), potem zaś go skatowali.

Sprawę Mariana Trzpieta uznać można za bardzo charakterystyczną jeszcze z innego punktu widzenia. W toczących się procesach politycznych (choć nie tylko) sądy odnoszą się bezkrytycznie do obciążających dowodów zgromadzonych przez funkcjonariuszy SB i MO, nawet jeśli są one w sposób ewidentny nieprawdziwe. Sędziowie z reguły dają im wiarę nie dostrzegając jawnej manipulacji i fałszerstw, podobnie jak wierzą w każde słowo funkcjonariuszy występujących w charakterze świadków w procesach politycznych. Sytuacje takie osiągnęły swe apogeum podczas gdańskiego procesu B. Lisa, W. Frasyniuka i A. Michnika, kiedy sąd uznał za autentyczną taśmę magnetofonową z rozmowy B. Lisa z dwoma funkcjonariuszami SB, sfałszowaną w sposób oczywisty, a do tego wyjątkowo partacki. Sąd także ślepo wierzył zeznaniom innych funkcjonariuszy obciążających oskarżonych, choć byli to tylko świadkowie „ze słyszenia”, zasłaniający się tajemnicą państwową, gdy obrońcy chcieli poznać źródła posiadanych przez nich informacji. Na procesie gdańskim wszystkie dowody, jakimi dysponowało oskarżenie, pochodziły wyłącznie ze źródeł esbeckich, wszystkie ekspertyzy wykonano w zakładach podległych MO, tamże pracowali powołani przez sąd biegli, wreszcie świadkami oskarżenia byli funkcjonariusze SB. Na marginesie warto wspomnieć, iż publiczność na sali składała się również z esbeków nie licząc paru osób najbliższych dla oskarżonych. Wprowadzenie oddziało esbeków, zajmujących wszystkie miejsca dla publiczności, na salę, gdzie toczą się procesy polityczne niby to jawne, w rzeczywistości niedostępne dla publiczności, ukryte za szczerze zamkniętymi drzwiami, weszło ostatnio do obyczajów w sądach PRL. Podobnie przedstawiała się sytuacja podczas niedawnej rewizji procesu gdańskiego przed Sądem Najwyższym, a także na toczącej się „jawnie” rozprawie przywódców KPN.

Skoro mowa o procesie gdańskim, stanowił on od początku do końca pasmo nieprawości. Oskarżonym zamykano usta, bez powodu wydano ich z sali, uniemożliwiając wszelką obronę,

niewiele lepiej traktowano też adwokatów. Wypadkom łamania prawa, których dopuścił się Sąd Wojewódzki w Gdańsku pod przewodnictwem swego prezesa Krzysztofa Zieniuka, należałoby poświęcić znacznie obszerniejszą publikację. Proces gdański stał się skandalem nie tylko w Polsce, jego echa przeniknęły za granicę, zadziwiając cywilizowany świat.

Za tym bardziej druzgocący wypada uznać fakt, iż rozpatrując rewizję od wyroku, na którą oskarżeni wyczekiwali osiem miesięcy, Sąd Najwyższy usankcjonował bezprawie, jakiego dopuścił się sąd pierwszej instancji, wprowadzając do wyroku zmiany zaledwie kosmetyczne. Szczególny wydziałek prawny i moralny miało stwierdzenie – jakie uczynił Sąd Najwyższy w uzasadnieniu swego werdyktu – że naruszenia prawa dokonane przez sąd gdański nie miały wpływu na treść wyroku. Podobne stanowisko najwyższej instancji sądowej w Polsce jest sygnałem dla wszystkich sądów niższych instancji, oznaczającym, że w sprawach politycznych wolno drastycznie łamać prawo, zaś naczelne zasady polskiego procesu karnego można odłożyć do lamusa. Wyrok ten jest jeszcze zbyt świeży, by pokusić się o wstępną choćby analizę wpływu, jaki może on wywrzeć na praktykę polskiego sądownictwa. Wyraźny jego wpływ zauważalny jest jednak już dzisiaj na toczącej się rozprawie przeciwko Leszkowi Moczulskiemu i innym członkom KPN.

Opinia publiczna w Polsce i za granicą skupia swoje główne zainteresowanie na dużych procesach politycznych, w których jako oskarżeni występują znani działacze opozycji. Procesów politycznych jest jednak w Polsce wiele, toczą się one często w małych miastach, odpowiadają w nich młodzi ludzie, robotnicy, uczniowie, studenci, o których wiadomo bardzo niewiele albo zgoła nic. Jak podaje Komitet Helsiński w Polsce w 1985 roku toczyło się w naszym kraju 155 procesów politycznych, w roku bieżącym, sądząc po żniwie pierwszych miesięcy, będzie ich znacznie więcej.

W ostatnim okresie władze rozpoczęły prześladowania ruchu „Wolność i Pokój”, ruchu młodzieżowego, o ideach na wskroś pokojowych, dotychczas tolerowanego lub przynajmniej nie dostrzeganego. Prawdopodobnie sygnałem alarmowym stały się odmowy złożenia przysięgi wojskowej sprzecznej z sumieniem członków ruchu, choć żaden z nich nie odmawiał pełnienia służby. Liczby uwięzionych z tego powodu osób nigdy nie podano do publicznej wiadomości. W przekonaniu władz, każda niesubordynacja obniża autorytet sił zbrojnych. Wyroki, jakie zapadają w tych sprawach są surowe. Pomimo to problem narasta, odmów jest coraz więcej. Ostatnio opinia społecz-

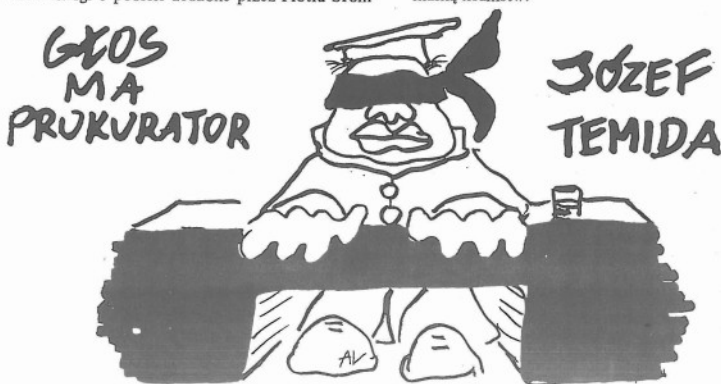
na została zaalarmowana aresztowaniem w Warszawie dwóch znanych działaczy ruchu „Wolność i Pokój” Jacka Czapotowicza i Piotra Niemczyka. Stanowi ono wyraźną oznakę, iż władze zamierzają energicznie zabrać się do ruchu zyskującego sobie coraz większą popularność w szerokich kręgach młodzieży.

Aresztowaniu, skazywaniu i więzieniu ludzi otwarcie wyznających przekonania, nie mające aprobaty czynników oficjalnych towarzyszy inne jeszcze zjawisko: używanie przemocy fizycznej, bicie i maltretowanie ludzi znajdujących się w rękach SB i milicji. Wypadki maltretowania występują w wielu sprawach i często jest o nich mowa na salach sądowych. Mówią oczywiście sami oskarżeni, od których wymuszano zeznania, lub bito ich bez powodu, po prostu w celach „wychowawczych”. Prokuratorzy i sędziowie udają głuchych, ani myślą o sporządzeniu doniesienia o przestępstwie, jakim jest przecież fizyczne maltretowanie pozbawionych wolności. Milczą również adwokaci, nie chcąc narażać się sędziom. Zdarzają się też wypadki, iż sędzia przewodniczący komunikuje oskarżonemu, że zwraca się pod niewłaściwym adresem i może wnieść skargę do sędziego penitencjarnego. W taki właśnie sposób odniósł się sąd do Zbigniewa Bogacza, odpowiadającego w tasiemcowym procesie o rozpowszechnianie ulotek w Mikułowie pod Katowicami. Bogacz, były sztygar w kopalni „Piast” i przewodniczący górniczej sekcji „Solidarności” wstawił się prowadzeniem dwutygodniowego strajku pod ziemią, bezpośrednio po ogłoszeniu stanu wojennego. Po aresztowaniu w 1985 roku pobito go ciężko w areszcie w Katowicach, czym jednak sąd w Mikułowie nie był łaskaw się zainteresować. W taki sam sposób załatwił sędzia Piotr Aleksandrow skargi o pobicie złożone przez Piotra Słom-

kę w procesie KPN. Esbecy zajmujący miejsca dla publiczności przyglądają się takim sędziom z niekłamany zadowoleniem. Umacniają ich oni w poczuciu bezkarności.

Czarny już i tak obraz polskiej sprawiedliwości A. D. 1986 nie byłby pełny, gdyby nie wspomnieć o pogarszającej się sytuacji w więzieniach. Przede wszystkim, co oznajmiono na wspomnianej już konferencji prasowej poświęconej problemom więziennictwa, w zakładach karnych przebywa obecnie ok. 113 tysięcy więźniów (przy 75-80 tys. miejsc), co sprawia, że warunki stają się trudne do zniesienia. Wobec więźniów politycznych stosuje się dodatkowo szykany i represje. Odmawia się im paczek, pozbawia widzeń, listów i spacerów z byle powodów, a także – już pozaregulaminowo odbiera ciepłą odzież, co stanowi szczególną dolegliwość w złe ogrzewanych pomieszczeniach więziennych. Stosunek funkcjonariuszy do „niekryminalnych” nacechowany jest pogardą, często wrogością, nie należą do rzadkości wypadki pobić. Można niejednego dowiedzieć się na ten temat czytając grypsy przychodzące do rodzin. Cenzura więzienna dba o to, aby w listach nie było skarg. Władze mogą na niej polegać, skoro np. w warszawskim więzieniu przy ul. Rakowieckiej cenzurowaniem poczty „niekryminalnych” zajmuje się osobiście kpt. Grzegorz Piotrowski, jeden z zabójców ks. Jerzego Popiełuszki.

Osoby stykające się z działalnością wymiaru sprawiedliwości stawiają sobie pytanie, jak daleko przesunąć się mogą jeszcze granice bezprawia. Trudno znaleźć na nie odpowiedź w państwie realnego socjalizmu. Nie można jednak zapominać, że normalizacja, o której tak chętnie mówi gen. Jaruzelski i członkowie jego ekipy obcym mężom stanu, ma drugą twarz, skrzętnie skrywaną pod maską kłamstwa.



# Jak ci się siedziało?

– Siedziałeś sam jeden do swojej sprawy. Nie sypaneś nikogo. W jaki sposób osiąga się taki stan?

– Moje zachowanie w czasie siedzenia zdeterminowane było lękiem przed tym, że ktoś mógłby z mojego powodu siedzieć. Niesamowicie się bałem, że bezpiecy mogą jakieś dziwne rzeczy wymyślić, dojść do kogoś, z kim byłem wcześniej związany... Ta obawa nie odstępowała mnie. Samemu można siedzieć bardzo łatwo. Nie wyobrażam sobie jednak siedzenia z myślą, że ktoś siedzi z mojego powodu. Nie rozumiałem ludzi, którzy siedzieli ze świadomością, że sypaneli całe grupy...

– Czy takich było dużo?

– Na ponad 200 osób siedzących w tym czasie kiedy ja, w więzieniu było zaledwie kilka, czy kilkanaście osób, które siedziały same do swojej sprawy. Pozostali to byli ludzie grupowi. Wpadały całe grupy po prostu.

– Czy było to wynikiem sypania, czy po prostu razem wpadli?

– Z sypania, kochana pani. Była np. taka sprawa. W jednym zakładzie pracy pojawiło się dużo ulotek. Bezpiecy udali się do dyrekcji, która dała im listę osób, które teoretycznie mogły być z tym związane, czyli tych najaktywniejszych przed wojną i tych, które miały możliwość łatwego poruszania się po terenie całego zakładu. Zwińnięto kilkadziesiąt osób, i w czasie przesłuchań bezpieka poszukiwała kolporterów ulotek. W czasie przesłuchań doszło do paradoksalnej sytuacji. Bezpiek wręcz przerwał przesłuchanie, żeby wezwać kogoś ważniejszego, zaś przesłuchiwanym prosił, żeby te rewelacje powtórzyli raz jeszcze. Okazało się bowiem, że szukali tylko kolporterów, a złapani zorganizowaną grupę. Ci ludzie sami przyznali się do tego, że oni ulotki drukowali, pisali i rozpowszechniali, że to jeszcze nie jest komplet, bo brakuje takich i takich ulotek.

– Czym tłumaczysz tego rodzaju nadgorliwość?

– Głupotą. (...) Tamta sprawa, o której mówiłem, dotyczyła w rozumieniu bezpieki wykrycia kolporterów zakładowych. A ci przyznali się do wszystkiego, do organizacji całej struktury, której istnienia bezpieka nie podejrzewała. Więcej: przyznali się nawet do istnienia drukarni i podali adres. Opowiem, bo to kuriozum: bezpieka pojechała pod podany adres. Tam okazało się, że drukarni nie ma. Wrócili oburzeni, a przesłuchiwanym grzecznie informują: bo myśmy kazali, żeby w momencie niebezpieczeństwa zlikwidować drukarnię. I dali dalsze namiary. Potem osoba, która likwidowała drukarnię, też się do tego przyznała. Ta gru-

pa została skazana wyłącznie na podstawie własnych zeznań.

– Większość wyroków ferowana jest w oparciu o zeznania oskarżonych.

– Tak, ale to jest, według mnie, taki szczególny przypadek. W innych jednak łapią ludzi, którzy mieli ulotki bądź zostali złapani w czasie drukowania czy przewożenia.

– Tak jak ty?

– Moja sytuacja była specyficzna.

– Czy była wynikiem twojej nieostrożności?

– Być może zaufania komuś – niepotrzebnie. To nie jest na mikrofon.

– Czy na podstawie własnych obserwacji i doświadczeń uważasz (omijam literaturę), że głównym źródłem „sukcesów” bezpieki, jest to, że ludzie opowiadają?

– Niemal wyłącznie, a już na pewno w 99%. Jeszcze raz chciałbym zwrócić uwagę na to, że większość działaczy nie wierzy w to, że im może zdarzyć się wpadka. Dlatego nawet *Małego konspiratora* przerzucą jako ciekawostkę, a nie źródło wiedzy na temat, jak należy się zachowywać.

– Dla mnie jest to dowód na brak wyobraźni.

– Tragiczny brak wyobraźni. Tym bardziej, że dotyczy ludzi głęboko zaangażowanych w redakcji pism, w drukowaniu itp. (...) Dam ci inny przykład. Dwóch chłopaków maluje „solidarnościowe” napisy. Samo przybycie bezpieki do ich domu powoduje przyznanie się. Nie było żadnych dowodów. Jedynie ich własne zeznania stały się podstawą skazania obojgu. Esbeki zachłystywały się z wrażenia w czasie przesłuchań. Przyznali się bowiem do kierowania zorganizowaną strukturą konspiracyjną. Niektórzy wykazują wysokiej klasy nadgorliwość przyznając się do rzeczy, o których bezpieka nie była w ogóle poinformowana. Świadczy to jedynie o beznadziejnej głupocie...

– A twoja wpadka o czym świadczy?

– Mówiłem ci, że to nie na mikrofon.

W 95% jestem przekonany, że była powiązana z kimś innym. Ktoś był zorientowany, kiedy gdzie będzie. Nie wiem, czy ta wpadka była po prostu wynikiem towarzyskiej gadatliwości, czy czegoś więcej. Jest to sytuacja, której nie da się odtworzyć, bo znaczna część ludzi z tego okresu już nie działa.

– Czy twoja odpowiedź zdeterminowana jest obawą przed pomówieniem kogoś?

– Niestety, tego należy się bardzo obawiać. Niektóre osoby były w ciągu tej wojny parokrotnie pomawiane wręcz o agenturalność. Gdy tym-

czasem byli to ludzie tak głupi i nie potrafiący się zachować, że już to dowodziło, iż nie mogą być agentami. Bezpieka bałaby się ich zatrudnić na takich stanowiskach. Uważam, że jednym z większych osiągnięć esbecji jest wprowadzenie podejrzliwości w środowisko. Więcej osiągną przez nastawienie, przez wytworzenie podejrzliwości między ludźmi niż przez likwidację drukarni. Zlikwidują jedną, drugą drukarnię; jedną, drugą siatkę... ale jest trzecia i czwarta. Ale jeśli wprowadzą podejrzliwość pomiędzy ludźmi – to ustanie działalność, bo ludzie będą się bali. To było np. w znacznym stopniu przyczyną upadku działalności konspiracyjnej po II wojnie. Właśnie lęk przed drugim człowiekiem.

– To jest po prostu triumf sowietyzacji.

– Tak i o to im chodzi. Dlatego nie wolno pomawiać ludzi. (...)

– Wróćmy po tym ostrzeżeniu do tematu pięciennego. Proponuję kontynuowanie wątku: postawy siedzących w areszcie i potem w więzieniu.

– Rozróżnienie na areszt i więzienia nie ma w tym momencie żadnego znaczenia. U ludzi, którzy w czasie śledztwa sypani, po wyroku można zaobserwować coś na kształt spóźnionego zapfonu. Otóż, jeżeli po skazaniu ktoś w celi zadał im pytanie o to, co mówili, bądź pytał o sentencję wyroku, czy interesował się ich aktem oskarżenia – zaczęli być podejrzliwi i nieufni. Wręcz podejrzewali pytającego o konfidencję. To była charakterystyczna postawa wszystkich sypiących.

– Swego rodzaju wtórna ostrożność wynikająca chyba z kompleksu sypania?

– Masz rację. Kompleks sypania był u nich bardzo widoczny. Z wielką podejrzliwością patrzyli na tych, którzy siedzieli sami w swojej sprawie. Ty twierdzisz, że główną przyczyną sypania jest niewiedza, nieoczytanie w instrukcjach dotyczących konspirowania... Ja miałem również wielkie zastrzeżenia do postawy ludzi reprezentujących wysokie stanowiska związkowe. Proces jednego z działaczy w moim odczuciu bardzo negatywnie świadczył o tym przywódco. Jestem bardzo krytyczny wobec jego zeznań. Twierdzi się, że on nic nie powiedział, ale dla esbecji nie ma neutralnych informacji. Proces, o którym mówię, dostarczył ich esbecji aż nadto. Zyskali bardzo ogólny obraz sytuacji podziemia. Poznali zasady jego istnienia. To, że nie podawał nazwisk i adresów? Nie są tym zainteresowani, w tym wypadku. Oni pragną rozgrzeć sprawę i mają świadomość, że jedno nazwisko będzie zastąpione innym. Pamiętajsz, co Wat pisał o swoich przesłuchaniach na Łubiance?

– Tak. Pytali o sytuację polskiej kultury, literatury. Sam to ocenił, jako „uczenie się” terenu, który zamierzali zdobywać i opanować. Ów

działacz, moim zdaniem, zachowywał się na procesie na wzór przedwojennych komunistów, którzy wygłaszali na procesach płomienne tyrały...

– Niestety... Zapominają sądowni, w jakim systemie żyją. W taki sposób można było w c.k. Austrii występować, ale nie w kraju sowieckim. Do wszystkich płomienych mów politycznych, które czynią z sądownych bohaterów, należy mieć olbrzymie zastrzeżenia. Zdradzają one system, sposób działania, obowiązujące zasady etc. W trakcie przesłuchań ludzie ci mówili, że to czy tamto istnieje. Określali rodzaj pism, czyli już bezpieka dowiedziała się, które są zależne i powiązane z RKS-em, a które nie. To były najlepsze informacje. Inny poważny błąd: wielu ludzi uważa, że jeżeli powiedzą, że ten kocha tamtą dziewczynę – to nic nie powiedziała bezpiece. A przecież w czasie innych przesłuchań bezpieka znakomicie to wykorzysta. Inny bardzo częsty i dobry chwyt. Niby wszyscy o tym wiedzą, ale większa część nabiera się na to. Esbek mówi np.: Co pani robiła tego a tego dnia? Szła pani ulicą Floriańską, poszła pani do Sukiennic, przeszła koło Ratusza... Z kim się pani spotkała? I w tym momencie przesłuchiwana jest przekonana, że była śledzona. Tymczasem prawda jest taka, że 90 % mieszkańców Krakowa musi przejść przez Rynek, albo przynajmniej ulicą Floriańską... Z tych oczywiście przesłanek stwarzają obraz swojej wszechmocy oraz tego, że systematycznie śledzili. Wówczas przesłuchiwany pęka i zaczyna śpiewać.

– Nie zgadzam się z tobą. Nie wszyscy pozwalają się tak nabierać.

– Dla większości jest to dowód, że byli śledzeni. Wówczas wolą się przyznać w nadziei, że bezpieka potraktuje ich łagodniej...

– Z tzw. odczytania wiem, że przyznanie się nie feruje łagodności esbeckiej sprawiedliwości.

– Moja pani, nastąpiła zmiana w kodeksie karnym. Konfidencja ma łagodzić wyroki. Praktyka tego dowodzi, bo w wielu wypadkach osoby, które sypały – wychodziły. Bardzo często tak było.

– Czy ty spotkałeś wielu takich ludzi, którzy sami sypani?

– Tak. Bardzo ciekawa była postawa tych ludzi jeszcze w trakcie siedzenia w areszcie. Pamiętam czwórkę z jednej sprawy. Siedzieli porozizucani w różnych celach. Ten, który sypanął całą grupę, rozpuszczał przez klawiszy, przez uprzejmych więźniów informacje o pozostałych członkach swojej grupy. Twierdził, że są agentami bezpieki, że są konfidentami. Miał czelność pomawiania wszystkich pozostałych o współpracę. Inna sprawa, że to był bardzo niesympatyczny typ, ale w oparciu o takie przykłady tworzy się opinię

o ludziach, którzy podjęli się podziemnej działalności.

W podobny sposób postępowała inna grupa. Nawzajem pomiędzy celami przetrzymali informacje pomawiając się o agenturalność. Najwięcej takich informacji wychodziło z celi tego, który był głównym sprawcą wpadki i najbardziej sypał. To bardzo przykre... Dochodziło do tego, że kryminalni śmiali się z postępowania ludzi z „Solidarności”. Nic... psuję w tej chwili obrazek wyidealizowanego świata „Solidarności”. (...)

— Powracając do tematu więziennego: Powiedziałeś, że jeżeli człowiek siedzi do sprawy sam, to jego status jest podejrzany.

— Tak. Takich osób było kilkanaście. Grupy, które sypały, patrzyły na tych ludzi z pewną podejrzliwością. Samotny siedzący nie był przez nikogo uwierzytelniony. Jeżeli były trzy osoby, które drukowały — to się nawzajem uwierzytelniały. Pojedynczej nie miał kto wystawić cenzurki.

— Czy widziano w tych osobach konfidentów?

— Tak, wręcz konfidentów.

— Taka podejrzliwość świadczy o...?

— Beznadziejnej głupocie, której nie da się wyleczyć.

— Bądź optymistą i uwierz, że może to i owo da się leczyć, że czegoś można się nauczyć.

— To nie jest żadna nauka. Ludzie będą się tak zachowywali, jak będą czuli. Ważne jest jedynie to, jak się będą zachowywali w trakcie śledztwa, mówilem już, że nie ma informacji neutralnych. A ileż razy widziałem zadowolonych, którzy wracali z kilkugodzinnego przesłuchania i ogłaszali, że nic nie powiedzieli. Myśmy sobie — oświadczali — tylko luźno rozmawiali, poglądy wymieniali, nawet sympatycznego bezpieczeństwa miałem (śmiech). Każde takie przesłuchanie daje bezpieczeństwo olbrzymi materiał informacyjny o danym człowieku. Daje, że się tak wyrażę, obraz topografii terenu. Ich praca przypomina tworzenie mapy. Jeżeli masz białą plamę, niekoniecznie musisz sam pojechać i zobaczyć. Wystarczy dedukcja: tam góra, tam nizina... Mapa nie musi być szczegółowa, wystarczy wiedzieć, że w tym kierunku jest to, a w tamtym coś innego. Podobnie jest przy przesłuchaniu...

— Można to też porównać do tablicy Mendelejewa.

— Oczywiście, a ludzie w trakcie niewinnych rozmów znakomicie wypełniają te puste miejsca albo informują, jakie puste miejsca jeszcze istnieją. Niektórzy przesłuchiwanie na pewne pytania odpowiadają, a na inne odmawiają odpowiedzi. To jest dla esbeka znakomita wskazówka, ale przesłuchiwanym się wydaje, że doskonale się konspiują.

Tymczasem bezpieczeństwo już wie: na te pytania nie chce odpowiadać — wiadomo, że jest powiązany.

— Z twojej wypowiedzi płynie wniosek, że nie należy odpowiadać na żądane pytania.

— To jest podstawowa zasada. Chyba, że jest się człowiekiem niesłuchanie odpornym i potrafiącym kontrolować swoje wypowiedzi. Niewiele ludzi potrafi rozmawiać z bezpieczeństwem nie dając samego materiału. Lepiej nie ryzykować.

— Owo wdawanie się w rozmowy z esbekami bierze się częściowo z przekonania, że każdy esbek to idiota

— Znałem człowieka, który miał na ten temat bardzo ciekawy pogląd. Uważał, że każdy esbek jest idiota, a równocześnie twierdził, że bezpieczeństwo wszystko wie. Nie widział w tym żadnej sprzeczności. Zgodnie z tym przekonaniem postępował i był chyba jedyną osobą internowaną przez podziemie „Solidarności”. Z jego powodu wpadło szereg osób, a na dźwięk jego imienia i nazwiska niektórzy ludzie w internatach zgrzytali zębami.

— Założymy, że dla komfortu psychicznego ktoś sobie może zakładać, iż każdy esbek to idiota. Nie powinien jednak zapominać, że stoi za nim rutyna i niezłe zorganizowany aparat. Jak wpoić te przekonania?

— Batem im to trzeba chyba wbić! Poza tym wydaje mi się, że przyczyn sypania należy upatrywać dodatkowo także i w tym, że nie było w regionie żadnego potencjalnie osób zachowujących się niegodnie w czasie śledztwa. W roku 1982 na sto kilkadziesiąt osób zatrzymanych (nie wliczam zatrzymanych przypadkowo w czasie demonstracji) zaledwie kilka zachowało się w sposób w pełni poprawny. Potem sytuacja coraz bardziej pogarszała się. Sypanie w czasie śledztwa potęgowało się. Słowo potępienia nie pojawiło się w niezależnej prasie. Przykładem eskalacji sypania są trzy niemal sztandarowe postaci: niejaki Grądzki, który wysypał dużo, ale nie dorastał do pięć najakiemu Krawczykowski. Apogeum sypania osiągnięto w osobie Bieszczada, który wysypał około 200 nazwisk. Po wyjściu tworzył wokół siebie atmosferę bohatera, bo siedział...

— Nie on jeden.

— Tak, niestety. Jest pewna ilość osób, które specjalnie działały nieostrożnie, żeby „pojąć siedzieć”, żeby być bohaterem i potem odcinać od tego kuponu nic nie robiąc. W tym momencie wkraczamy na bardzo niebezpieczny grunt, czyli na tzw. „prawdziwych działaczy” i osoby robiące. Jest sporo tzw. „prawdziwych działaczy”, którzy nic nie robią poza wytwarzaniem aury działania. Kiedy złapie ich bezpieczeństwo, niczego im nie udowodni, bo de facto nic nie robili. Wokół nich była tylko aura, czyli jedyna rzecz, która faktycznie

istniała. Już dawno temu zwrócono uwagę, że działalność konspiracyjna jest pewnego typu niebezpieczną działalnością umożliwiającą osiągnięcie wysokich stanowisk różnego rodzaju mitomanom. „Prawdziwi działacze” są tego najlepszym dowodem.

(...)

– Powiedziałeś wcześniej, że część ludzi działa tak, żeby ich złapano, żeby zostali bohaterami. Nie wydaje ci się, że może to zabrzmi jak pomówienie, które tak bardzo atakujesz?

– Podam ci przykład. Taki Bieszczad, kiedy był na studiach, traktowany był normalnie. Natomiast kiedy wyszedł, rok urządził mu huczne imieniny, z kwiatami etc. Jego koledzy i znajomi nie chcieli uwierzyć, że sypał. Opowiem ci w dużym skrócie, jak on działał. Swoją drogą ten, który go angażował do podziemnej roboty, mógł to sprawdzić. Wciągniecie go tak głęboko w działalność podziemną świadczy o bezwzględnej głupocie, lekkomyślności i niechlujstwie sponsora. Po pierwsze, kiedy drukował, robił to w sposób skandaliczny. Brał np. 5 paczek papieru czyli 2,5 tys. arkuszy. Z tego wychodziło 500 zadrukowanych stron, z czego może 100 było czytelnych. Jak angażował ludzi do drukarni? Chodził w akademiku od pokoju do pokoju i pytał, czy ktoś nie zechce mu pomóc w drukowaniu. Następnie w czasie drukowania były zmiany co 2 godziny i jego zespoły spotykały się w pokoju etc., etc. A on cały czas chodził w aureoli: to ten Bieszczad, który drukuje. Wszystko wskazuje na to, że chodziło mu jedynie o splendor. On jest historykiem i doskonale wie, że z XIX w. pamięta się tylko o tych, którzy właśnie sypali albo odznaczyli się w jakiś inny sposób. O tych prawdziwych, bez cudzysłowu, działaczach, nic się nie wie. Przykładem jest konspiracja poprzedzająca Powstanie Wielkopolskie, o której nic się nie wie, bo była tak zakonspirowana. Wiadomo jedynie, że coś takiego istniało i przygotowało najlepiej zorganizowane powstanie.

Tak więc on, jako historyk jest znakomicie zorientowany, że za parę lat ludzie będą nazwisko Bieszczad kojarzyć z konspiracją lat 1982-83. Za owe parę lat nikt nie będzie pamiętał, że sypał. Pozostanie w aureoli sławy i chwały. Bardzo mnie śmieszą dzisiejsze spekulacje, których głównym celem jest wykazanie, że Bieszczad wcześniej musiał być konfidentem. ■

(skrót wywiadu przeprowadzonego przez *Bez Dekretu* – nr 3, Kraków, styczeń 1985).

# UNH-

United  
Human  
Organisation  
—bep—  
Verlag AG



## UWAGA!

Wyjątkowo atrakcyjna oferta dla wszystkich myślących o usamodzielnieniu się!

Dynamiczna firma międzynarodowa wiodąca na rynku w branży: esoteryka, parapsychologia i management, poszukuje jeszcze kilku partnerów z dużą inwencją twórczą. Informacje odnośnie szczegółów uzyskacie Państwo pod adresem:

UNH—bep—Verlag AG,  
z.H. Arkadiusz Kazimierski,  
Thurgauerstr. 40  
CH-8050 Zürich  
tel. biuro: (01) 302 16 26  
tel. prywatny: (054) 65 21 38

albo pod poniżej podanymi adresami:

Niemcy Zachodnie  
UNH — GmbH  
CP — Tower  
Hamburger Allee 2-10  
D-6000 Frankfurt/Main 90  
tel: (069) 77 30 42

Austria  
UNH—bep—Verlag  
Ernst König  
Fernkursleiter  
Schönggöf 332  
A-3311 Zeillern  
tel. (07472) 6 13 71

Wielka Brytania  
—bep—publications Ltd.  
46/47 Pall Mall  
London, SW 195 JG  
England

# List z Polski: Przyślę wam płyty i kasety...

(...) Przyślę Wam może płyty i kasety, tylko napiszcie konkretnie, co Was interesuje. Ja słucham rodzimego i zachodniego (także np. jugosłowiańskiego) punka, punka „garażowego” – nagrywanego pokątnie w piwnicach i garażach, czasem w mieszkaniach kasety przekazywane są z rąk do rąk. Ale najchętniej i najmocniej odbieram tzw. muzykę awangardową, szczególnie o jak najbardziej demonicznym i metafizycznym klimacie (ha, ha!). W Polsce takie grupy nie istnieją i ponieważ nie ma tu ludzi, którzy łączą w sobie talent, obłąd (niekoniecznie), wolę działania, a oprócz tego mają możliwości (sprzęt, studia) zrealizowania swoich wizji. Za jakiś czas (szczególnie jeżeli okaże się, że nie mogę wyjeżdżać) po-

proszę Was o kilka takich płyt, to przy okazji posłuchacie. Postaram się nagrać Wam kasety z w miarę wyraźnie zaśpiewanymi tekstami punkowymi – nie będę wówczas musiał ich przepisywać. Teksty punkowe to jedna z najlepszych rzeczy, jakie się dzieją w obecnej naszej „kulturze”. Myślę, że to jedyny prawdziwy i słyszalny głos sumienia młodych ludzi (bo chyba tylko oni zachowali jego resztki, choć są oczywiście wyjątki). Jediną wadą tego przekazu (ale nie jestem tego pewien) jest zamknięcie tego głosu jak w szczelnym pomieszczeniu (dostępność dla wąskiego tylko kręgu ludzi), skąd nie przedostaje się niemal wcale na zewnątrz, do tych, którym mógłby (ten głos sumienia) coś dać, coś w nich otworzyć.

Nie zwracajcie uwagi na to, że czasem trochę kpię – to chyba wynik małego zgorzknienia, które jest udziałem tutaj nie tylko moim. Tym ciasnym pomieszczeniem, które tolerować może nielicznych i które tolerują tylko nieliczni (choć ostatnio, jak to u schyłku każdej ideologii czy ruchu coraz liczniejsi) jest bezkompromisowa – co piękne – forma, bardzo oprócz tego adekwatna do treści, odstręczająca jednak przeciętnego słuchacza. Może to i lepiej. Może ma to działać jak filtr, podobno przeciętni i tak zawsze zostaną przeciętnymi (tylko skąd biorą się ci nieprzeciętni





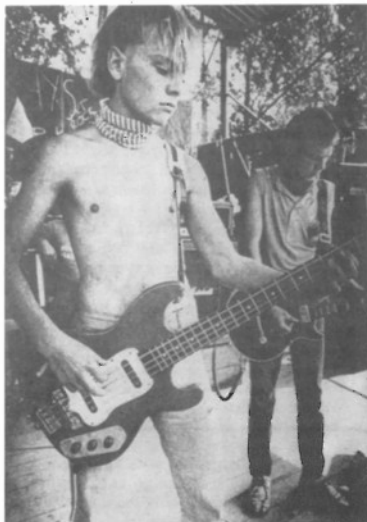
– za takiego uważa się każdy punk, hippis, „wolny indywidualista (-tka)”, itd.). Słuchanie na co dzień takiej muzyki z takim tekstem musi się wiązać z czymś w rodzaju desperacji (a to oznacza choć częściową czystość, uczciwość). I znowu jest „ale”, bo przecież wielu punks na przykład kradnie (często u własnych znajomych albo rodziców, często nawet programowo – nie wiem, czy to nie lepsze, o ile można mówić w tym wypadku o lepszym i gorszym). Ale mowa była o „częściowej” przynajmniej uczciwości – znów nie wiem, czy to w ogóle możliwe? Poza tym około 98 procent ludzi (moim i nie tylko chyba moim zdaniem) jest codziennie okradane zgodnie z prawem i nikogo to nie wzrusza. W kontekście tego świata, to, co robią na przykład punks chcąc zdobyć pieniądze na wino, wakacje czy płytę, nie jest chyba tak wielką zbrodnią. Myślę w każdym razie, że nie chcąc pracować „dla Babilonu” mają jakieś racje (pomijając lenistwo). Też mam dość tego wszechobecnego kultu pracy (i pieniądza). Głównym wyznacznikiem rozwoju cywilizacji jest coraz większa doskonałość urządzeń do zabijania, a od początku jej rozwoju jedni umierają z przejedzenia, inni z głodu, reszta żyje bez sensu nie wiedząc i nie zastanawiając się po co (bo i po co?). Pozostaje garstka myślących, którzy albo oszukują siebie i innych mówiąc, że nie jest jeszcze tak źle, albo widzą i cierpią. Starają się otworzyć serca i oczy innym ze świadomością, że szansa na to jest równie znikoma jak kiedyś, gdy to samo starali się robić ich nieliczni poprzednicy, którzy zyskali co najwyżej tyle, że mają następców.

*Chciałbyś coś – nie wiesz co./ Robisz coś – nie wiesz co./ Mówisz coś – nie wiesz co./ Wierzyś w coś – nie wiesz w co./ Patrzyć w ekran tak bez celu./ Słuchasz radia, też bez celu./ Czytasz coś, bo czyta wielu./ Czujesz, że jesteś równy zeru./ Chciałbyś wstać, ale po co./ Chciałbyś spać, tylko na co./ Chciałbyś iść, nie wiesz gdzie./ Chciałbyś dobrze, robisz źle./ Mówisz o sprawiedliwości, więc postuchaj wiadomości./ Nic nie słyszysz, nic nie czujesz, tylko to wykorzystujesz./ Chcesz żyć jak ludzie, chcesz czuć jak ludzie./ Chciałbyś żyć mimo to, że coś cię zabija, a nie wiesz co.*

Tekst tu cytowany pochodzi z płyty „Fala”, wydanej przez Polton – nie jest najlepszy – jak widać – ale jest. Płyta rozeszła się bardzo szybko.

Przepraszam, że tak się rozpisałem, ale najczęściej rozmawiam z ludźmi i tyle mi się nazbierało w głowie, że nawet na ten temat mógłbym napisać grubą książkę. Być może napisałem też parę gupstw, ale nie będę już tego poprawiał. Teraz, kiedy spojrzę na to, co pisałem wcześniej widzę, że wiele tam przesady i optymizmu, bo zdecydowana większość punks różni się od reszty

ludzi tylko nieznacznie ubiorem. Postawiłem się też w dość kłopotliwej sytuacji tłumacząc na przykład kradzież odpowiednim kontekstem. Wiem, że krać, kłamać i krzywdzić nikogo nie wolno pod żadnym pozorem, ale denerwują mnie trochę ciągle oskarżenia pozornie uczciwych ludzi pod adresem tych, którzy nie ukrywają swojej nieuczciwości – i o to właściwie chodzi. Punks wyszli od tego, że swoim wyglądem i zachowaniem chcieli pokazać całej reszcie, jaka naprawdę jest.



A tego ta reszta znieść nie może. Widzę, że w takim postępowaniu jest też błąd. Bo niedobrze się dzieje, gdy chce się zmieniać świat nie zmieniając siebie. Chociaż punks i większość „intelektualistów na fali” nie chce chyba zmieniać świata. Raczej go nazywać, negocjować, a nie proponować coś konstruktywnego – to uważa się teraz za rzecz w złym guście. Ciągłe zastanawiam się, czy w obecnej sytuacji ważniejszym jest próbować zrobić coś dobrego na zewnątrz, czy poznawać i zmieniać siebie, jeżeli widzi się taką konieczność – a ona zwykle istnieje. Myślę, i to chyba żadne odkrycie, że jedno powinno wiązać się nierozdzielnie z drugim. I pomyśleć, że zapełniłem tyle stron wychodząc od jednego tylko zdania (myśli), a mianowicie, że przesłać Wam kasetę z polskim punkiem. Teraz już naprawdę kończę, czekam na list od Was. Pozdrawiam. ■

# Prywatne rozmyślenia

1.

Wracam do własnego nazwiska po okresie wymuszonego okolicznościami używania pseudonimu. Zdarza mi się to nie po raz pierwszy w życiu, choć — oczywiście — okoliczności są inne. Piszę o tym nie z głupiej kokieterii, nie należałem w Polsce gierkowskiej do osób szczególnie prześladowanych, ale chciałem uniknąć podobnej ówczesnej sytuacji. Otóż niezapomnianej pamięci liberał Łukaszewicz najpierw obłożył mnie zakazem pisania, więc musiałem przejść na pseudonim, pod którym dorobiłem się kolejnego zakazu i musiałem wynaleźć sobie trzeci. Kiedy w 1980 roku wróciłem do nazwiska, jeden z Czytelników przysłał mi list, że owszem moje teksty mu się podobają, ale są jednak gorsze od tekstów poprzednika, a jeszcze gorsze od tych, które pisywał poprzednik poprzednika. Ujawniam się więc, żeby nikt mi nie pisał, że Radwan był lepszy. A jeśli nawet był — to nie jego zasługa tylko moja.

2.

Miałem taki sen.

Sniło mi się, że Lech Wałęsa zakwestionował wyniki wyborów, oskarżył Jaruzelskiego o manipulację i fałszerstwo i stwierdził, że dyktator nie ma mandatu społecznego na sprawowanie funkcji przewodniczącego Rady Państwa. Przebieg wyborów obserwował specjalny wysłannik Gorbaczowa, Wiktor Łomiejko. Po jego powrocie Gorbaczow stwierdził, że obie strony dopuściły się w czasie głosowania oszustw i że rezultaty będą bardzo wyjątkowe. Obliczanie głosów przedłużało się, wreszcie po tygodniu Komisja Wyborcza ogłosiła zdecydowanie zwycięstwo Jaruzelskiego. Jeszcze tego samego dnia odbył się powszechny wiec poparcia dla Wałęsy z udziałem setek tysięcy ludzi. Konkurencyjna impreza zorganizowana przez Jaruzelskiego miała znacznie skromniejsze rozmiary. Nazajutrz jak grom z jasnego nieba gruchnęła wiadomość, że minister obrony, generał Florian Siwicki wraz z generałem Józefem Baryłą wypowiedzieli posłuszeństwo generałowi Jaruzelskiemu i zabarykadowali się w budynkach Ministerstwa Obrony Narodowej w Alejach Niepodległości. Obaj oskarżyli dyktatora PRL o sfałszowanie wyborów i wyrazili głębokie przekonanie, że moralnym zwycięzcą jest Wałęsa, z którym

skontaktowali się telefonicznie. Prymas Józef Glemp zaapelował do społeczeństwa o wyjście na ulice i udzielenie poparcia buntownikom. Wałęsa wezwał do unikania gwałtu. Na ulice Warszawy wyległy tłumy, otaczając w pokojowej manifestacji szczerłym pierścieniem budynki ministerstwa, do którego helikopterami dowożono przez cały dzień broń. Tłumy gromadziły się też przed otoczonym zasiekami z drutu kolczastego i strzeżonym przez kompanię ZOMO Belwederem. Oddziały Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego wiernie Jaruzelskiemu wymaszerowały z Góry Kalwarii w kierunku Warszawy, jednak po drodze ludność ustawiła barykady z autobusów i samochodów, zatrzymując maszerujących, którym towarzyszyły czołgi. Obaj rebelianci, Siwicki i Baryła przenieśli się do budynków Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, które uznali za łatwiejsze do obrony i oświadczyli, że są gotowi zginąć. Wałęsa, przebywający w Gdańsku, zapowiedział, że dołączy do nich nazajutrz. Baryła i Siwicki wezwali Jaruzelskiego do ustąpienia stwierdzając, że mają za sobą 90 procent sił zbrojnych. Na konferencji prasowej przeprowadzonej w kilka godzin później Jaruzelski powiedział, że ma za sobą większość armii, że telefonowali do niego dowódcy okręgów wojskowych, by mu wyrazić słowa wierności. Noc przebiegła bez incydentów, jedynie ZOMO przed Belwederem strzelało w powietrze, by odstraszyć tłumy usiłujące rozbierać zasieki. Nazajutrz rano do Warszawy przybył Wałęsa i w południe, na kortach Legii, odbyło się zaprzysiężenie go jako Przewodniczącego Rady Państwa. Wałęsa zapowiedział, że ma zamiar powołać Kuronia na swego zastępcę i jednocześnie powierzyć mu stanowisko premiera. Siwicki, wedle słów Wałęsy, pozostanie na stanowisku ministra obrony. Tłumy zgromadzone na Łazienkowskiej zgotowały Wałęsie burzliwą owację. W dwie godziny później w Belwederze odbyła się ceremonia zaprzysiężenia Jaruzelskiego. Byli na niej obecni tylko najbliżsi współpracownicy, choć zwracała uwagę nieobecność wiceprzewodniczącego, Barcikowskiego. Pani Jaruzelska płakała. Także wiele osób opuszczających Belweder miało łzy w oczach. Jaruzelski w swym przemówieniu oświadczył, że nie ustąpi, że jest prawowitym przewodniczącym, ale że będzie unikał przemocy. Niedługo potem Kreml wydał oświadczenie wzywające Jaruzelskiego do ustąpienia, ponieważ jego rząd nie ma już wystarczającego

poparcia. Waszyngton zareagował wystąpieniem rzecznika prasowego Białego Domu, Larry Speaksa, który powiedział, że administracja Gorbaczowa wywiera presję na przewodniczącą Rady Państwa PRL i że jest to niedopuszczalne mieszanie się w sprawy suwerennego państwa. Podczas kolejnej transmisji z Belwederu doszło najpierw do ostrego sporu między Jaruzelskim i generałem Kiszczakiem, który domagał się rozkazu strzelania do buntowników. Następnie program pierwszy telewizji polskiej na chwilę przerwał nadawanie, a po kilku minutach spiker Jan Suzin oświadczył, że telewizja jest znów na antenie w służbie ludu. Krótco potem Jaruzelski wraz z żoną i najbliższą rodziną odleciał na pokładzie helikoptera do sowieckiej bazy w Legnicy. Wiadomość wywołała wybuch radości i na ulicach Warszawy rozpoczął się karnawał. Z Legnicy, Jaruzelski na pokładzie sowieckiego samolotu odleciał na Kamczatkę, gdzie ma otrzymać azył polityczny. Związek Sowiecki jako pierwszy uznał rząd Lecha Wałęsy. Waszyngton, jak dotąd nie skomentował rozwoju wydarzeń.

A ja, niestety obudziłem się nad ranem.

### 3.

Bardzo satyryczne pismo *Krokodyl*, odnazczone tytułem Bohatera Pracy Socjalistycznej opublikowało było *dokumentalną powieść satyryczną* specjalnego korespondenta Aleksandra Gołuba, zatytułowaną *Cztery oblicza agenta X*. Specjalny korespondent to jest ranga w KGB, a powieść jest tak śmieszna, że nie nadaje się do streszczenia, którą to pracę utrudniają dodatkowo konwulsje. Krótco, są to dzieje powstania za pieniądze i z inicjatywy CIA ruchu „Solidarność”, w którym roi się od kadrowych agentów, oficerów, podoficerów i szeregowych wywiadu amerykańskiego, co oczywiście dyżurny satyryk kontrrazwiedki rozszyfrował wspaniale. Rzecz może i nie warta byłaby wzmianki, gdyby nie pewne fragmenty tej satyry, wbrew woli autora czy może raczej poza jego świadomością naprawdę satyryczne. Otóż kiedy już za sprawą amerykańskiej intrygi w Polsce zwyciężyła kontrewolucja, agenci puścili się na używanie życia za społeczne pieniądze. Omamiwszy i wyssawszy klasę robotniczą jęli się rozpustnie bawić bez wszelkiego umiaru, co Gołub opisuje nie bez zgrozy, z pewną wszakże domieszką podziwu i zazdrości.

*...Kwaterowali ich w eleganckich hotelach i oczywiście nie dawali im jeść przy jednym stole ze strajkującymi robotnikami. Dlatego jeśli wyżywienie dla strajkujących było oczywiste – grochówka na pierwsze i filiżanka kawy z amerykańskich paczek na drugie – to rachunki za wyżywie-*

*nie zagranicznych pomocników i dziś jeszcze okazują się być najbardziej rozrywkowymi kartami gastronomicznego bestsellera, pozostającego po rozwiązaniu „Solidarności”. Oto już czwarty rok go czytają i obliczają rewizorzy gdańskiego wydziału finansowego. I dla autora tych strof, spotykającego się z rewizorami było interesujące dowiedzieć się, że na przykład japoński gość Umeda na śniadanie, obiad i kolację jadł wyłącznie bałtyckiego łososia i wędzonego węgorza, zapijając rybkę „Wódką żytnią”, której, sądząc po restauracyjnych rachunkach wypijał do ośmiu butelek dziennie.*

*Szwed nazwiskiem Szulgin – który jak się okazało – miał bliskie związki z Rosją, musiał jeść postny barszcz z grzybami i pierogi z kapustą. – Mój babcia Rus, rozumiesz? – dowodził Szwed kelnerom – Babcia miał swój kucharz Rus. Pierogi... śmietana... kartoflanka...*

*Jak wynika z tego bestselleru, wodzowie „Solidarności”, choć byli w domu, a nie w gościach, pozwalali się karmić z tej samej kuchni, co i zamorzeni goście. I sądząc po dokumentach, nie mieli słabego apetytu ani nie zbywało im na kulinarnej fantazji. Wśród podawanych im dań są nazwy potraw i napitków, które nie snły się nawet prawdziwemu smakoszowi. Na przykład: wódka żółdkowa. Co to takiego i czym się ją zakąsa? Albo danie pod nazwą balanga, kosztujące 538 złotych porcja. Czym się ją zapija? Ani gdańscy, ani warszawscy rewizorzy nie mogą do tej pory znaleźć odpowiedzi na te pytania, choć z dokumentów wynika, że balangę podawali samemu Wałęsie.*

Balanga za 538 złotych to nawet wcale tanio. Mam wrażenie, że w grono gdańskich i warszawskich rewizorów, którzy nie wiedzą, co to żółdkówka i wmawiają radzieckiemu satyrykowi, iż szczytem kulinarnego wyuzdania jest potrawa pod nazwą balanga, zakradł się jakiś zwolennik „Solidarności” i zrobił towarzysza z Moskwy w tak zwanego wała. Zaimponowało mi też przekonanie spekkorespondenta, że czytelnikiem *Krokodyla* wstrząśnie informacja, że działacze „Solidarności” na każde zawołanie mieli pierogi z kapustą, może nawet ze skwarkami.

Gogoli i Szczedrinów wam potrzeba? Jednego już macie.

### 4.

W PRL, całkiem niezauważenie weszły w życie nowe przepisy paszportowe, a także nowe formularze. W formularzach trzeba podać nazwisko panięskie albo babę oraz zadeklarować, czy się nie podpisało volkslisty. Nowelizacja przepisów polegała na wprowadzeniu odpowiedzialności karnej – do lat pięciu – za pozostanie za granicą

dłużej niż się zadeklarowało oraz za odwiedzanie innych krajów niż się pierwotnie zamierzało. Chciałem zwrócić uwagę, że nawet tak udoskonalone przepisy są sprzeczne z Konstytucją i czas, aby ktoś wniósł skargę do Trybunału Administracyjnego. Polska ustawa zasadnicza powiada, że partia sprawuje kierowniczą rolę w państwie i przewodnią w społeczeństwie. Jest rzeczą oczywistą i nie wymagającą przeprowadzenia dowodu, że wobec obywatela przebywającego za granicą nie może partia sprawować żadnej z tych ról, to znaczy ani nim kierować, ani mu przewodzić. Zatem zezwalanie Polakom na wyjazd za granicę, poza zasięg roli przewodniej i kierowniczej stanowi łamanie słusznych zasad konstytucyjnych. Jak długo jeszcze będziemy to tolerować w prawnym państwie?

5.

Czekaliśmy, ażeśmy się wreszcie doczekali. W końcu nastąpiło prawdziwe porozumienie narodowe, na razie tylko w Szyskach koło Pułtusza, ale zawsze dobre i to na początek. Do porozumienia doszło z chwilą pogrzebu chorążego Andrzeja Tyszkiewicza, funkcjonariusza MO z posterunku w Rządniku, który został zastrzelony w czasie pełnienia obowiązków służbowych. Sprawozdanie z pogrzebu jest tak wzruszające, że co wrażliwszych czytelników namawiam do przerwania w tym miejscu lektury, bo mogą nie przetrzymać.

*Po żałobnej mszy św. trumna z ciałem zmarłego przeniesiona została na barkach jego kolegów z resortu na pobliski cmentarz, gdzie odbyło się zgromadzenie żałobne z udziałem przedstawicieli władz terenowych Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, licznych funkcjonariuszy MO oraz organizacji społecznych. W piątek trumna z ciałem zabitego przewieziona została do domu rodzinnego jego żony, gdzie miały miejsce modlitwy i czuwania. Dom żałobny odwiedził komendant główny MO generał dywizji Józef Bejm w towarzystwie pułkownika Adolfa Dysza. Od domu też zaczęły się w niedzielę uroczystości pogrzebowe, którym przewodniczył miejscowy proboszcz ks. Edmund Paradowski. Do małej miejscowości zjechały całe kawalkady samochodów milicyjnych. Po mszy św. trumnę wzięli na swe barki koledzy zmarłego z resortu. W przedświątku kościoła przybrana została biało-czerwona szarfa oraz oficerską czapkę milicyjną. Na cmentarzu jako pierwszy przemówił gen. Józef Bejm. Pułkownik Dysza nakreślił ży-*

*ciorys zmarłego. W imieniu kolegów przemówił plutonowy Krzysztof Podleś z Komendy MO w Ostrołęce. Orkiestra zagrała hejnał wojskowy, a następnie batalion honorowy oddał trzykrotną salwę, po której orkiestra zagrała Międzynarodówkę. Ksiądz proboszcz Paradowski odmówił modlitwy ostatniej stacji chrześcijańskiego pogrzebu. Przy dźwiękach werbli trumna złożona została do grobu.*

Komendant główny MO na mszy i ksiądz śpiewający Międzynarodówkę – to właśnie ten ideał, o który nam wszystkim chodzi.

6.

Warszawska *Polityka* obchodziła jubileusz. Wykreślić 1 500 numerów to jest coś. Z tej okazji na łamy powrócił Andrzej Mleczko, wprawdzie jednorazowo, ale zawsze. W pierwszej chwili zachnąłem się, jakbym miał do czynienia z jakimś rodzajem zdrady. Ale tak naprawdę, zdumiewające jest nie to, że Mleczko narysował coś na jubileusz gazety, z którą był związany przez długie lata. Niezwykłe było to, że przestał publikować po 13 grudnia, skazując się na mordercę w jego przypadku – mimo podejmowania różnych środków zastępczych – nieistnienie w społecznym obiegu. W stanie wojennym rozmawiałem kilka razy, ale nigdy o motywach tej jego decyzji, jakby było to coś zupełnie oczywistego, naturalnego. A nie było. Ja mogłem sobie pozwolić na luksus wypięcia się na rzeczywistość, ponieważ wyboru dokonano za mnie. Gdyby pozostawiono go mnie – nie wiem, co bym zrobił. Możliwe dziś pracowałbym w *Polityce* właśnie czy jeszcze gorzej – w warszawskiej *Kulturze*. Przyznaję się do tej niewiedzy, co do własnej postawy nie bez bólu, bo oczywiście wolałbym mieć pewność, że jednak postąpiłbym tak samo jak Mleczko. Zastanawiałem się nad jego motywami: w końcu tak naprawdę niewiele się zmieniło, stan wojenny przywrócił po prostu tę rzeczywistość, w której obaj doskonale funkcjonowaliśmy do sierpnia '80. Jedyna różnica to to, że nie czuliśmy się odpowiedzialni za tę zastaną przez nas rzeczywistość lat siedemdziesiątych. Weszliśmy w nią po prostu wchodząc w dorosłe życie, bo inna nie istniała. Natomiast okres „Solidarności” był całkowicie nasz, przeżyty dojrzałe, i czuliśmy się zań odpowiedzialni. Stanem wojennym odebrano nam Polskę naszego pokolenia. To dlatego Andrzej przestał publikować, ale gdyby mnie dziś pytał, radziłbym mu wrócić na łamy. ■

**OGŁASZAJ SIĘ W „POGLĄDZIE”**

# Berlin – miejsce do pisania

Rozmowa z

## Marią Kurecką



– Jakie były początki? Jak wyglądało życie Państwa – Pani i pani męża – Witolda Wirpży, na obczyźnie?

– Nie byliśmy chyba – ani mąż, ani ja – parą typowych emigrantów. Przez wiele lat, będąc jeszcze do 1970 r. w Polsce, pracowaliśmy oboje bardzo intensywnie jako tłumacze literatury niemieckiej, głównie klasycznej. Wiązało się to z pewnymi, chociaż nielicznymi, wyjazdami, głównie do Austrii, później do Niemiec Zachodnich. Nawiązaaliśmy więc wiele kontaktów, a nawet przyjaźni.

Jak to się jednak stało, że poznaliśmy tak dobrze język? Otóż wyrosliśmy oboje na Wybrzeżu, w Gdańsku, a w latach dwudziestych, gdy chodziliśmy się jeszcze bawić na sąsiednie podwórka, nie było po prostu żadnych barier językowych – mówiło się ze sobą po polsku, z innymi dziećmi po niemiecku. Te sprawy nie miały wówczas żadnego znaczenia i tak równolegle poznaliśmy oba języki.

– Wróćmy jednak jeszcze do tego momentu w 1970 roku, gdy zdecydowaliście się Państwo pozostać tutaj? Jest to wprawdzie sprawa trochę już znana, między innymi Woroszyński w 461 numerze paryskiej *Kultury* pisał o tym, podając jako przy-

czynę opublikowanie przez pana Witolda książki *Polaku, kim jesteś?* po niemiecku, my jednak chcielibyśmy usłyszeć coś więcej.

– Powody, które w swoim epitafium pod tytułem *Imiennik*, ogłosił Woroszyński, a których częściowo domyślał się, częściowo zaś omawiał z nami, były oczywiście złożone. Z jednej strony – tak jak to napisał Woroszyński – niesłychanie oszczercza i zjadliwa, ostra, brutalna kampania przeciwko Witoldowi, prowadzona głównie na łamach *Prawa i Życia*, którego redaktorem był w owym czasie „niezapomniany” Kazimierz Kąkol. Później również w *Życiu Literackim* odezwały się różne głosy, w *Żołnierzu Wolności*, no ale nie ma po co jeszcze raz do tych starych spraw wracać. Drugim powodem – również częściowo zaznaczonym w epitafium Woroszyńskiego – była występująca u nas obojga bardzo silna – nazwijmy to tak – odraza, wstręt na myśl o powrocie do kraju, takiego, jakim był po 1968 roku. Oboje przeżyliśmy tę niesłychaną nagonkę antysemitką w sposób osobście bardzo bolesny. Po prostu nie widzieliśmy tam możliwości życia dla siebie. Myśleliśmy jednak wtedy, że to się może zmienić, że może za parę lat sprawy ułożą się jakos inaczej.

i będziemy mogli wrócić. Tak że do ostatecznej decyzji doszło chyba później, między 1972 a 74 rokiem. No ale mieszkalimy już tutaj.

— Cofnijmy się jeszcze raz w odleglejszą przeszłość. Powiedziała Pani, że języka nauczyła się Pani w przedwojennym Gdańsku. Jest to Gdańsk niemal nieznan, który powoli dopiero — czy to poprzez książki Grassa, czy poprzez bardzo jeszcze nieliczne publikacje polskie — wchodzi w obszar świadomości współczesnego Polaka. Może warto by było powiedzieć coś i o tym mieście, i Pani tam życiu.

— Cóż, żyłam się z tym Gdańskiem, którego już nie ma i nie będzie nigdy, który bezpowrotnie w części, i materialnie, i historycznie, zginął w tym bezsensownym bombardowaniu w 1945 roku. Ale jeżeli chodzi o stary Gdańsk, to jak każdy chyba człowiek, czuję się z nim bardzo związana, jako z miastem mojego wczesnego dzieciństwa. Otóż teraz piszę o Gdańsku od paru już lat w książce, której fragment mogłabym — jako odpowiedź na to pytanie — przeczytać. Jest to książka nie ukończona jeszcze — zaczęłam ją pisać przed trzema laty — o bardzo, z pozoru, barokowym i dziwacznym tytule, a nazywa się *UFO albo mój jedyny garnek*. Opatrzona jest oprócz tego łaćcińską maksymą, która była zawołaniem tego miasta — „Nec temere nec timide” czyli — najogólniej — „ani z motyką na słońce, ani bojaźliwie”.

*Na moje rozkazanie niech miasto wstanie. Magiczne zaklęcie skutkuje, bo był to czas magiczny, baśniowy, bajeczny. Rozczytywała się wtedy latami w bajkach, baśniach, legendach, podaniach, klechdach. Roito się w nich od złych i dobrych wróżek, zaklętych skarbów, walecznych rycerzy, elfów, krasnoludków. Żyła wśród nich. Zapadała w książki jak w najgłębszy las. Może więc i teraz, gdy kości już ku ziemi skrzypią, spróbować tego zawołania raz jeszcze.*

*I wstaje miasto. Wolne miasto. W dostojności swojej gotyckiej i renesansowo-barokowym przeplechu, w dźwięku dzwonów niezliczonych swych kościołów, i niepowtarzalnych zapachach stoney wody, smotowanych, słońcem nagrzewanych depek, świeżo parzonej kawy, i kwaśno dymiących cygar, w różnorodności kamiennych przedproży, sławetnych „Beischlagów”, na które wspiąć się można po paru schodkach, zakończonych kamiennymi kulami albo łbem jakiegoś potwora, do którego otwartej paszczy trzeba koniecznie wsunąć trochę drżącą ze strachu rękę. W złocienach patrycjuszowskich kamienic i krętych ciemnych zaułkach. W nazwach ulic, przywołujących przeszłość cechową, wartość i dym — Ław Chlebowych, Konwi Mlecznych, Powroźniczej, Kołaczy, Kotew, ale także i Ducha Świętego. Królewskie*

*miasto, herbem uwieńczone, czerwoną tarczą z dwoma białymi krzyżami, której z obu stron strzegą płowe lwy, a nad którą unosi się złotista korona. Wznoszone, rosnące w potęgę i dostatek przez setki lat, pustoszone, palone, pądlowane, oblegane, przechodzące z rąk do rąk. Chrobre, harde i hanzeatyckie. Niespokojne zawsze i niepokojone nieustannie, łakomy kasek dla swoich i obcych. Turkoczące mieszaniną przeróżnych języków i tadowych wozów. Miasto wielkiej wody i wielu rzek, w które, jak we własne jego mury i bruki, wsiąkała krew wielu ludzi. „A w Raduni krwawa woda, szkoda ojca, matki szkoda”. Jest jeszcze szara Motława i, niestety tak zwana, Martwa Wisła albo Leniwka. I bramy, baszty, mosty, fosy obronne. Nie o dziejach jego jednak dawnych czy najnowszych pisać tu trzeba. Uczynił to, w ostatnich czasach już, z rozlewnią precyzją wysmukłych palców, krajan, kronikarz zapamiętały, o sumiastym wąsie morsa, i uważnym spojrzeniu smolście cygańskich oczu. Wyběnił sumiennie na swym biało-czerwonym bębenku. Sprzedawano je, właśnie takie, za moich i jego niedużych jeszcze lat, w każdym zabawkowym sklepie. Rozpląszczył w wielowarstwowej panoramie w swoim „Turbocie”, bo ryb ten aczkolwiek do gatunku płastug należący, musi w danym wypadku z piskarskiego nakazu być koniecznie rodzaju męskiego. Tu o innych sprawach będzie mowa. Miasto dzwoni. Nie tylko powszednim, innym znowu niedzielnym, jeszcze innym, najhuczniejszym, bo świątecznym rozkołysaniem kościelnych dzwonów. Czy dostojnie powściągliwym, bo protestanckim, chorałem rozlegającym się z kościelnej także, ale której z kolei, wiezy. „Ueb' immer Treu und Redlichkeit! bis an dein kuehles Grab!”*

*Dzwonią ostro, nagłaco kremowo-żółte tramwaje. Cienko, przeraźliwie dzwonki rowerowe. Dzwonią też najrozmaiciej wozy. A raczej ich woźnice do wóru kół turkoczących po kociołbiastej jezdni. Pierwszy, z samego rana, dzwoni potrójnie, blim-blim, blim-blim, blim-blim, wóz mleczarski. Na ten sygnał ze wszystkich bram bieżną kobiety, staruszki, dzieciaki, każde z nieodowaną kanką w ręce po swoją porcję. Kanka to zwężająca się ku górze, rudo lub niebiesko emaliowana banieczka, do której mleczarz, zgramoliwszy się z wysokiego swojego siedziska, nalewa blaszaną kwartą z dużych, na wozie umieszczonych konwi, komu ćwierć, komu pół albo i cały litr świeżutkiego mleka. Inaczej, potrzebując sporym, msiężnym dzwonem, o drewnianej ręczce, zapowiadał swoje przybycie dostawca kolejny, wołając przy tym zawsze w tym samym rytmie i melodii:*

*„Kaarto-fel!”*

*Nagły spadek owego „fel” nasuwał, w najmłodszych przynajmniej latach, gdy sprawy dnia*

powszedniego wydawały się jeszcze mocno skomplikowane, nieodparte przypuszczenie, że biedny ten, choć skądinąd barczysty i niezłe odżywiony człowiek, musi oto koniecznie zaraz, dzisiaj sprzedać choćby jeden kartofel, z całej ich góry, zalegającej wóz, której z niewiadomych przyczyn nikt ani już kupić nie chce. Ale wysypujące się na to zawołanie z bram okolicznych kamienic kobiety otaczały go i do nadstawionych koszy lub koszyczków kazały sobie wsypywać wcale spore porcje owych grul, pyr, ziemniaków, jabłek ziemnych (Erdaepfel) wreszcie, choć przyglądająca się ich ważeniu na solidnej, w tyle wozu umieszczonej wadze, mała dziewczynka nie wiedziała wówczas jeszcze o istnieniu bliskoznaczonej nazwy w innym języku, nie słyszała nigdy wtedy o „pommes de terre”.

Ciężkie, ogromne perszerony, o długich, prawie białych grzywach, kulistych zadach i gęsto owłosionych nogach, ciągnęły wozy najcięższe, a czarno zasmolony woźnica, któremu tylko białka oczu przezierały w umorusanej twarzy, potrząsał największym, też zresztą mosiężnym, dzwonkiem i z dala już obwieszczał swoje przybycie podwójnym okrzykiem przeciągłym za pierw-

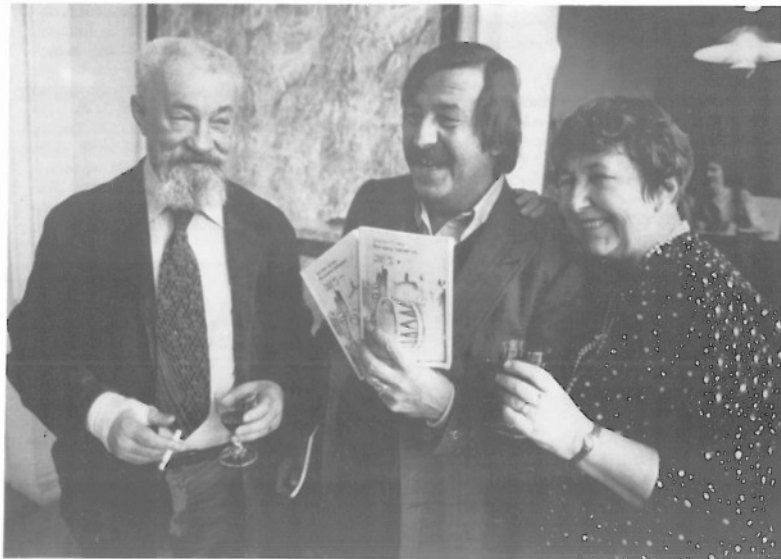
szym razem, a spiesznym spadkiem zamykanym za drugim razem.

*Kohlen Koh-len!*

Węglarz miał również na wozie wagę, poczerńnięte, wielkie kosze przeznaczone do transportu rozwożonego towaru, a nadto pomocnika, który zakupione ilości opału roznosił do kolejnych kuchni lub, rzadziej, piwnic. Z tyłu wozu, od zewnątrz, na poprzecznych, zamykających go deskach, umieszczona była jeszcze wążutka ławeczka dla pomocnika drugiego, pierwszy siadał przy woźnicy. Gdy go niekiedy brakowało, dzieciarnia mięgiem pędziła do upragnionej ławeczki, bo kto pierwszy zdołał wspiąć się na nią, mógł w turkocie i przy akompaniamencie donośnego dzwonienia przejechać wcale spory kawał drogi. Ale podróże takie nie były zbyt dobrze widziane przez rodziców, a najmniej już przez samego węglarza. A że bat na swoje potężne koniska miał spory, i przede wszystkim bardzo długi, odmachiwał się nim skutecznie od nieproszonych gości i trzeba było przemysłności nie lada, żeby jednak taką wyprawę odbyć bez szwanku.

W upalne dni lata albo pogodne dni jesieni inne jeszcze wozy dudniły ostro po nierównym

Od lewej: Witold Wirpsza, Guenter Grass, Maria Kurecka



bruku, przy akompaniamencie dźwięcznych okrzyków.

„Eppel-Beere-Speelee-Pluume!”

Z okolicznych sadów zwożono oto do miasta wszelki, a też przeważnie wielki, urodzaj jabłek, gruszek, śliwek przeróżnych gatunków, a zapobiegliwe gosposie znowu mknęły z koszykami, by zaopatrzyć się na zimę. Dzieciaki oczywiście korzystały z tych okazji, łasując z wozu, ile się tylko dało. Ale dorośli przez palce patrzyli na te podkraдки.

Prawdziwą plagą potrafiła być niekiedy natomiast szczególnie wielka, obfita ławica śledzi. Rybacy wbiegali wtedy na kolejne podwórka, obajuczeni błaszanymi wiadrami, z daleka już wołając donośnie

„Hee-ring! Hee-ring! Fuenf Pfund ein' Gulden!”

Srebrny gulden był, po niedawnych koszmach inflacji, cakiem już wtedy solidnym, sporej wartości pieniądzem. Następną po nim monetą było, również srebrne, pięć guldenów, z wizerunkiem sylwetki kościoła Najświętszej Marii Panny i solennym dachem głównej jego wieży na odwrocie. Były jeszcze, ciutane troskliwie przez dzieciaki, fenigi, reszta pieniędzy była papierowa. Pięć funtów czyli dwa i pół kilograma śledzi za guldena, okazywało się ofertą wcale ponętną i niebawem ze wszystkich okien kuchennych płynąć zaczęły smakowite zapachy, należycy w mące obtoczonych, na smalcu ostro wysmażonych śledzi, których chrupkie ogonki należały do największych przysmaków dzieciństwa. Ale takie gratki, rzecz jasna, nie zdarzały się co roku. Niesprawdzona, a historycznie jakże już odległa, wieść gminna niosła też przez kuchnie i podwórka upartą legendę o jakimś zgoła niespotykanym urodzaju na królewską rybę czyli szaroróżowego łososia, który ponoć raz kiedyś w tak ogromnych ilościach się pojawił, że zrozpaczone dziewczyny „do wszystkiego”, ugadzając się na kolejną służbę, z góry już się zastrzegły, że łososia jeść nie będą w danym domu częściej niż trzy razy w tygodniu.

Złota, królewska, bo przez króla Polski fundowana, kaplica, z złota gdańska wódka czyli Goldwasser, w której likierowo-oleistej, leciutko jakby pomarańczami pachnącej cieczy pływały, migotały drobnitki złote okruszynki, złota legenda o rybie królewskiej, a może i prawda, któż dziś odgadnie.

– Takiego Gdańska dzisiaj już nie ma...

– No i o to chodziło. Ale trzeba tutaj dodać, że nie jest to bynajmniej książka tylko o Gdańsku. Jest ona – trudno to nawet w tej chwili dokładnie określić – no może jakąś kroniką pewnych osobistych przeżyć piszącej, czy piszących, bo również cytować tutaj będą innych autorów.

– Książka dotyczy więc również okresu pobytu na Zachodzie...

– W zamiśle kończy się w 1970 roku w Wiedniu.

– Czy w naszej rozmowie znaleźć mogłoby się miejsce na dalszą część książki?...Porozmawiajmy więc może o tym, co było przedmiotem państwa pracy po 1970 roku, o współpracy na stałe z niemieckimi wydawnictwami...

– Trzeba by tu wyodrębnić parę podokresów. Mianowicie do 1971 roku najważniejszą sprawą był niemiecki przekład – pisanej oczywiście po polsku – książki męża *Polaku, kim jesteś?*. Udział mój tam był bardzo skromny.

W tym czasie jeszcze, aż po rok 1972 miałam pozawierane w Polsce umowy na tłumaczenia z niemieckiego, między innymi kończyłam wtedy ogromną książkę Hermanna Hessego *Gra szklanych paciorków*. Przekład ten wydrukowano już po naszym wyjeździe z Polski, niemniej miałam wtedy z tym bardzo dużo pracy. Poza tym w 1971 roku, w pierwszych miesiącach byliśmy jeszcze w Szwajcarii – bo tak się złożyło, że z Wiednia pojechaliliśmy do wydawcy książki męża *Polaku, kim jesteś?* do Lucerny, po czym zaproponowano nam pobyt w takim domu, no, trudno to określić jako dom pracy twojdomu. Po prostu istnieje fundacja szwajcarska „Pro Helwecja” i tak się złożyło, że było tam wolne miejsce. Jest to dom niezających już pisarzy, którzy zapisali go tej fundacji, aby jeśli ktoś ma ochotę się tam dłużej zatrzymać, bo nad czymś pracuje, to żeby mu to udostępnić. Więc tam pojechaliliśmy. Ja wtedy miałam umowę z Państwowym Instytutem Wydawniczym (PIW) na monografię o Tomaszu Mannie. Tak się szczęśliwie złożyło, że ogromna biblioteka, która była w tym niedużym domku, składała się prawie wyłącznie z dzieł obu Mannów, i Tomasza, i Henryka, a poza tym zawierała także bardzo dużo książek o Tomaszu Mannie. Pracowałam tam ogromnie dużo.

Potem pojechaliliśmy do Berlina, gdzie skończyłam tę monografię i wysłałam do PIW-u. Długi czas nie miałam nawet w ogóle potwierdzenia odbioru, a po wielu, wielu latach książka uznana została za „nieaktualną”. Bo podobno w międzyczasie ukazały się tyle publikacji o Tomaszu Mannie, jego dzienniki, listy, więc uznano, że rzecz jest zdezaktualizowana i tak sobie to u mnie leży. No ale nie na to nie poradzę – jak wiadomo z sowami do Aten nie ma się co wybierać. Powiem tylko jeszcze, że wydaje się, iż Tomasz Mann wybitnie nie miał szczęścia do swoich polskich monografistów. Pierwszy, Roman Karst opuścił Polskę w 1968, więc jego książka również się nie ukazała, a ja byłam chyba drugą na tyle nieroztropną osobą.



Cóż było później? To były lata 1972-73, mąż wtedy wykładał, najpierw na tutejszej Politechnice, bo wzorem wielu dawnych uczelni niemieckich, przy politechnikach istnieje tu wydziały humanistyczne. Między innymi jest więc w Berlinie germanistyka i tam przez długi zimowy semestr Witold prowadził wykłady, w następnym zaś roku wykładał na Wolnym Uniwersytecie (Freie Universität Berlin), w Instytucie Europy Wschodniej (Osteuropa Institut). Był to taki długi okres, kiedy po prostu byliśmy bardzo zajęci „na zewnątrz”. Musieliśmy odnawiać czy też nawiązywać nowe znajomości, kontakty, przyjaźnie. Tak to zwykle bywa w początkowym okresie.

W 1973 roku zaczęłam tłumaczyć książki autorów polskich na niemiecki, między innymi dla dość dużego wydawnictwa Marion von Schroeder Verlag w Duesseldorfie tłumaczyłam *Powrót z gwiazd* Lema. Jak wiadomo, Lem rozchodził się błyskawicznie (i bardzo słusznie) i pracowałam nad tym z wielką przyjemnością.

Poza tym normalne prace bieżące. Do Berlina przyjeżdżać zaczęli koledzy, ponieważ istniały pewne możliwości zaproszenia ich na dłuższy czy krótszy czas, na stypendia Akademii Sztuk. I tłumaczyło się na bieżąco rozmaite ich rzeczy. Już teraz trochę skacze: pominięto rok 1974-75; w 1975 sprowadziliśmy się do tego mieszkania, w którym teraz rozmawiamy – na Alt Moabit. I od tego mniej więcej czasu zaczęły się już bardzo intensywne kontakty z tutejszym środowiskiem. Powstał między innymi pomysł sporządzenia antologii polskiej poezji współczesnej, konkretnie – „Pokolenia 68” i to nam zajęło dość sporo czasu, parę lat. Przede wszystkim trzeba było znaleźć wydawcę, cały ten pomysł przedyskutować, bo – jak wiadomo – tego typu rzeczy nie są dla wydawców specjalnie rentowne.

Tym niemniej zainteresowanie było dość duże. W książce tej są przekłady nie tylko nasze, lecz również Dedeciusa, Lachmana i innych. Książka wyszła wreszcie w roku 1981, jej tytuł zacierpnięty został z wiersza Zagajewskiego, który ja tłumaczyłam – *Landkarte schwer gebuegelt*. Jest to już dziś tomik powszechnie znany i można mieć nadzieję, że zdołamy ten zbiór ponownie wydać i rozszerzyć.

No a potem? Potem zaczęło napływać właśnie sporo stypendystów. Jednym z nich był Włodzimierz Odojewski, tłumaczyłam parę jego rzeczy, następnym – Tymoteusz Karpowicz – niezmiernie trudne były przekłady jego wierszy. Bez pomocy autora, jako że Karpowicz uczył się dopiero niemieckiego. Ale mamy tutaj takiego bardzo ciekawego przyjaciela, austriackiego poetę, który od 20 lat mieszka w Berlinie – Gerald Bisinger z Literarisches Colloquium na Wannsee. Ma on

niebywałą intuicję przekładową, nawet nie znając języka. Niezmiernie dużo z nim i pracowaliśmy, i pracować ja sama mam zamiar dalej. Jeśli zrobi mu się dosłowny przekład (ale nie tzw. „rybkę” tylko rzeczywiście tłumaczenie słowo za słowem), to potem godzinami siedzimy z nim i najczęściej także z autorem (jeżeli zna niemiecki). Wynikiem takiej współpracy było i to, że zjawił się u nas Zagajewski, że pokazał się przelotem Krynicki, wpadał Szaruga, przyjeżdżał Woroszyński. Z tymi wszystkimi ludźmi mogliśmy się łączyć właśnie we czwórke, wraz z Geraldem Bisingerem, robić tłumaczenia ich rzeczy, które potem były tutaj publikowane: czy nadawane przez radio, i które ci koledzy mogli czytać na swoich spotkaniach autorskich w galerii DAAD, gdzie zazwyczaj się takie wieczory odbywają. I to dawało dużo satysfakcji chyba wszystkim zainteresowanym.

– Pokazała się nam Pani z jednej strony jako tłumacz, z drugiej zaś jako krytyk literacki, autorka monografii o Mannie. Jednakże fragmenty prozy, które nam Pani przeczytała i wiersze, z których kilka zaledwie znamy, przypominają, że jest Pani przecież i samodzielnym twórcą.

– To wszystko nie jest takie proste. Oczywiście nie zaczęłam swoich działań w dziedzinie literatury od tłumaczeń, tylko zaczęłam pisać najpierw sama. Debiutowałam mając 17 lat w zupełnie nienajgorszym, trochę podchodzącym pod harcerstwo, młodzieżowym piśmie *Iskry*. Jako młoda dziewczyna pojeździłam wtedy trochę po Europie i – nic nie wiedząc co się dzieje na przykład w Krakowie i o tym, że istnieje hasło „miasto – masa – maszyna” – zostałam zafascynowana przez elektryczny pociąg, którymjechałam w Szwajcarii. Niesłychanie tym przejęta napisałam wiersz, oczywiście pod konkretnym tytułem *Pociąg*, no i kochane pismo *Iskry* wydrukowało mi w roku 1937 ten debiut. Byłam wtedy jeszcze w szkole, w polskim gimnazjum klasztornym sióstr Niepokalanek w Szymanowie, które do tej pory istnieje pod Warszawą. Miałyśmy wspierać nauczycielkę łaciny, która potrafiła nas zainteresować starożytnymi autorami, między innymi Wergiliuszem. Dochodziło do tego, że na lekcjach łaciny mówiło się o łacinie po łacinie. I na jakichś klasówce przetłumaczyłam fragment *Eneidy*.

*Pod wpływem czytanego tekstu, pod wpływem narastającego we mnie rytmu wpadam na zupełnie szalencję pomysł, tłumaczę Wergilego na polski wiersz, trzynastozgłoskowcem, oczywiście. I, o zgrozo, rymowanym. Porywa mnie ta praca, zanurzam się w niej, wreszcie przytomnieję, wiem, że nie starczy mi już czasu, by dopisać w zeszycie dokładny przekład tego fragmentu*

prozą. Dzwonek. Zdeterminowana zamykam i oddaję zeszyt (...) Lekcja następna nie przyniosła mi żadnych w tym względzie sensacji. W zeszyście znalazłam, jak od początku zresztą w tym przedmiocie, nieomal przeznaczoną mi, ocenę bardzo dobrą. Oddając mi go nauczycielka zauważyła tylko półgłosem i jakby mimochodem – „wcale nie jestem pewna, czy wiersze tacińskie należy po polsku rymować”. (...) Wychodziło wtedy jedyne w Polsce, wielce szacowne pismo, poświęcone literaturze antycznej „Filomata”. Redagował je Ryszard Ganszyniec (...). Wyekspe-diowałam więc tam ów fragment wraz z nieporadnym jeszcze liścikiem, że to: „Szanowny Panie Redaktorze...”. Jakież było moje zdumienie, gdy po dwóch tygodniach poczta(...) przyniosła mi nie tylko kolejny, autorski tym razem numer „Filomaty”, z wydrukowanym w nim już Wergiliuszowym przekładem, ale pełen aprobaty i zachęty do dalszej współpracy list.

– A więc jednak oba te nurty Pani działalności literackiej – własna twórczość i twórczość przekładowa – „objawiły się” w jednym mniej więcej czasie i tak już obok siebie trwały.

– Praca przekładowa jest niesłychanie czasochłonna. Przez wiele, wiele lat właściwie ledwo na marginesie mogłam pisać coś swojego. Ponadto tkwi we mnie jakby trzeci nurt tej pracy piórem.

MARIA KURECKA

DIABELNE  
TARAPATY



Jeszcze za sławetnych czasów stalinowskich, bardziej za namową niż z przekonania – ponieważ interesowałam się również i muzyką – napisałam, wydaną w roku 1952 w Czytelniku, a potem wznawianą, monografię o Janie Sebastianie Bachu. Ale była to rzecz zupełnie „poroniona”, ponieważ ta nieszczęsna, niewielka książeczka miała aż 9 redaktorów. Usiłowano mi na przykład wyper-swadować, że za czasów Bacha nie było żadnych podziałów na muzykę świecką i muzykę kościelną. Cała ta czereda redaktorów cichała i przedstawiała dowolnie mój tekst, wydano go w końcu, ale jest to właściwie książka jakby „nie moja”.

Następna pozycja była już nieco lepsza, a wiązała się trochę z tą moją, wspomnianą już, pasją gromadzenia i czytania baśni. Była to monografia o Andersenie, autorze baśni wcale nie tylko dla dzieci, bo pełnych podtekstów i ukrytych znaczeń. Książka ukazała się w PIW-ie w I połowie lat sześćdziesiątych. Na tym zresztą też zaważyły moje osobiste kontakty, bo złożyło się tak, że już od 1956 r. prawie co roku mogłam jeździć do Danii. Po prostu miałam tam rodzinę. No i oczywiście wybrałam się do Królewskiej Biblioteki w Kopenhadze. Zaczęłam gromadzić rozmaite materiały, które w końcu przerodziły się

w książkową całość. Tłumaczyłam też na polski niektóre baśnie Andersena i dwie z nich, te które nie ukazały się w zbiorowym ich wydaniu, pod redakcją Iwaskiewicza, umieściłam w tej monografii. Były to baśnie *O mszycach* i *O smatach*. Obie nie zaakceptowane przez redaktora owego oficjalnego wydania z uwagi na... aluzje polityczne.

Ostatnią wreszcie książką z tego nurtu „monograficznego” były opublikowane w Wydawnictwie Poznańskim już po moim wyjeździe, bo w roku 1970, *Diabelne tarapaty*, rzecz o pracy nad przekładem *Doktora Faustusa* Tomasa Manna. Tłumaczyliśmy go z Witoldem Wirpszą we dwójkę i – jak świadczą zarówno głosy czytelników jak i liczne kolejne wydania – zrobiliśmy chyba dobrą robotę. Trzeba tu powiedzieć, że nie było to zwykłe tłumaczenie. Tomasz Mann jest dla każdego tłumacza potęgą, wyzwaniem i praca nad jego tekstem to niezwykle zmagania, pełne komplikacji, kontrowersji i trudności. *Diabelne tarapaty* to jakby taki raptularz tych ponad trzyletnich zmagani.

– A jeśli wolno spytać o poezję?

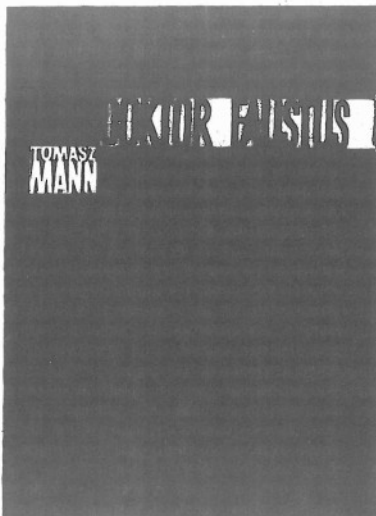
– W drugiej połowie lat sześćdziesiątych sytuacja w tym zakresie stała się już bardzo trudna. Nie było łatwo dotrzeć z takim czy innym tekstem do prasy; staraniom bardzo przychylnych ludzi zawdzięczam, że tych kilkanaście wierszy, które ukazały się w czasopiśmie, zostały w ogóle opublikowanych. Często były to bardzo „odległe” pisemka, na przykład *Odnowa*, takie na pół młodzieżowe, na pół studenckie, które potem zresztą zniknęły z horyzontu. Z wielkimi trudnościami publikowałam coś czasem w *Życiu Literackim*, czasem w takim bydgoskim tygodniku *Fakty i Myśli*, bo i tam uciekali rozmaici ludzie ze swoimi rzeczami, nawet swego czasu i Jastrun coś tam zamieszczał. Po prostu trzeba było szukać gdzieś możliwości...

– Czy moglibyśmy poprosić o przeczytanie nam któregoś z Pani wierszy...

– Może wiersz, publikowany już zresztą w berlińskim *Archipelagu*, dawny, bo z 1956 roku, ale ważny, stanowiący jakby punkt zwrotny w całej mojej twórczości.

On wrócił

On wrócił z kraju milczenia  
gdzie gasną głosy sumienia  
gdzie myśli miażdżą i kości  
gdzie wszelkiej zrzekł się przeszłości  
gdzie już zapomniał imienia  
własnego z kraju milczenia



nie otaczajcie go kołem  
i nie sadzajcie za stołem  
i nie pytajcie dlaczego  
i nic nie mówcie do niego

wy wierzcie, że świat się zmienia  
on wrócił z kraju milczenia

Data – rok 1956 – nie wymaga chyba komentarza.

Opowiadka samarytańska  
(wiersz, który powstał później niż data pod nim postawiona).

Wróg o krwawiących rozstrzelanych oczach  
staniał się w objęciach drugiego  
Obu dałam parujące miski kapuśniaku  
wychęptali, poszli  
Wróg o krwawiących rozstrzelanych oczach  
przestał być wrogiem  
stał się człowiekiem  
jak jego Samarytanin  
jak ja

Błonie pod Warszawą, styczeń 1945

Następny wiersz *Cluny*, napisałam już tu, w Berlinie w roku 1983, ale nosi on zapis daty

i miejsca: Paryż w sierpniu 1973, bo zamysł jego powstał właśnie tam i wtedy.

Cluny

Ryszardowi Przybylskiemu

Nie, nieprawda, że to była muzyka  
Dźwięk ulotny co raz tylko się śni.  
Jednorożec biały pomyka  
Wśród dostojnych gobelinów Cluny.

Tak to było, jest i zostanie  
Aż po kres naszych ziemskich dni:  
Jednorożec biały, bez łani  
Wśród dostojnych gobelinów Cluny.

Złotą różę trzyma ościenną  
I ze wszystkich trosk naszych drwi.  
Też go spotkasz godziną ciemną  
Wśród dostojnych gobelinów Cluny.

– Jeszcze?  
– Jeszcze.

– Dobrze, więc wiersz z wiosny ubiegłego roku. Czterowiersz bez tytułu.

\* \* \*

Cząstki zaledwie widzimy,  
budowli elementy  
może i Judasz zbawiony  
może i święty, przekłety.

W tym z kolei wierszu wraca dawna fascynacja łaciną. Styczeń 1982.

Vulnerant omnes

(Łacińska inskrypcja „Vulnerant omnes necat ultima” ryta była dawniej na tarczach zegarów lub monumentach)

Sprawdza się stara maksyma,  
choć nie pamiętam już czyja.  
ranią dziś wszystkie godziny,  
ale ostatnia

zabija

Zagadka była już też drukowana, bodajże w *Archipelagu*, ale przeczytam ją i Wam.

Zagadka

A cóż stało się z wodą,  
w której Piłat mył ręce?  
Weszła w obieg, nasz obieg  
i nie pytajcie więcej.

Przeczytam Wam jeszcze jeden z krótkich wierszy, osobisty, z takich, które pisuję rzadko. Bardzo rzadko.

W dzień śmierci jego

Wynagrodził Pan jego męstwo,  
zaoszczędził tortur agonii.  
Śmierć dał nagłą, szybką i męską,  
jak celny strzał z krótkiej broni.

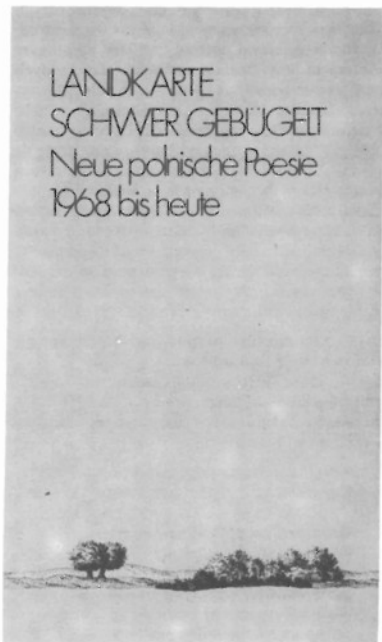
Berlin, 16 września 1985  
godzina 23.00

– Czy oprócz rozproszonych publikacji tych wierszy, ukazała się jakaś ich całość?

– Nie. Chodzą słuchy, że może coś, kiedyś ukaże się w Polsce w obiegu niezależnym; wysłałam je, też zresztą rozproszone, do kraju, ale czy? Kiedy?

– A w niemieckich przekładach?

– Proszę państwa, to tylko Polacy mają taką ogromną fascynację poezją. W Niemczech książka jest towarem, a towarem szczególnie nie pokup-



nym są wiersze. Szerszej publiczności można je zaprezentować głównie przez radio. I miałam taki kwadrans poetycki w SFB (Sender Freies Berlin – Wolne Radio Berlin) 9 grudnia ub. roku. Wiersze tłumaczyłam oczywiście sama. Drugą taką możliwością zaprezentowania się szerszej publiczności są wieczory autorskie, których jest, przynajmniej trzeba, ostatnio nieporównywalnie więcej niż przedtem. Również tutaj szersza publiczność, zwłaszcza młodsza, wykazuje w ciągu ostatnich pięciu – sześciu lat, większe zainteresowanie poezją. Ale wydać tom wierszy tutaj? Pomijając już konieczność znalezienia wydawcy i tłumacza...

– Co w Pani wypadku nie jest chyba przeszkodą?

– Nie jest, ale i tak wydanie takiego tomiku, oprócz osobistej satysfakcji, niewiele daje. Jestem w Berlinie już 16 lat i nie zdarzyło mi się spotkać w poważnym, ale nie specjalistycznym piśmie recenzji z tomu wierszy. Wiersze nie znajdują się nigdy na tworzonych tu listach tzw. bestsellerów. Nie ma na to miejsca. Tak że cały ten rynek, ogólna percepcja wierszy odbiega bardzo od tego, do czego jesteśmy w Polsce przyzwyczajeni.

– Może przeszlibyśmy teraz do ostatniego okresu, wyznaczonego czasowo przez opublikowanie *Liturgii* – tomu wierszy Pani męża, Witolda Wirpisy, w bibliotece *Archipelagu*.

– *Liturgia* opatrzona została znakomitą przedmową Klemensa Poręckiego i mówi ona więcej chyba o tym tomie niż ja – z racji osobistych związków i bliskości wzajemnych stosunków – mogłabym powiedzieć.

– Zacytujmy więc może fragment tej przedmowy, zatytułowanej *Błogostawione niebezpieczeństwo*.

*W czasach przełomu intuicja i wyobraźnia są z reguły o wiele bardziej sprawnymi instrumentami poznania niż rozumowanie i rachunek. Toteż zanim intelektualści zdecydują się na przełamanie dotychczasowego sposobu myślenia (...) pierwszy głos należy zazwyczaj do poetów. (...) Osoba ludzka znaczą dla nich więcej niż przyzwyczajenia pysznego rozumu. Takim właśnie bezcennym głosem w czasach chaosu i głupoty jest poemat Witolda Wirpisy, „Liturgia”, wspaniałe dzieło o poszukiwaniu Boga...*

– Tak, jest to bardzo wielowarstwowe, bardzo skomplikowane, dzieło, które trudno może określić jako „dzieło życia”, ale na pewno jest to „dzieło ostatnie”. A także, powiedzmy, „dzieło osobne”. I oczywiście było wielką radością dla nas obojga – i przypuszczam, że nie tylko dla nas – że książka ta zdołała się jeszcze za życia jej twórcy ukazać. Jaki będzie jej odbiór? O tym wypowiedzą się ci, którzy po nią sięgną.

– Powiedziała Pani przed chwilą, że stała Pani blisko poety, gdy tworzył on *Liturgię* (i nie tylko wtedy oczywiście). Więc może parę słów, których nie wypowiedzi ani naukowiec, ani najserdeczniejszy nawet przyjaciel, lecz osoba najbliższa.

– W ostatnich kilkunastu latach – póki żyła – prowadziliśmy dość zażyłą korespondencję z ponad dziewięćdziesięcio – już – letnią Katią Mann, żoną Tomasza. Była to imponująca pod każdym względem kobieta, ale mnie przede wszystkim wydaje się ona wzorcową żoną pisarza; do ostatnich swoich dni kobieta ta bohaterko broniła się przed jakimkolwiek spisywaniem swoich uwag, które by można – trawestując Iłłakowiczównę – określić jako „ścieżkę obok drogi”. Pod koniec życia udało się ją troszeczkę fortelem podebrać, namówiono ją mianowicie na nagranie, które ukazało się pod tytułem *Ungeschriebene Memoiren* (Nie napisane wspomnienia), czyli Katia już nawet tytułem tej książki podkreślała, że ona tego nie napisała, a tylko opowiedziała. Ja bym wolała być tutaj jeszcze ostrożniejsza. Wydaje mi się też, że gdybym miała inny zawód, mogłabym może precyzyjniej i z większego dystansu określić, jaka była praca mego męża, jakie przechodziła fazy czy etapy. Nie wydaje mi się w ogóle szczególnie wskazane – chyba że ktoś odczuwa po temu gwałtowną potrzebę – żeby ludzie bardzo blisko sobie musieli koniecznie o pracy bliskiego człowieka coś mówić czy pisać. Nie wydaje mi się to też rzetelne w stosunku do tego człowieka, bo siłą faktu lata, które się razem spędziło, a myśmy spędzili ze sobą przeszło lat czterdzieści, a znaliśmy się jeszcze dłużej, bo od przysłówiowej piaskownicy, te lata muszą deformować widzenie bliższej osoby. I eo ipso deformują również ocenę jego pracy. Mam wrażenie, że bardziej powołańi do tego są i będą inni.

– Więc pomówmy jeszcze o czasie najbardziej aktualnym. Pisze Pani swoją książkę której drobne fragmenty wchodzić w skład tej naszej rozmowy.

Była to jakby moja propozycja, aby równoległe do tego typu działań, jak na przykład wydanie wspomnianej już tu antologii poetów polskich po niemiecku podjąć i działania odwrotne – przybliżyć czytelnikom polskim poezję niemiecką. Miało to charakter quasi-mono-graficzny, chodziło o prezentację jakiegoś zestawu wierszy. Początkowo robiliśmy to tylko my z mężem, może uda się to jednak trochę rozszerzyć. Ten kierunek pracy chciałam zachować, pisząc równoległe i własną prozę. Idzie to powoli, bo

pisze mi się dość trudno. Nie przypuszczam, bym w tym roku daleko z tym „zajechała”, choćby dlatego że obok biegną prace przekładowe, czasem w jednym, czasem w drugim kierunku. Współpracuję teraz na przykład z takim, dość zapoznanym, nawet w tutejszym środowisku, malarzem, grafikiem i poetą – Rogerem Loewigiem. Ma on bardzo ciekawe związki z Polską. W 1966 roku – jako jeden z pierwszych twórców z Berlina – zorganizował wystawę w Muzeum Narodowym i teraz, po 20 latach, Muzeum chce go znowu przypomnieć polskiej publiczności. Loewig chciałby tym razem przedstawić też swoje wiersze, bardzo trudne wiersze, prawie nie dające przełożyć się na polski, bo jest to sprzężenie widzenia malarskiego z myślą poetycką. Ta wystawa więc – wyobrażam to sobie tak – będzie chyba połączeniem wystawy plastycznej z przedstawieniem – jako niezależnego, ale związanego przecież – obrazu, jakim jest strona z wierszem. Pracuję teraz nad tymi tłumaczeniami i już widzę, że będzie to praca „długodystansowa”.

– Jak układały się kontakty z polskimi pismami emigracyjnymi? Będziemy wkrótce obchodzić 40-lecie paryskiej *Kultury*, którą Państwo przecież współtworzyliście.

– Nie powstałoby mi nigdy w głowie, a przypuszczam, że i mąż mój by się z tym zgodził, uważać się w najmniejszym choćby stopniu za współtwórcę *Kultury*. Twórcami *Kultury* są niewątpliwie ci, którzy ją od wielu już lat kształtują – przede wszystkim Jerzy Giedroyc, Zofia i Zygmunt Hertzowie, oboje Czapscy, nieżyjący już Mieroszewski. My zaś byliśmy tylko współpracownikami, ci zaś byli i – jak wiadomo – są bardzo różni. Ja opublikowałam tam bardzo niewiele – dwa swoje wiersze, esej o *Turbocie* Grassa, bo książka była tu już wtedy głośna, a jakoś nikt o niej nic nie wiedział.

Znacznie częściej współpracowałam z *Kulturą* mój mąż, bo zamieszczał tam nie tylko swoje wiersze czy eseje, ale również czasami bardzo polemiczne notatki. I rzeczywiście był to, z biegiem lat, okres coraz silniejszych i coraz cenniejszych związków z tym pismem. Byliśmy parokrotnie osobiście w Maisons-Laffitte, istnieje też obszerna korespondencja mego męża z redaktorem *Kultury*.

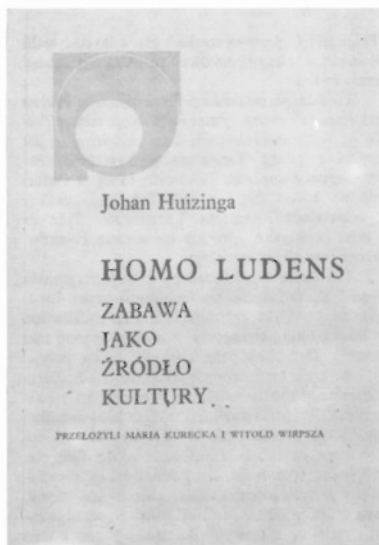
– Przypomnijmy może jeszcze tych parę najważniejszych dat i zdarzeń, które wyznaczają granice, etapy życia i twórczości.

– A więc Szczecin, a właściwie podszczecińskie osiedle Głębokie od roku 1947, przedtem krótkie, powojenne, jednoroczne bytowanie w Krakowie i równie krótkie, też jednoroczny okres warszawski, oba właściwie bez sensu. Natomiast na stałe oparliśmy się na 9 lat, a więc do 1956

roku, w Szczecinie. I tam zaczęła się już praca na serio, z tym że początkowo nie bardzo się było z nią gdzie obracać. Mieszkaliśmy wtedy – jak to już zresztą parokrotnie różni ludzie opisali – o dwa domy dalej od Andrzejewskich, opodal mieszkali też Osmańczyk, Woroszyłscy, a w samym Szczecinie Gałczyński.

Dla mnie i mojej przekładowej działalności ważny okazał się przede wszystkim Andrzejewski, który oprócz francuskiego, nie znał żadnego innego języka, a był bardzo zainteresowany literaturą niemiecką, zwłaszcza klasyczną. Przychodził więc do nas często, a myśmy mieli sporo książek, bo leżały wtedy po podwórkach i nikt ich nie zbierał, nikogo nie interesowały. I po tych podwórkach i piwnicach zgromadziliśmy sobie wcale dobrą bibliotekę. Andrzejewski przychodził więc, a ja zaczęłam mu to i owo, tak a vista, tłumaczyć. Zapisywałam to potem, gdzie się to ukazywało – bajki Lessinga w *Zeszytach Wrocławskich*, eseje Goethego w *Twórczości i Problemach*. Jednakże jako tłumacz zawodowy nie zaczęłam wcale od literatury niemieckiej, lecz od fragmentów *Dżumy* Camusa. Był to rok 1947 lub 1948 i książkę wówczas dostojnie pochłonęliśmy, a jej fragment zapadł we mnie tak jakoś głęboko, że zupełnie przez nikogo nie namawiana, po prostu usiadłam i przetłumaczyłam go. Ponieważ jednocześnie stale trzeba było jeździć do Warszawy, żeby jakieś sprawy wydawnicze załatwiać, bo Szczecin, zwłaszcza wówczas, był przecież pod tym względem kompletną pustynią, więc zawiązałam to moje tłumaczenie do *Nowin Literackich*. Iwaszkiewicz je wydrukował i to ten chyba druk zadecydował o tym, że będę pracowała jako tłumacz. Tyle że się to jeszcze wszystko wtedy chwierutało, bo jeśli chodzi np. o przekłady z niemieckiego, to nikt się tym nie interesował. Wręcz przeciwnie. Tak więc potem tłumaczyłam dla PIW-u jakąś mało ważną pozycję francuską, dla Czytelnika ogromne jakieś kobylki angielskie, też mało ważne, historyczne, nudne powieści itp. W międzyczasie wszedłam już do Związku Literatów, do sekcji tłumaczy, a potem i do PEN-Clubu. Wydawnictwa podsuwały tłumaczom jakieś rzeczy, najczęściej jednak wcale nie te, które by się samemu chciało robić.

Przełom przyszedł w powiecie lat pięćdziesiątych. W roku 1954 i 1955, kiedy można już było tłumaczyć Moirikego *Podróż Mozarta do Pragi*. To zresztą Witold robił, ale razem proponowaliśmy to wydawnictwom. Mafelka pozycja, ale znakomita. Potem *Rodin* Rilkego (jak wiadomo Rilke był przez dłuższy czas sekretarzem Rodina), aż po *Doktora Faustusa*, na co podpisałyśmy umowę z Czytelnikiem i tak już na lata całe ugrzęźliśmy. Wspólnie przetłumaczyliśmy też słynną książkę holenderskiego pisarza Johana



Huizingi *Homo ludens*. Ja tłumaczyłam też kolejną jego książkę *Erazm* (o Erazmie z Rotterdamu), w roku 1964 wydaną przez PIW oraz Hessego, pisarza, który był bardzo mało znany w Polsce przedwojennej i przypuszczam, że dobrze się stało, iż Wydawnictwo Poznańskie, które się właśnie wtedy zaczęło specjalizować w literaturze niemieckiej, zwróciło się do mnie i ja przetłumaczyłam dla nich parę jego prac. Zyskały sobie one dobry odbiór i doszły do czytelnika. Był to *Demian*, a później wspomniana tu już *Gra szklanych paciorków*. Oboje z Witoldem tłumaczyliśmy też Lessinga, a ja również dziennik Tomasza Manna *Jak powstawał Doktor Faustus*.

Cóż jeszcze? No, tłumaczyliśmy ogromne ksiączydło Alberta Schweigera o Bachu. To jest rzeczywiście podstawowa książka wiedzy o Bachu, nawet jeśli niektóre fragmenty analiz muzycznych są już przez współczesnych muzykologów podważane.

Tak więc zatoczyliśmy – nawiązując do muzycznych analogii – rondo, docierając do punktu wyjścia naszej rozmowy, a więc owego najbardziej przełomowego roku 1970, kiedy to postawiliśmy swoje walizki na peronie dworca w Wiedniu, aby – jak się okazało – nigdy już nie wsiąść do pociągu wracającego do kraju.

*Rozmawiali.*

*Ewa Maria Ślaska i Grzegorz Ziętkiewicz*

The BBC requires a Programme Assistant (journalist-translator) for its Polish Section in London. Applicants with perfect Polish must have: a degree level education, a thorough knowledge of English, the ability to translate quickly and accurately, a good microphone voice, an interest in current affairs. Journalistic and/or broadcasting experience would be an advantage.

Write, giving brief c.v., within 14 days to:

Recruitment Officer Language Services,  
BBC, P.O. Box 75, Bush House, Strand  
London WC2B 4PH, England.

Please quote reference X 9315/PL and enclose an addressed envelope for reply.

# RECENZJE OMÓWIENIA POLEMIKI

## Wokół „Shoah”

### SAME PYTANIA

Jaki jest ten film? – Nie wiem, nie potrafię powiedzieć, bo w TV pokazano nam tylko fragment, 100 minut z 9-godzinnej tasiemca. Prawda, fragment „polski” należy chyba do najistotniejszych, choćby z tego względu, że na naszych ziemiach rozegrała się najważniejsza część programu „Endoesung”, sama końcówka. Ale czy na podstawie tego wycinka mamy prawo sądzić, że Lanzmann mierzył w Polaków kręcąc swój film? Że – jak to twierdzą respondenci sondażu CBOP PR i TV – powodowała nim chęć ośmieszenia Polski

i Polaków? Czy po to trzeba było nakręcić setki kilometrów taśmy i próbować tą drogą wstrząsnąć opinią świata?

Prawda, po prezentacji filmu *Shoah* w Paryżu tamtejsza *Liberation* tytułowała swoją relację *Pol-ska na ławie oskarżonych*. I to określenie – jak wynika z relacji Turowicza w *Tygodniku Po-wszechnym* z dyskusji, która odbyła się w Oxfordzie na temat filmu z udziałem jego twórcy – odpowiada intencjom Lanzmanna. Tyle że – miał podkreślić – to nie on oskarża Polaków, ale oni sami siebie oskarżają.

Czy da się to odczytać z polskiego fragmentu *Shoah*? Ze świadectw wymuszanych przez Lanzmanna od tych, którzy mieszkali koło obozów lub widzieli z bliska transporty – trudno wysnuć taki wniosek. Oglądamy pana z Paryża, który przyjechał do kraju buszmenów i wyniośle, z odcieniem nonszalancji zadaje tubylcom pytania o to, co zapamiętali, co przeżywali, co myśleli jako świadkowie całego procesu. Ale o wiele bardziej niż domniemane uprzedzenia autora, zdradza film nieporadność tych ludzi, ich zahamowania, niezdolność wyartykułowania myśli, które – nie wiemy, czy i w jakiej mierze – mogą odzwierciedlać uczucia i refleksje z tamtych dni. Już choćby z tego względu, że rozmówcy Lanzmanna mieli wówczas po kilkanaście lat, najwyżej dwadzieścia kilka i zderzyli się ze zjawiskiem nie mieszczącym się





w ich porządku moralnym, jakkolwiek nisko położonym, przyjmując nawet ich obyczajowo-klasowe poczucie obcości wobec Żydów, czyli polski antysemityzm. Zjawisko to przekroczyło granice dozwolonego, nawet w ich prymitywizmie i niechętnych wobec Żydów postawach.

Lanzmann czyni zarzut, że orali pod parkanami obozu, skąd dochodził swąd palonych ciał. A co robili chłopi francuscy koło obozu w Drancy? Czy im wolno było orać dlatego, że w Drancy nie mordowano ludzi, tylko ich przygotowywano do pieców?

Z tego, co się słyszy o filmie *Shoah* można wnosić, że Lanzmann o wiele bardziej surowo rozprawia się ze swoimi rodakami, którzy w akcji eksterminacji Żydów odegrali nieporównanie bardziej haniebną rolę – oni realizowali program „Endlösung” ochotniczo, na własny rachunek, bez podniety i nadzoru ze strony Niemców. Nie wiemy, jak wygląda francuski fragment filmu *Shoah*. Być może jest równie antyfrancuski, jak polski – antypolski. Ale Francuzi mogą powiedzieć, że od zakończenia wojny problem antysemityzmu francuskiego nie schodzi z porządku dziennego, że walczą z nim nieprzerwanie. I nie jest przypadkiem, że jedna z najważniejszych współczesnych rozpraw na temat antysemityzmu wyszła spod pióra francuskiego filozofa Sartre’a, którego sekretarzem

był w tym czasie Claude Lanzmann, twórca *Shoah*. I stąd mamy prawo założyć, że ambicja Lanzmanna była nieco bardziej wzniosła, niż chęć stawiania Polaków pod pręgierzem. Że chodzi mu o to, by wstrząsnąć opinią świata i pokazać mu, że w 40 ledwo lat po najokrutniejszej zbrodni ludzkości wszystko po nas spłynęło, jak woda po gęsi. Że świat przeszedł nad tym do porządku dziennego. Że więc problem jest nadal otwarty, że „kwestia żydowska” jest ciągle aktualna.

W tej płaszczyźnie mógł Lanzmann, kręcąc swój film, mieć do nas uprzedzenia. Bo miał prawo zapytać: jak to się mogło stać, że w kraju, gdzie na oczach milionów ludzi mordowano i palono miliony innych ludzi, mogło dojść w 1946 roku, a więc prawie nazajutrz po holocaustie, do pogromu w Kielcach, gdzie zginęło kilkadziesiąt osób pochodzenia żydowskiego? Jak mogło dojść do tego, że w 1967 roku z trybuny kongresu związków zawodowych usłyszeliśmy z ust przywódcy narodu, Gomułki, o istnieniu żydowskiej „piątej kolumny”? Jak mogło dojść do wielkiej hecy antysemickiej w 1968 roku, kiedy to przegnano albo zmuszono do emigracji z Polski resztki Żydów? Jak wreszcie to było, że na Zjeździe „Solidarności” w „Olivii” odezwały się jakieś antysemickie echa? Na koniec, jak to jest, że do dziś nikt nie zadaje pytań, że wokół tej bolesnej spr-



*gandy, podtrzymywane są restrykcje, ponawiane próby ingerowania w nasze sprawy wewnętrzne. Oto ich powyborcza kampania.*

*Jej częścią jest również (...) oczernianie moralnego wizerunku Polaków, ustawianie nas w opinii światowej w roli współników hitlerowskiego ludobójstwa, żałosnych gastarbeiterów, abnegatów, rodem ze sławnych „polish jokes”.*

Nawet kolejność nadawania na antenie filmów została zachowana w przemówieniu.

Mogę sobie wyobrazić, jak wszechwładna administracja Stanów Zjednoczonych, pobrzękując pełną kieszą, opłaca paru „najemników” i „zaprzających”, aby podemonstrowali przeciwko czyjejś wizycie w USA. Ale namówić Lanzmanna, by podjął tak ogromny wysiłek albo wymyślił głupią fabułę i zmusił Skolimowskiego oraz kinematografię brytyjską do zrealizowania jej tylko po to, by nas zozydzić w oczach świata i tym samym podważyć drugoczące zwycięstwo partii w „wyborach” 1985 – czyż to nie przekracza możliwości nawet najpotężniejszej administracji?

A może przekracza tylko moją wyobraźnię?

Natalia

(Za: „Solidarność Radia i Telewizji”, nr 2/36, listopad 1985)

#### SHOAH – ZAGŁADA

Pomyśl, że należysz do narodu dotkniętego tragedią tak wielką, jak ta, której doświadczył naród żydowski. Pomyśl, że o tej tragedii jedni pamiętać nie chcą, inni pamiętają wybiórczo. Jaki film zrobiłbyś o tym?

Stary polski kolejarz o zmęczonej, ale niezwykle wrażliwej twarzy, milczy. *Dlaczego jest pan smutny?* – pyta Claude Lanzmann (reżyser Shoah). *Ponieważ widziałem to wszystko...* – brzmi odpowiedź... i jest to najpiękniejsza scena

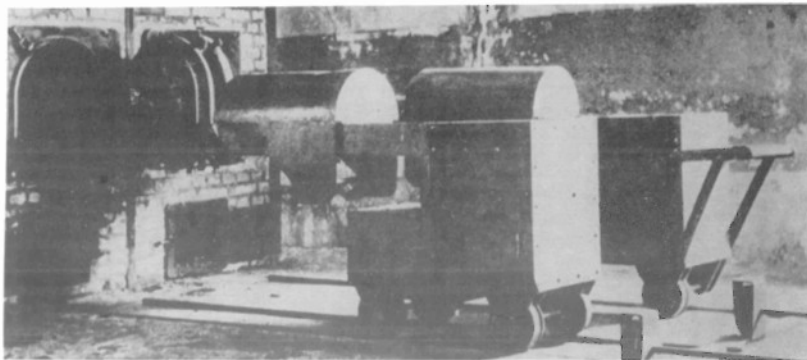
tego filmu. W kilka minut później widzimy luksusowy, piętrowy dom z ogródkiem. Mieszka w nim były SS-mann. W czasie wojny „pracował” w obozie zagłady. Mówi, że niewiele pamięta, niewiele wie... Grecka wyspa Korfu, oto plac, na który Niemcy spędzili Żydów i domy, z balkonów których, jak łóż teatralnych, Grecy patrzyli na ostatnią drogę tych w dole... I jeszcze jedna sekwencja. Pan z brzuszkiem – polski rolnik – opowiada o towarowych pociągach wiozących „Żydków” do Treblinki. Uśmiecha się. Powtarza gest, który kiedyś pokazywał tym w wagonach – „jedziecie na śmierć”.

Obejrzeliśmy część 9-godzinnej filmu – Żydzi, Polacy, Grecy, Francuzi, Holendrzy, Niemcy... ludzie wrażliwi bardziej lub mniej, dobrzy, zli, obojętni. Ci, którzy byli sprawcami zagłady lub „tylko” jej świadkami, ludzie wobec tragedii innych ludzi. Nie jest miarą SS-manna jego dom, ani polskiego kolejarza jego podniszczone ubranie robocze. Ważne jest to, co kryją w swych sercach. I doprawdy zdumiewająca była pofilmowa dyskusja, w której przez wiele minut rozmawiano o wszystkim (a głównie o naszych polskich kompleksach), zapomniano natomiast o tych, których tragedii Shoah został poświęcony. Smutne jest też to, że telewizyjną argumentację przyjęto dość powszechnie.

Rozmawiałem z wieloma ludźmi w Polsce. Pytałem o Żydów, Polaków, okupację – identyczne jak w filmie Lanzmanna reakcje, podobne twarze. Tylko zdarzenia, o których opowiadano jeszcze bardziej dramatycznie. Film, który mógłby powstać z tych rozmów uznano by bez wątpienia za jeszcze bardziej „antypolski” i w jeszcze większym stopniu „inspirowany przez faszystów”.

A.

(Za: „Wola”, z 18. 11. 1985)



## KTO KOGO INSPIRUJE?

Tatar zastanawia się, dlaczego zdecydowano się na telewizyjną projekcję filmu *Shoah*. Wiele osób nie mogło też nadziwić się, dlaczego zakupiono tak niedobry film angielski jak *Fucha*, czyli *robotą na czarno* nakręcony przez Jerzego Skolimowskiego. Dotychczas nie rozpieszczano przecież telewidzów tak szybkim i dokładnym zapoznawaniem ich z twórczością polskich reżyserów na Zachodzie. Parę dni wcześniej ucieszono nas powtórzeniem nadawanego uprzednio w dzienniku sprawozdania z demonstracji w Nowym Jorku, kiedy to pan Zakrzewski wcale nie ukazał – jakby to niektórzy chcieli – Jacka Kalabińskiego w roli chuligana. Demonstracja rzeczywiście niezbyt liczna, ale zawsze miło obejrzeć w okienku telewizora transparenty z napisem „Solidarność”.

Wszystko stało się jasne po kolejnej porcji żołnierskiej poezji, która spłynęła z ust generała w czasie plenum KC. Te trzy projekcje miały po prostu zilustrować propagandowe tezy – jak zwykle w generalskich przemówieniach – przyozdobione lapidarnymi metaforami:

*Mimo swej całej hałaśliwości ekstrema jest coraz słabsza. Wyraża się to i tym, że coraz częściej postępuje się faszystwem, gra na najniższych*

*instynktach, jawnie przechodzi na obcy żołąd. Można było niedawno zobaczyć garstkę polskojęzycznych najemników zapowiadających powrót do kraju na „białym Persingu”. Nie ma słów, by określić głębiej tej samobójczej wręcz głupoty i zaprzaństwa.*

*Wysiłkiem ostatnich lat przegrodziliśmy drogę na polską scenę fabułem pisany w obcych stolicach. Ale „brudna wojna” przeciwko naszemu krajowi trwa.*

Co więcej, powstaje pytanie, dlaczego zaporowy ogień wobec procesu normalizacji, przeciwko perspektywie, by Polakom żyło się lepiej i spójniej, wzmógł się właśnie teraz? Kiedy znaczący krok na drodze porozumienia, odnowy, reform znalazł potwierdzenie w wynikach demokratycznie przeprowadzonych wyborów. Kiedy partia i władza ludowa raz jeszcze deklarują dobrą wolę oraz wielkoduszność. (...)

Odpowiedź może być tylko jedna. *Im w Polsce lepiej, tym gorzej dla sił, które chciałyby uwięzić nas w niemocy, spętać wewnętrznymi konfliktami, zubożyć, pogrzyżyć w zacofaniu. Dlatego właśnie administracja Stanów Zjednoczonych próbowała różnymi drogami ingerować w nasze wybory. Dlatego znów nadmuchiwany jest zza oceanu balon agresywnej antypolskiej propa-*



wy panuje znoma milczenia, a w dyskusji telewizyjnej na temat filmu *Shoah* bierze udział jeden z bohaterów sezonu 1968 – Kazimierz Kąkol?

Może Lanzmann ze swoim filmem wyzwolił wreszcie te pytania, których dłużej nie da się zdtawić dla zdrowia psychicznego narodu.

A. W.

## LANZMANN I KILKU INNYCH

Pokazali nam *Shoah*. 101 minut wybranych specjalnie dla nas – o tym, jak Polacy schyłku XX wieku pamiętają zagładę Żydów, która stała się na ich oczach. I – dla odnotowania skali, w jakiej Lanzmann przedstawił swój obraz, w uzupełnieniu – krótką sekwencję grecką.

Nie poczułem się obrażony ani dotknięty w swoim narodowym honorze. Zasmucony tylko i zaskoczony żywotnością najgłębszych, najpiękniejszych zakrzepów w naszej zbiorowej świadomości. Jakby trochę współodpowiedzialny za kilkoro spośród tych ludzi, których nam przedstawił.

Lanzmann mógł to wszystko powiedzieć, miał prawo. Mimo całej oczywistej manipulacji, jakiej się dopuścił, mimo swoistej licytacji, do której prowokował swoich naiwnych rozmówców, mimo ucinania kwestii, w których ufną partnerzy zbliżają się do autentycznej refleksji moralnej. Bo mimo wszystko, to, co Lanzmann mówi w swoim filmie jest prawdą. Tylko prawdą, choć może nie całą prawdą. Niełatwo ją nam zaakceptować, reagujemy gwałtownie, nie tylko ci zawodowi piewcy rogatywek generała Jaruzelskiego. My, Polacy, chcielibyśmy, by zagładę Żydów polskich świat widział poprzez liczbę przez nas uratowanych, przez pryzmat tego, co my dla nich zrobiliśmy. Ale oni, Żydzi, mogą widzieć zagładę swojego narodu jedynie poprzez liczbę ofiar. I przez to, czego świat dla nich nie zrobił; czego nie zrobiliśmy również my. Kiedy zrozumiemy tę różnicę – nikomu już nie uda się podszcuć nas na innych; żadna antysemicka heca nie powtórzy się już i nie zdarzy się nam spotkać nikogo kto aż do dzisiaj ukrywa swoje żydowskie pochodzenie. Ale takich ciągle jeszcze spotykamy wśród nas – załkniionych, zadreńczonych, zawstydzonych jakby, że ktoś jednak przeżył.

Dlaczego zdecydowano się na tę projekcję? Decyzja na pewno nie była łatwa, ale przeważały względy nowej praktyki politycznej. Niektórych trudnych spraw już się nie unika – przeciwnie – przedstawia ze sporą ostentacją, dla uwiarygodnienia reszty, całego tego propagandowego chłamu, jaki (dla nich, nie dla nas) stanowi istotę spr-

wy. Nawet tutaj nie umieli zrezygnować z tandetnej propagandy. Zawsze chcą być na wierzchu, milczenie jest im obce. Myślenie – to na nieco wyższym piętrze – także.

Po projekcji była więc dyskusja. Padło w niej nawet kilka zdań godnych uwagi. KTT zauważył trafnie, że nie tylko my – cała ludzkość nie była przygotowana do zrozumienia sprawy, że brakło jej wyobraźni i aparatury pojęciowej, że nie umiała przyjąć tego do wiadomości. Prof. Ryszka lepiej niż inni dyskutanci odróżnił rzeczywistą treść przekazu filmowego od emocjonalnych stereotypów odbiorczych, które ten sens zacierają i mistyfikują – chociaż jako historyk dopuścił się mało wybaczalnych uproszczeń na temat dziejów Żydów polskich i ich funkcjonowania w społeczności Rzeczypospolitej. A także – niewybaczalnych u historyka przemilczeń. Na głębszą refleksję zdobył się prof. Grzegorzczak, ale dość słabo ją wyartykułował i uzasadniał, ponadto zagadano został przez agresywnych półgłówków, którzy zdają się czuć coraz pewniej i lepiej w krainie odgrzewanego sukcesu.

Był to mimo wszystko program pożyteczny, bo jakoś umilkła idiotyczna i kompromitująca wrzawa, która w związku z filmem pojawiła się w prasie i telewizji wiosną tego roku. Dziesiątki autorów różnego kalibru, z Urbanem na czele, wygadwały i wypisywały głupstwa o filmie Lanzmanna, tym bardziej agresywnie, że nikt z nich go, oczywiście, nie widział przed podjęciem kolejnego odpowiedzialnego zadania publicystycznego. Nie zauważyłem, żeby ktoś się teraz zawstydział, w SDPRL nie ma, widać, takiego zwyczaju ani takiego kodeksu. Ale przed 13 grudnia 1981 nawet w Radiokomitecie nikt by się nie odważył zaprosić do udziału w takiej dyskusji prof. Kąkole, jednego z ideowych prowodyrów marca 1968. Nikt by z nim pewnie (poza doc. Gontarzem i adiunktem Rogowskim) nie zasiadł w studiu przy jednym stole. Ale jakby coraz mniej jest rzeczy, które znalazłyby się poniżej godności rycerza pierwszego obiegu. Prof. Kąkol nota bene nie powiedział i tym razem nic godnego uwagi przeciętnie inteligentnego Polaka, oczywiście – ostrzegł przed paru banalnymi zagrożeniami, jak: neofaszystyzm, neoimperializm, neosyjonizm i CIA. Prof. Kąkol nie zmienia poglądów, jeśli je już ma. Pani Grażyna Szczesniak, osoba o aparycji policjantki i takiej mentalności, która całą rzecz zaaranżowała i prowadziła, zamknęła przewód wnioskiem, jak zwykle propagandowym i na tę okazję jedynym – że tak nas oto szkalują i że musimy dać odpór.

Tatar

Ewa Czerwiakowska

## Sprovokowana bezradność

To nie będzie recenzja, to nie może być recenzja. To może tylko próba zapisu percepcji indywidualnej i zbiorowej, tego jedyne go w swoim rodzaju filmu. Od razu, na samym początku, powiedzieć trzeba, że wśród znakomitej części polskich odbiorców film „Shoah” Claude Lanzmanna pozostał niezrozumiany, wywołał tak wiele emocji, iż one – tak należy przypuszczać – przysto niły właściwy temat filmu, przesunęły zasadnicze akcenty, wywołały rodzaj wysypki psychicznej. A więc „polska alergia” – jak słusznie zatytułow ał swoje uwagi Mateusz Zawieja w ostatnim numerze *Kontaktu*.

Konieczne jest postawienie arbitralnego stwierdzenia – „Shoah” nie jest filmem antypolskim, nie jest w ogóle filmem przeciw jakiemuś narodowi. Nie miejsce tu jednak na udowadnianie, iż jest to prawda. Podjęcie tego tematu byłoby przyjęciem nieadekwatnej dla odbioru filmu perspektywy. Zakładam, iż określenie „antypolski” opiera się na mniemaniu, że celem filmu było przedstawienie szczególnego obrazu polskiego narodu i to obrazu fałszywego, niezgodnego z prawdą. Otóż – z całą pewnością nie taki był zamiar Lanzmanna, dlatego też nie będę się tym problemem zajmować. Sprawą inną już jest, czy polscy świadkowie są reprezentatywni, ale i to nie mieści się

w głównej płaszczyźnie filmu. „Shoah” to znaczy zagłada i temu właśnie tematowi podporządkowana jest cała, niezwykle spójna i konsekwentna konstrukcja tego gigantycznego przedsięwzięcia filmowego.

*Głos I.* Kiedy w telewizji polskiej wyświetlono 101 minut „Shoah” nikt właściwie nie wiedział, o co w tym wszystkim chodzi. Było to beznadziejnie nudne. Potem, zgodnie z obietnicami władz, wyświetlono ten film w całości w jednym z warszawskich kin. Jeden z seansów obejrzała profesor Janion, która powiedziała, iż w całym kinie było... piętnaście osób.

Lanzmann odszukał świadków – to właściwy, zasadniczy klucz doboru występujących w filmie postaci. Świadków, którzy widzieli, wiedzieli, nic nie mogli uczynić, świadków, którzy uczestniczyli w zbrodni bądź przeciw niej nie protestowali. Motywacje ich postaw są jakby sprawą drugorzędną – bo równie bezlitośnie „przesłuchuje” Lanzmann i chłopów, których pola leżały w sąsiedztwie obozów zagłady, jak i członków Sonderkommando, którzy w dostownym sensie byli elementami zabijającej maszyny. Uczestniczyli w „przygotowaniu”, bądź „dopełniali dzieła” paląc zwłoki. A więc świadkowie tworzą ten film, świadkowie, których Lanzmann nie sądzi, nie ocenia ich postępowania w kategoriach moralnych, jedynie pokazuje, draży, wydobywa szczegóły ich życia z tamtych czasów.

*Głos II.* Właściwie nie wiadomo, po co został zrobiony taki film. Ci ludzie, którzy opowiadają o zdarzeniach sprzed lat, zostali chyba przez tego reżysera specjalnie wybrani. To prymitywni chłopci, to o nich nie świadczy.



Zaznaczyłam na wstępie, iż nie będzie, nie może to być recenzja z filmu; nie może, bo „Shoah” nie podlega zwykłym kryteriom oceny przy należnym sztuce filmowej, co nie znaczy wcale, iż nie mieści się w tej kategorii. Wszakże temat, jedyny i zasadniczy temat filmu – zagłada narodu żydowskiego oraz świadomość współistniejących z nią w tej samej przestrzeni i czasie świadków, ważkość więc i jedynność tego tematu wywołała moje przekonanie o niestosowności pisania o filmowych środkach wyrazu, o pracy kamery, budowaniu filmowej przestrzeni itp. Niestosowność, a więc pewnego rodzaju poczucie zażenowania. A z drugiej strony przyznać trzeba, iż film właśnie pod względem formalnym zrobiony jest doskonale. Wszystko tam współgra – od wielokrotnych powtórzeń – tory, rampa, obóz, poprzez pracę kamery rozglądającej się niespiesznie jak ludzkie oko, po monotonię, która zwiększa jeszcze siłę wyrazu.

Ktoś zapytał – po co taki film, po co znowu wracać do tego tematu, nie dowiemy się niczego nowego, widzieliśmy już tyle dokumentów... Jest to oczywiście pytanie bezzasadne, nikt nie pyta, po co kręci się setki innych filmów albo uznaje z góry, iż są one niepotrzebne, ale też nie uważa za stosowne wypowiadać się na ten temat. Tu nie. „Shoah” nawet dla tych, którzy filmu nie oglądali, jest wydarzeniem, prowokuje do ustosunkowania się – czy będzie to negacja a prorci, czy wybuch emocji już po jego obejrzeniu. To może tylko dowód na bezradność wobec tematu, tematu, z którym poświęciliśmy świat nie rozprawił się do tej pory.

Nie ma w tym filmie chwili oddechu, nie ma momentu pocieszenia, uspokojenia dla „pogrzebanego sumienia ludzkości”, całość jest tak skonstruowana, by bezustannie uderzać, atakować wyobraźnię widza – a to koszmarem wspomnień, a to niewzruszonym trwaniem życia mimo, życia obok zagłady i po zagładzie. Bo w tamtych miejscach trwa niezmienna w swej harmonii przyroda, bo po ulicach chodzą ludzie, którzy nie pamiętają czy tylko nie myślą o tym dziedzictwie, które stało się także ich udziałem.

Nie ma też w filmie miejsca na żadne indywidualne bohaterstwo, ani tych, którzy przetrwali, ani tych, którzy ich ratowali. Bo w „Shoah” nie chodzi o jedno życie, nie chodzi o uspokojenie, że przecież zdarzały się ludzkie odruchy. I nie miejsce tu na zarzuty, że czegoś w tym filmie nie pokazano – to nie jest dokument, choć postaci, jakie pojawiają się, są autentyczne, przez co zresztą same sytuują się w sferze dokumentu czy lepiej – świadectwa. Są to więc pojedyncze dokumenty, w postaci wypowiedzi świadków, które układają

się w głęboko przemyślane i precyzyjnie skonstruowane dzieło filmowe.

Niezmiernie wyrazistym i nabierającym szczególnego znaczenia w całej konstrukcji filmu dokumentem właśnie jest wypowiedź Jana Karckiego, polskiego kuriera, który przybył na Zachód z zadaniem powiadomienia świata. Opowiada więc on o spotkaniu z przywódcami żydowskiego podziemia, którzy przedstawiają mu swoje rozpaczliwe postanie – by świat zrozumiał, iż nie najważniejsze jest militarne zwycięstwo, kiedy unicestawiany zostaje z wyroku za samo istnienie cały naród – naród odpersonalizowany i wtłoczony w liczby. To właśnie wyróżnia zagładę narodu żydowskiego od innych masowych, masowych w sensie wielkich liczb zbrodni wobec ludzkości – depersonifikacja; nie chodziło tu o zadawanie bólu, cierpienia, czy zabijanie jednostek – chodziło o unicestwienie narodu. I ta depersonifikacja jest niezmiernie konsekwentnie pokazana w filmie. Żadna z ofiar (poza dwoma) nie zostaje zindywidualizowana, są to po prostu Żydzi, bez nazwiska, bez twarzy, są nazywani „ładunkiem”, mierzeni długością pociągu, ilością w nim wagonów, metrami kwadratowymi w komorach gazowych czy wrzescie... długością włosów, które trzeba ostrzyć. Dwie zindywidualizowane ofiary, dwie z twarzami i nazwiskami, to ci, których wyróżnił sposób umierania – popełnili samobójstwo.

W takim kontekście zrozumiałe staje się pominięcie tematu, którego zaistnienia w filmie domagali się szczególnie jego polscy odbiorcy – tematu pomocy Żydom, tym, którzy ocaleli dzięki innym ludziom. Jednakże ocalonymi były zawsze poszczególne osoby, zawsze jednostki, zawsze „jedno życie”, podczas gdy cały naród żydowski anonimowo szedł na rzeź. Fakt uratowania tysięcy istnień nie pozostaje oczywiście bez znaczenia, ale i nie zmienia zasadniczo oblicza bezprzykładnego unicestwienia pozbawionej twarzy masy – losy ocalonych nigdy nie dadzą się sprowadzić do niezruszenia powtarzanego schematu – tory rampa, obóz, komora gazowa. Powstałaby więc opowieść o iluś (dziesięciu, piętnastu) konkretnych ludziach, nie o całym narodzie. Być może należałoby oddać sprawiedliwość (prawdę?) i wspomnieć o ocalonych, uratowanych, lecz jeśli odnieść to znowu do liczb, ich zestawienie przywoła niewyobrażalne miliony.

Czasami skuteczne jest stawianie pytań najprostszych, od takich chyba trzeba zaczynać, gdy staje się w obliczu tematów grozących bezradnością. Dlaczego więc „Shoah” jest filmem tak bardzo prowokującym, dlaczego tak uderza, niepokoi? Można dokonać tu pięknego uogólnienia,

wdrapać się nie bez mozołu (pierwsze piętro to okrzykana jego antypolskość) na wyższe piętro – abstrakcji i dokonać okrągłej konkluzji – „Shoah” pokazuje, do czego zdolny jest człowiek; jest to więc film o naturze ludzkiej, jej najciemniejszych zakamarkach. Bo przecież w środku Europy, na tak zwanych oczach świata (któremu opaskę zdzierali tacy ludzie jak Karski) wymordowano wielomilionowy naród. Uogólnienie to jednak jest, zdaje się, logicznym błędem – nie można holocaustu potraktować jak sytuacji modelowej, bo nie dotknął on „jakiegoś” narodu. Skazany został konkretny naród, w konkretnej sytuacji historycznej – Żydzi, żyjący bez swego państwa, od wieków w diasporze. I tu miejsce na przedstawioną w filmie argumentację amerykańskiego historyka



Raula Hilberga, który twierdzi, iż holocaust był konsekwencją wielowiekowego antysemityzmu, antysemityzmu nie jakiegoś jednego narodu, lecz w wymiarze ponadnarodowym właśnie. I nie chodzi o odmierzanie, gdzie był on słabszy, gdzie silniejszy; faktem niewątpliwym jest samo jego istnienie. I przed holocaustem, jak też i po nim.

Jak sądzę – tu właśnie tkwi źródło szczególnego niepokoju odbiorców „Shoah” – postawienie diagnozy, iż nigdy nie rozprawiono się z antysemityzmem jako bezpośrednią przyczyną zbrodni. Zbrodnia, owszem, została potępiona, zbrodnia jako taka nie mieści się w kulturowo utrwalonych

kryteriach moralnych. Ale jej źródło, jej bezprecedensowe podłoże nie zostało nigdy do końca napiętnowane. Dlatego też moim zdaniem „Shoah” jest niezmiernie ważkim wydarzeniem – stawia bowiem na nowo pytanie, na które Polacy spod kościoła odpowiadają z niefrasobliwą oczywistością, pytanie, które brzmi – dlaczego to wszystko przytrafiło się właśnie Żydom?

To pytanie wcale nie jest proste i oczywiste, bo konkretne, dotyczy konkretnej sytuacji, wydarzeń, konkretnego narodu. Wszelkie uogólnienia są tu bezpieczniejsze, wszelkie stwierdzenia, aczkolwiek emocjonalnie uzasadnione, a wyrażające się na przykład w zdaniu Seweryna Blumsztajna – „Niemcy mordowali też Polaków, tylko Żydom wężej”, tępią ostre postawione pytanie. Bo bezprecedensowość zbrodni na narodzie żydowskim właśnie nie podlega już chyba dyskusji.

*Głos III. Nie będę oglądać tego filmu, ten temat jest już dla mnie śmiertelnie nudny. Widziałem dosyć okropnych filmów, a holocaust jest to temat, na którym robi się pieniądze i Lanzmann też żyje z tej krwi. Ja chcę pamiętać o wszystkich gnębionych, zabijanych czy bitych i nie widzę powodu, by jednych wyróżniać. Poza tym, zagłada Żydów była tylko początkiem, potem mieli pójść Słowianie. Lanzmann mógłby pojechać do RPA i zrobić film o zabijaniu Murzynów. Świat pozostawał obojętny wobec zbrodni. I nawet na polu, które graniczy z obozem zagłady też trzeba sadzić kapustę. Sam widziałem „ścieżki zdrowia”. I co mogłem zrobić? Chyba tylko wejść w nie, by być jeszcze jednym. Tylko po co?*

W początkowych i końcowych sekwencjach filmu pojawia się dwa razy to samo zdanie. Raz wypowiedziane przez świadka, kilkunastoletniego podówczas chłopca, któremu śniło się, iż został sam na świecie. Po raz drugi mówi to uczestnik powstania w warszawskim getcie, kiedy wraca tam z „aryjskiej” strony. „Wydawało mi się, że jestem ostatnim żyjącym Żydem i że jestem zupełnie sam”. Dramatyzm takiego wyznania może umyślnie jedynie, jak bardzo dalecy jesteśmy w naszych wyobrażeniach od świadomości tych ludzi.

*Głos IV. My z tym tematem nigdy się nie rozprawimy. Bo wyrośliśmy w kulturze, która nie pozwala zrozumieć takiej zbrodni, zbrodni, która – paradoks – właśnie w obszarze tej kultury się zdarzyła. I w tym sensie ten film jest antyeuropejski.* ■

Czytelników zminiaturyzowanych wydań „Poglądu” przepraszamy za złą jakością reprodukowanych zdjęć.

Utrzymanie jakości zbliżonej do normalnego wydania naszego dwutygodnika wymagałoby dużych nakładów finansowych, na które pozwolic sobie nie możemy.

Redakcja

*Jerzy Hoffmann*

## **Berlinale '86** – przelotny uśmiech filmowej muzy

To wzruszające prawie, jak bardzo lirycznie i rzewnie wspomina to miasto swoją przeszłość. Były to czasy – 70 teatrów, znakomite kabarety, kawiarnie literackie ze słynną „Manią wielkości” (Der Groessen Wahn) na czele, środowisko intelektualistów, artystów, cyganerii, metropolia kulturalna Europy lat 20-tych i 30-tych na równi z Paryżem. Chwilami od niego lepsza i ciekawsza. Co im zostało z tych lat, zastanawiają się berlińczycy i przygotowują się do swego jubileuszu 750-lecia w przyszłym roku. No i wszystko się zgadza. Były to czasy dla sztuki rzeczywiście przychylnie, zanim nie zdmuchnął wszystkiego pewien przystojny brunet budując tu swoją 1000-letnią... i tak dalej, i tak dalej. Także film miał tu swoją najpotężniejszą w tych latach europejską siedzibę, tutaj przecież istniały i pracowały tak wielkie wytwórnie jak Tobis i Ufa, których wielu twórców i wyko-

nawców weszło do historii światowego filmu. To w Berlinie rozpoczynała właśnie wtedy swą karierę Apolonia Chałupiec, zanim nie została wielką Polą Negri. Tu nakręcił swe pierwsze filmy „Chłopak z Sosnowca” – Jan Kiepura.

Po raz trzydziesty szósty przybrano z dość prowincjonalnym niestety smakiem festiwalowy ZOO Palast, usytuowany między brzydkim budynkiem Aeroportu a znanym dobrze wszystkim przybywającym do Berlina Zachodniego jeszcze brzydszym dworcem – Bahnhof ZOO. I po raz trzydziesty szósty graniczne miasto pragnie odzyskać w ten sposób dawną sławę filmowej metropolii, uważając się, słusznie zresztą, za trzecie festiwalowe miasto Europy zachodniej, po Cannes i Wenecji.

Równie rześkim blaskiem, co liczne umieszczone nad festiwalowym pałacem reflektory, rozświetliły w tym roku Berlinale, równie licznie przybyłe tu gwiazdy. Przede wszystkim Gina Lollobrigida, królująca przez dwa tygodnie nie tylko jako najpiękniejsza niegdyś aktorka świata, ale przede wszystkim jako przewodnicząca jury festiwalowego, co w oczach przeciętnego berlińczyka podniosło temperaturę imprezy niebawale. Chwył z nią wielką amantką światowego kina opłacił się sowicie. Była ona nie tylko największą atrakcją, ale wręcz „maskotką” festiwalu. Witali ją entuzjastycznie przechodnie. Nazywali po imieniu







Na festiwalu: Gina Lollobrigida i Giulietta Masina

i już po kilku dniach ochrzcił przydomkiem „Gina Berliinale”, miało być to lokalną parafrazą włoskiego określenia Lollobrigidy, którą nazywa się tam „Gina Nationale”, co oznaczać ma, że była piękną jest jak gdyby własnością narodu.

Artystka zażywała tego festiwalowego entuzjazmu z satysfakcją. Uczestniczyła w imprezach, udzielała wywiadów, podkreślając jak bardzo lubi swój nowy zawód fotografika, i jak stale jeszcze spragniona jest w wieku 57 lat prawdziwej wielkiej miłości. Bomba wybuchła dopiero ostatniego dnia, w momencie uroczystego wręczenia nagród, której to ceremonii przewodniczyła Lollobrigida z kamienną, ponurą twarzą, by po ogłoszeniu pierwszej nagrody oświadczyć *osobiście byłam przeciw*. W ten sposób świat dowiedziało się (uroczyść było po raz pierwszy transmitowana przez telewizję), że „Złoty Niedźwiedź”, którego otrzymał w tym roku film produkcji zachodnioniemieckiej *Stammheim* był nagrodą dla jury, mówiąc najdelikatniej kontrowersyjną. Później wywołał on także wiele sprzeciwów w prasie i środowisku festiwalowym, które typowało zupełnie inne filmy, o czym za chwilę. Fakt, tego bądź co bądź małego skandalu Berliinale, przydał na pewno festiwalowi rumieńców. Kontrowersyjne decyzje są zawsze ciekawsze.

W cieniu „Giny Berliinale” stale jeszcze, trzeba to przyznać, bardzo atrakcyjnej i pięknej pani, pozostawały inne wybitne postaci światowego kina, takie jak Federico Fellini i jego żona Giulietta Masina, którzy przybyli tu w związku z otwierającym festiwal, choć pokazywanym poza konkursem najnowszym filmem Felliniego *Ginger i Fred*, reżyserka włoska popularna i ceniona

w Niemczech Zachodnich Lina Wertmueller, aktorki tej miary co Karl Maria Brandauer i Horst Buchholz, czy wreszcie amerykański reżyser Sydney Pollack, którego przedstawiono do jedenastu Oskarów, rzeczywiście piękny film *Z dala od Afryki* z rewelacyjną Maryl Streep obejrzeć mogli także poza konkursem festiwalowi goście. Wybitnych gości przybyło w ogóle nadszpiegowanie wielu. Nawet najpopularniejsza w tej chwili piosenkarka amerykańska Madonna i córka prezydenta Reagana zaszczytliwie przelotnie Berliinale. Dla mnie osobiście najwybitniejszym gościem festiwalu był jednak pewien niepozorny, starszy i skromny pan, który odwiedził teraz Berlin, gdzie rozpoczął swą filmową karierę, przed pięćdziesięcioma trzema laty. Tym panem był Fred Zinnemann (urodzony w 1907 roku w Wiedniu), który dość bezskutecznie szukał przed wojną pracy w Europie, wyemigrował do Hollywood i zyskał tam sławę jednego z najwybitniejszych reżyserów filmowych. Odznaczony wielokrotnie Oskarami, twórca takich filmów jak *Stąd do wieczności* i *W samo południe* – najpiękniejszego chyba westernu, opo-



„Z dala od Afryki”

wieści o szeryfie, który w imię walki o sprawiedliwość samotnie i bez szans stawia czoło bezprawiu i... wygrywa, westernu opromienionego kreacją Gary Coopera, znanego dobrze polskim widzom.

Fred Zinnemann był honorowym gościem festiwalu. Odbывała się tu bowiem jednocześnie wielka retrospektywa jego filmów. Zapytany w czasie jednego z wywiadów, dlaczego robił zawsze filmy na temat humanitaryzmu i prawości ludzi odpowiedział: *po prostu dlatego, że zawsze wierzyłem, iż są na świecie tacy ludzie jak Anatolij Szczaryński*. W mieście, w którym ten działacz o prawa człowieka odbył dopiero co po moście Glienicke spacer do wolności, wypowiedź ta miała



Fred Zinnemann: wręczenie „Berlińskiej Kamery”

swoją szczególną wymowę. Druga retrospektywa poświęcona była w czasie tegorocznego Berlinale wielkiej aktorce dawnego kina niemieckiego Henny Porten, która w latach 1906-55 zagrała w ponad 200 filmach.

Trzecią retrospektywą były niektóre filmy Romana Polańskiego, co ciekawsze, także jego pierwsze krótko- i średniometrażówki, takie jak *Ludzie z szafą*. Filmy Polańskiego stanowiły nieliczne niestety polonika festiwalowe, łącznie z udziałem naszego wybitnego naukowca filmowego, członka jury, prof. Jerzego Toeplitza oraz jednym jedynym zaprezentowanym tu fabularnym filmem polskim pt. *Kobieta z prowincji* w reżyserii Andrzeja Barańskiego, według powieści Waldemara Siemińskiego.

Ten wyprodukowany w 1984 roku film polski otrzymał nagrodę specjalną FIPRESCI, czyli Międzynarodowego Stowarzyszenia Prasy Filmowej w ramach festiwalowego forum tzw. młodego kina, za – jak to sformułowano w uzasadnieniu werdyktu – *poetycką dramaturgię socjologicznego studium filmowego*. Jest to nagroda, która na pewno w tych chudych latach polskiego kina może nas cieszyć.

Wśród filmów, które pokazano i nagrodzono na Berlinale '86 zając się trzeba jednak przede wszystkim dwoma z nich. Jednym, którego na pewno nagrodzono by, gdyby nie fakt, że o nagrodę się nie ubiegał i tym, który pierwszą nagrodę otrzymał.

O innych mogę tylko wspomnieć, niektóre jak *Z dala od Afryki* Pollacka, czy *Cammora* Wertmueller zasługują na osobne recenzje. Jeszcze inne, i tych było także niestety sporo, wyłącznie na milczenie.

„Złoty Niedźwiedź” przypadł jak już wspominałem w sposób kontrowersyjny (i to bardzo, bo stosunkiem głosów jury 6 : 5) zachod-

niemieckiemu filmowi *Stammheim* w reżyserii Reinharda Haussa. Tytuł filmu to nazwa przedmieścia Stuttgartu, gdzie w 1975 roku odbywał się słynny i dramatyczny proces czworga przywódców terrorystycznej grupy Baader-Meinhof, właściwie nie proces, a walka młodych anarchistów z systemem państwa, który był dla nich nie do przyjęcia. Film tę walkę pokazuje. Jest dość dokładną rekonstrukcją tego, co działo się wtedy w ciągu 192 dni na sali sądowej i próbą rekonstrukcji tego, co działo się w celach więziennych Baadera i jego współników, łącznie z samobójstwem Ulriki Meinhof w czasie procesu. Kwestionowana do dzisiaj jako samobójstwo jednoczesna śmierć pozostałych trzech terrorystów w więzieniu Stammheim opowiedziana jest jedynie na zakończenie filmu.

W pewnym sensie jest to więc stylizowany dokument, tego typu widowiska telewizyjne nazywano kiedyś w Polsce bardzo trafnie „teatrem faktu”, nie jest to jednak w pełni kreatywne dzieło ekranowe i trudno tu mówić o filmowej twórczości jako takiej. Tego rodzaju były też zarzuty przeciwników nagrody dla *Stammheimu* i oświadczenie przyznające im słuszność przy całym uznaniu dla politycznych przesłanek tej nagrody w obliczu narastającego terroryzmu światowego i na krótko zanim zamordowany został Olof Palme. Istniało

„Stammheim”



przecież wiele możliwości innego uhonorowania tego skądinąd pasjonującego i trzymającego przez dwie godziny w napięciu filmu. Tak jak to uczyniono z pełnym już dokumentem o prawie 9-godzinnym czasie trwania, filmem francuskiego reżysera Lanzmanna pt. *Shoah*, co oznacza po hebrajsku zagładę czy unicestwienie. Tymczasem pokazano go już w całości w III programie zachodniemieckiej telewizji. I kto chciał, mógł go tutaj obejrzeć. Film otrzymał na festiwalu bardzo słusznie szereg nagród i wyróżnień różnych organizacji i stowarzyszeń. Pamiętam jednak, że Berlinale to przede wszystkim festiwal filmów fabularnych. Złoty i Srebrny Niedźwiedź, dwie główne nagrody przyznawane tu są za film jako dzieło sztuki z wszystkimi obowiązującymi kryteriami.

Nic też dziwnego, że nagroda była dużym zaskoczeniem i nikt się jej nie spodziewał. Obserwowałem twarze kolegów dziennikarzy, kiedy w prasowym biurze festiwalowym otrzymaliśmy kilka godzin wcześniej listy nagród. Była to pełna niespodzianka, tym bardziej, że za faworyta do pierwszej nagrody uważano powszechnie film Liny Wertmueller *Camorra*, potem angielski film *Carravaggio*, który otrzymał zresztą jednego ze Srebrnych Niedźwiedzi za piękną, barwną, o wyjątkowej urodzie obrazów opowieść o włoskim malarzu barokowym. Film nad którym jego reżyser Jarman pracował ponad siedem lat. Lina Wertmueller, która przywiozła tu swój bardzo dobry zresztą film o samosądzie neapolitańskich matek dokonywanym na członkach handlującej narkotykami i powodującej śmierć ich dzieci mafii, nie otrzymała właściwie nic. Najważniejsze Srebrne Niedźwiedzie przypadły włoskiej tragikomedii reżysera Nanno Morettiego *Koniec mszy* oraz japońskiemu filmowi pt. *Gonza, wojownik z lancą* bardzo pięknemu samurajskiemu eposowi heroicznemu. Były to na pewno nagrody bardzo zasłużone.

Ponad 650 produkcji filmowych wypełniło program tegorocznego Berlinale. Trzydzieści filmów fabularnych stanęło do rywalizacji o festiwalowe nagrody. Pokazano filmy dziecięce, dokumentalne, filmy tzw. ambitnego kina młodego, w specjalnej Panorami Czarnomorskiej znalazły się filmy Bułgarii, ZSSR, Rumunii, Jugosławii i Turcji, krajów, których wkład w tegoroczne Berlinale nie był bez znaczenia. Srebrny Niedźwiedź za reżyserię przypadł na przykład w udziale sowieckiemu filmowi pt. *Podróż młodego kompozytora*.

Festiwal otworzył uroczyście najnowszy film wielkiego mistrza kina Federico Felliniego *Ginger i Fred*, królujący zresztą na Berlinale, pokazany jako dzieło niezależne i poza konkursem. Do żadnej nagrody nie pretendujące i właśnie przez to

chyba dodatkowo owiane szczególną aurą i legendą. Jego fragmenty pokazywano codziennie w telewizji, prezentowano wywiady z Fellinim i Masiną, raz jeszcze stary mag włoskiego filmu zaczarował miąż widzów.

*Ginger i Fred* opowiada historię dawnych tingeltanglowych tancerzy, parę artystów, którzy po wielu latach mają raz jeszcze wystąpić, pokazując się w telewizji na kilka minut w jednym z bzdurowych, cyklicznych magazynów, zawierającym ciekawostki oraz osobliwości. I właśnie jedynie jak osobliwość galwanizuje tę parę telewizyjna machina.

Wielu krytyków widzi w tym filmie przede wszystkim satyrę na przemysł małego ekranu i na tzw. społeczeństwo konsumpcyjne z wszystkimi idiotycznymi reklamami, absurdalnymi pomysłami i kabotyństwem telewizyjnym. Osobiście myślę, że to, co stanowi o urodzie i pięknej nostalgii tego filmu jest przede wszystkim smutną opowieścią o przemijaniu, o losie ludzi, którzy bez większego sukcesu próbowali kiedyś imitować na estradzie słynnych tancerzy amerykańskich Ginger Rogers i Freda Astaira, a później zestarli się i odeszli w niepamięć. Ona została dobrą matką i babcią, on pod maską zdawkowego uśmiechu ukrywa dobrze sobie znany bezsens egzystencji — wielka kreacja Marcello Mastroianniego jako smutnego i cynicznego clowna własnego życia. Giulietta Masina gra właściwie tylko samą siebie — dobrą, sympatyczną i ciepłą starszą panią, taką poznałszy ją tu na Berlinale spotykając w czasie spotkań i wywiadów. Gra obojga stanowi o wysokiej randze filmu, który przy całym uznaniu, moim skromnym zdaniem, zdobył sobie już w tej chwili dużą sławę, głównie dzięki znakowi jakości o nazwie „Fellini”. Jego film otworzył festiwal, znobilitował i nadał mu od razu rangę, zobaczył go trzeba koniecznie.

Pogoda letowa była mroźna, atmosfera Berlinale ciepła i pełna optymizmu. Niedobra sytuacja filmu w ostatnich latach nie jest tajemnicą. O kryzysie branży mówi się i dyskutuje od dawna. Przyczyny jego, jak wszystkich zjawisk świata są nieznane i tajemnicze. Może rzeczywiście wszystko zależy od uśmiechu Muz? Dlaczego jest nudno, komercyjnie i nieciekawie? Gdzie zniknęli wielcy mistrzowie ekranu, gdzie odplynęły fale francuskiego, czy włoskiego kina, gdzie podziła się szkoła polska, czy czeska i kiedy znowu wrócą?

Coś tu w Berlinie jednak drgnęło, poruszyło się. O kilku filmach można znowu mówić, można na nie patrzeć.

Wyczerwana niedgdy przez Karola Irzykowskiego X Muza obdarzyła nas tutaj przelotnym, choć miłym uśmiechem. Czy był on jedynie okolicznościowy, okaże na pewno przyszłość. ■

Jakub Jahn

## Lwów jest wszędzie

Zdziwienie, zaskoczenie i trudny doprawdy dylemat. Czy są to wiersze Zagajewskiego czy nowego Zagajewskiego? \* Wiersze emigranta, czy wiersze Europejczyka, który odrzucił emigracyjne zależności? Czy pisał je Zagajewski, mieszkaniac uniwersalnej przestrzeni poetyckiej (a więc już po wyborze, dodajmy, trudnym wyborze niezależnienia się od rodzimych, ojczystych, powiatowych kompleksów), czy Zagajewski przytłoczony krajowym balastem i szukający oddechu w nowym pejzażu, w czystej, krystalicznej przestrzeni kultury i natury (a więc jeszcze przed wyborem, już nie tak trudnym, jak się zdaje, wyborem języka, który odrzuciłby dawne przyzwyczajenia i pospolite błędy)? A może nie jest to tyle nowy Zagajewski, ile Zagajewski, który chce być nowym Zagajewskim? Ale to jeszcze nie wszystko, bo przecież poeta otoczony nową rzeczywistością, dotknięty innym rodzajem cierpienia, korzystający obficie niż kiedykolwiek z pamięci i głęboko przejęty wizją obcości i osamotnienia zdobywa więcej doświadczeń życiowych niż artystycznych. Stąd rozterki, zasadnicze wybory i generalna rozprawa z przeszłością.

Zagajewski dokonał dramatycznego i trudnego obrachunku ze swoją dotychczasową poezją. Zapowiedź tej zmiany była już widoczna w paryskiej eseistyce, po części w powieści *Cienka kreska*, w ostatnim tomiku *Oda do wielości* i przede wszystkim w kilku wywiadach, w których autor *Sklepow mięsnych* odżegnywał się, czy też starał się odżegnać od młodzieńczych postulatów, zawartych w *Świecie nie przedstawionym*. Ogólnie rzecz biorąc, ma być to porzucenie literatury świadectwa na rzecz literatury uniwersalnej prawdy. Zmiana ta nie wyływała tylko ze zmęczenia konwencją doraźności czy uciążliwą presją kompleksu polskiego. To byłoby za łatwe i proste. Zmieniając swój status z obywatela-świadka na Europejczyka-emigranta Zagajewski, już po przemyśleniu Miłozsa, wkracza w inny świat, wskakuje w inną skórę, oddaje się innej sferze wolności. Nie tylko chce być innym poetą i innym ulegać pokusom wy-

obraźni, ale przede wszystkim pragnie być poetą ponad-polskim, poetą losu ludzkiego, zagrożonego oddaleniem od ojczyzny (raczej należałoby powiedzieć od języka, domu rodzinnego, krajobrazu).

W moim przekonaniu nie jest to postawa obronna. Wynika ona z założenia, że aby znaleźć się w nowej rzeczywistości i poczuć na sobie powiew wolności, należy ze skrupulatnością neofity pozbyć się wszystkiego, co tę wolność kępuje. A kępuje ją teraz przedstawianie, więc także etos odpowiedzialności, poczucie obowiązku, kłótnia o wartości, polska gramatyka. Dlatego Zagajewski szuka uspokojenia, kojącej ciszy, która pozwoli mu kontemplować chaotyczny bieg rzeczy i rozkoszować się harmonijnym kształtem natury. Jednocześnie przekreśla całą przeszłość. Idąc z nią w zawody, nie mógłby marzyć o wolności. Grzebiąc w niej, straciłby szansę wydotania się na powierzchnię. Bo przecież wcześniej był wraz z innymi pod nią, tak samo z olbrzymim wysiłkiem szukając możliwości złapania oddechu. Teraz z oddechem nie ma problemu, natomiast problem jest z tym, co trafnie kiedyś Krleża nazwał podstawą („podloga”). Nie chodzi wyłącznie o zakorzenienie, również o poczucie własności, grunt dający pewność. Najlapidarniej brak takiej podstawy wyraził poeta w stwierdzeniu *Lwów jest*



Adam Zagajewski

*Jechać do Lwowa*

\* Adam Zagajewski, *Jechać do Lwowa i inne wiersze*. Ilustracje Józefa Czapskiego (z dzienników). „Aneks”, Londyn 1985, s. 80.

wszędzie. Naiwnie można by sądzić, że Zagajewski posługiwał się takim skrótem myślowym także w Krakowie. Otóż, nie. Tam nie odczuwał braku podstawy, dlatego kategoria zagubienia (czy też egzystencjalnej pustki) nie nabrała nigdy dramatycznej formy i nie zamieniała się w skargę człowieka, który utracił swoje własne, jedyne, niepowtarzalne miejsce. Kiedy Zagajewski mówi: *Lwów jest wszędzie*, ma zapewne na myśli dwie rzeczy, mianowicie – Lwów (miejsce urodzenia, dziedzictwo, niesprawdzalną topografię duchową) oraz Kraków (czy szerzej – Polskę, lub wzięj – Gliwice, gdzie spędzał dzieciństwo i wczesną młodość). W obu wypadkach chodzi o odwołanie się do wartości pewnych i stabilnych, choć przecież równocześnie – teraz to już wiemy – nie skoficzonych, nie przyswajalnych od razu, kaleczących osobowość.

Z jednej strony formuła *Lwów jest wszędzie* jest zrozumiała z psychologicznego punktu widzenia. Żeby nie czuć się obco w świecie i nie traktować braku podstawy jako nieszczenia czy nawet zła koniecznego, należy niepowtarzalność w własnego miejsca zastąpić powtarzalnością jego szczytkowych obrazów. Poeta gotów jest odebrać wizję Lwowa, to znaczy żyć w poczuciu połowiczności, utraty jedyne i niepowtarzalnego świata, wszędzie, gdzie aktualnie przebywa. Specjalnie chciałbym podkreślić to słowo „przebywa”. Wprawdzie in extenso nie pojawia się ono w wierszach Zagajewskiego, ale pełni niebagatelną w nich rolę. Poeta bowiem ustawia się w pozycji wyzejkującej, kogoś z zewnątrz, tropiciela. Muzeum w Turynie, żaglowce w Alpach, ulice Nowego Yorku czy korytarze paryskiego metra zwracają jego uwagę intensywniej od kogoś z wewnątrz. Idąc przez las i nasłuchując śpiewu kosów poeta jakby dawał do zrozumienia, że to nie zwykły las i zwyczajnie śpiewają kosy, lecz las z drugiej strony mapy, las wciągający swym chłodem i obcojęzyczną, rozumiałą tylko dla niego, mową ptaków. Z drugiej strony *Lwów jest wszędzie* oznacza coś więcej i ma czyste literackie pochodzenie. Zagajewski bowiem, tak zawsze daleki od własnych, życiowych problemów, tak okrutnie naśmiewający się z prywatności literatury, nie ujawnił tego tematu bez głębszej przyczyny. Ale ta głębsza przyczyna – jak za chwilę zobaczymy – wcale nie musi być autentycznie przeżyta. Poeta poszedł śladem wielu emigracyjnych autorów i to bez wątku z pokolenia przedwojennego, którzy ażylu szukali w swej prawowitej ojczyźnie, przywołanej z nieukrywaną tęsknotą na kartach książek. Zbudował zatem swój image, jakby pragnął tym sposobem zakosztować identycznego, artystycznego losu, jakby próbował przeciwstawić – o, to za duże słowo – dorzucić do litewskiej arkadii

Miłozsa swoje tajemnicze, bo znane tylko z przekazów rodzinnych, lwowskie dzieciństwo. Oczywiście, nie przywiązuje do niego aż tak wielkiego znaczenia i nie kreuje na jego ruinach własnej, emigracyjnej filozofii, wszak jest z innego pokolenia i inne przemawia przez niego doświadczenie (choćabyż szkoła w socjalistycznej Polsce). Nie przywiązuje więc znaczenia, ale przecież daje do zrozumienia, że jest z tej samej kości, że ku tej samej rwie przepaści.

Z tego też względu formuła nowej książki Zagajewskiego wydaje mi się dwuznaczna. A jeśli nie dwuznaczna, to mocno wątpliwa. Autentyczny i bezpośrednio uwidoczny jest na pewno wątek obcości i osamotnienia poety, wyrzuczonego zbieganiem okoliczności w świat. *Zawsze byliśmy podzieleni. Ludzkość, narody, / poczekalnie. / Zatrzymuję się na moment, / niepewny do którego przyłączyć się cierpienia* – czytamy w wierszu *Wędrowiec*. Zagajewski nie tylko odczuwa obcość świata, w którym się znalazł; więcej – rozumie jej przyczynę. I wcale nie upatruje jej w swej egzystencjalnej sytuacji (taką myśl stara się odrzucić). Raczej w konstrukcji świata, podzielonego na sektory wyobraźni, systemów czy po prostu cierpienia. Wprawdzie dalej mówi: *Jestem sam, ale nie samotny*, ale to tylko wzmówienie bądź fałszywa – celowo – perspektywa. Idea totalnych podziałów w głąb i wszędy we współczesnym świecie nie jest nowa w twórczości Zagajewskiego. Widać ją na przykład w tomie *List*, w takich opowiadaniach, jak *Małe narody*, czy chociażby we wspomnianej tu już powieści *Cienka kreska*. Jeśli był to podział w głąb, wynikał wówczas z nieprzystawalności konstrukcji duchowej człowieka, cierpiącego z powodu sztucznej sytuacji, w jakiej się znalazł, do jego oczekiwań i aspiracji. Jeśli natomiast był to podział wszędy, brał swój początek w idei nierzezywistej rzeczywistości. Teraz Zagajewski dodał do tego kategorię samotności, która odżyła nagle, gwałtownie i prawdziwie.

Łączy się ona w nowych wierszach z pojęciem nieruchomości świata. Dla poety, który chce zdobyć świat po raz wtóry, tym razem całym sobą i z wielkim poświęceniem, nowa rzeczywistość staje się nieruchomym lub unieruchomionym obrazem, rejestrem rzeczy, ludzi, krajobrazów. Z pozoru wydać się może, iż w poezji Zagajewskiego, przeciwnie, wszystko jest płynne, chaotyczne, właśnie ruchome. Ale dzieje się tak tylko na poziomie zapisu poetyckiego, który nota bene zasadniczo się różni od wczesnych wierszy autora *Komunikatu*, o czym będzie tu jeszcze mowa. Zagajewski ani nie wchłania realiów, ani nie opisuje faktów, nawet nie stara się poznać świata, z którym obcuje. Zachód jest dla niego albo rozpoznawalną i dojrzałą tradycją zbawiennej kultury

(stąd pojawiające się nazwiska mistrzów: Schuberta, Mozarta, Keatsa, Vermeera, Celana etc. lub też nazwy klasycznych dzieł sztuki, jak *Requiem* Mozarta, *Medytujący filozof* Rembrandta etc), albo nieopskromioną jeszcze przestrzenią natury. W obu wypadkach – przynajmniej, dość zaskakujących – obiekt zainteresowania jest tylko znakiem, martwą literą, pretekstem. Poeta nie chce dać się unieść natłokowi zdarzeń, unika bezpośredniego zwracania, przebiega obok. Tym samym zaciera granicę między dawnym miejscem pobytu a obecnym. Czym różni się Mozart widziany oczyma Zagajewskiego z perspektywy Paryża? W jaki sposób inne są koty, drozdy i liście, wypełniające jego wiersze powstałe za granicą? Kultura Zachodu daje Zagajewskiemu poczucie słusznego wyboru, jakiego dokonał nie bez wahania. Przyroda, do której się tak garnie, parki i lasy, którymi się przechadza, pomagają mu zapomnieć o granicach i podziałach, wprowadzając element równowagi i skupienia. Kultura kaleka i spustoszona, o której wypełnienie walczył nie tak dawno, tu ma postać trwałą i niezmienną. Dlatego z taką ufnością i z taką pokorą poeta staje przed jej zdrowym obliczem. Ptaki, drzewa, wiatr – znaki, którym nadaje żywą postać, unoszą go ponad czasem i przestrzenią.

Ale gdzie go unoszą, w jaką stronę? Mówi poeta, że młmnia egipskiej księżniczki widziana w turyńskim muzeum jest symbolem niezmienności czasu. *Staliśmy obok siebie, twornicie, lecz/ bez nienawiści, na równych prawach/ i równie poddani wzajemnej obserwacji.* Otóż w żadną stronę. Zagajewski trwa w bezruchu, zawieszony między dwiema kulturami. Obserwuje, ale bez wewnętrznego sprzeciwu. Unieruchomił siebie, aby zapomnieć o konfliktach. Unieruchomił świat, aby obcować z głuchą materią, nie poddając się woli przybysza z Mitteleuropą. Bo to nie przybysz ze Lwowa czy Krakowa znajduje się przed katedrą w Chartres, lecz konsument dóbr kulturalnych, poszukujący ładu i harmonii. *Wszystko nas przeraża* mówi w wierszu *Rogi obfitości*. Wszystko to znaczy terazniejszość. Nie zagadki historii czy tajemnice arcydzieł – tego wystarczy dotknąć połowicznie, aby nabrać nadziei na stworzenie siebie od nowa – ale sekrety obecnej chwili, naszego miejsca w świecie. Wycofując się i rezygnując z podjęcia dialogu Zagajewski sam skazuje siebie na połowiczność egzystencji i działania artystycznego. Cóż z tego, że dowiadujemy się o twrode nicości i prawdziwej radości, jaka płynie z obcowania z przyrodą, skoro nie idzie za tym zuchwałość i pewność poetyckiego głosu. Zagajewski jest otwarty dla czułości i na piękno muzyki (która łączy się w nim inne dźwięki), pragnie ocalić w wierszu swą miłość i nie pamiętać. Wmawia

w siebie, że życie jest nieuchwytnie, że obrazy przeszłości rozproszone, że wszystko wiruje i to nazywamy wolnością. Nie tak dawno jednak wolnością nazywał umiejętność pewnego działania, czystość i jednoznaczność sądu, wybory szybkie i bezkompromisowe. Dlaczego nastąpiła tak drastyczna zmiana w jego poglądach? Wynika ona, jak przypuszczam, z wymuszonej obrony. Gdyby zachował dawną śmiałość w ocenianiu wartości, musiałby korzystać z przeszłości, a tę przecież przekreślił i odrzucił. Będąc w stanie zawieszenia Zagajewski ocala jedynie swoje ja. Ktoś powie, że to wystarczy. Nie może wystarczyć, jeśli poezja nie daje żadnej alternatywy. Wiersze z *Komunikatu*, *Sklepów mięsnych*, *Listu* i części *Ody do wielości* cechowały się klarownością wykładu, choćdem emocjonalnym, jednoznacznością. Teraz poezja Zagajewskiego jest skłócona wewnętrznie, bezforemna, z trudem przekazuje intencje i preferuje emocjonalne reakcje. To nie tylko wpływ nowych przeżyć poety, także decyzja artystyczna: w wielości przepływających obrazów i różnorodności nasuwających się wątpliwości odkryć metafizyczny sens istnienia, który pozwoli pożegnać dawny, obywatelski (a więc spłaszczony do publicystycznego odzewu) gest intelektualisty. Ale nie zapomina o jednym: także w pierwszych książkach Zagajewskiego obecność europejskiej kultury jako dopełnienia kalekiej formy, jaka charakteryzuje powojenną polską rzeczywistość, odgrzywała znaczącą rolę, choć krytyka uporczywie na ten temat milczała nie widząc w nim żadnego związku z generacyjnym szturmem. Tyle tylko że byty to ślady lektur, nieprzydatna jeszcze do niczego trudna lekcja Europy. Przy tym Zagajewskiemu nie chodziło o zastępowanie filozofii połowiczności śródziemnomorską ideą pełni (wszak dość głośno stało się jego hasło *nie czytajcie Jastruna*, nota bene wcale nie tak znów wulgarnie jednoznaczne, jak chciała tego nieuważna jak zwykle w Polsce krytyka). Teraz, w nowych warunkach, po dotarciu do innych zupełnie możliwości, powoływanie się na europejskich mistrzów ma cel strategiczny – ocalić dzięki temu własną tożsamość. O, paradoksy – uchronić podmiotowość „wędrowca”, rozplywając się w przedmiotowo traktowanej kulturze!

Pisze autor *Jechał do Lwowa*, że smutno żyć bez utopii. A czymże jest ta utopia? Na pewno nie budowaniem alternatywnej rzeczywistości – o tym już Zagajewski przestał rozmyślać. Raczej czymś bardziej przyziemnym – poszerzeniem granic ludzkiego losu aż po wspólnotę z umarłymi, przegranymi i należącymi już tylko do historii. W tym dialogu zresztą czuje się o wiele bardziej sobą i o wiele bezpieczniej niż w rozmowie ze współczesnością (pragnę np. zwrócić uwagę na mało udany i bardzo schematyczny wiersz po-

święcony Adamowi Michnikowi). Pisząc o ómach *Zawsze pozostaniecie na zewnątrz, / za szybą zaraz dodaje. A my będziemy tutaj wewnątrz, coraz bardziej wewnątrz.* Ale dlaczego? Czy dlatego, że jesteśmy zmęczeni dociekaniami prawdy i poruszaniem się w świecie dramatycznych konfliktów? Czy dlatego, że bezradność wobec ogromu doświadczeń jest bardziej twórcza niż wiara w poznanie? A może po prostu dlatego, że poezja nie umie już podnieść ciężaru dawnych wiar i obowiązków? Że bardziej jest milczeniem niż diagnozą, że nie ma już języka zdolnego odtworzyć tragedię współczesnego człowieka? Zagajewski wyraźnie oddziela zadania poetyckie od zadań esaju czy prozy. Z tego też powodu wpada w niekonsekwencje artystyczne. Czytając jego nowe wiersze mam ciągłe wrażenie, że coś w nich zostało zaprzepaszczone, że nie dają prawdziwych odpowiedzi na podobne, jak moje, pytania i że wcale nie przekazują wewnętrznej prawdy, lecz tylko i wyłącznie idee o zewnętrzności świata. Widać to szczególnie mocno w ostatnim utworze tomiku pt. *Widok Krakowa*. Umieszczenie tego wiersza pod koniec książki ma sugerować przywiązanie Zagajewskiego do przeszłości i nostalgiczny powrót lub chęć powrotu do punktu wyjścia. Tymczasem jest to tylko nieświadomiony odruch artysty. Kraków to dla Zagajewskiego martwa plama na widokówce: kamienne bryły kościołów, zatrzymani w pół kroku przechodnie, wiotkie dymy, unoszące się ponad dachami, świat zewnętrzny i na zewnątrz. Ani śladu emocji, ani śladu ludzkiego dramatu. Mury kamienne i wilgi pijące wodę z kałuży. Rzeczywistość anonimowa jak kora na drzewie. Tymczasem na paryskiej ulicy zatrzymuje poetę widok twarzy van Gogha (*twarz sprawiedliwego, niepokój obleczony w skórę*), a w Rzymie cienie dzikich kotów. Tam kamienie i stalowa obręcz, nieruchomy, anonimowy tłum; tu natomiast pojedyncze istnienie, mała cząsteczka losu. W jednej i drugiej rzeczywistości poeta stoi na zewnątrz, ale w pejzażu Europy widzi wartości jednostkowe i niepowtarzalne. Czy mam zadać jeszcze jedno pytanie? ■

ZAPRENUMERUJ

Pogląd

György Dalos

1985

Część IV

György Dalos, pisarz węgierski średniej generacji. Objęty na Węgrzech zapisem cenzury, publikuje głównie na Zachodzie, bądź też w samizdacie. Powieść „1985”, której kolejny fragment prezentujemy czytelnikom „Poglądu” jest syntezą zrywów demokratycznych w krajach bloku wschodniego od rewolucji węgierskiej 1956 do upadku „Solidarności”. W najbliższym czasie „1985” ukaże się w kraju.

ttm. E. M. Ślaska i S. Kozłowski

39. O'Brien o konsekwencjach traktatu pokojowego

Oceania przestała istnieć jako potęga światowa. Eurazja odebrała nam nie tylko całą Amerykę, ale również kraje śródziemnomorskie. Praktycznie więc została nam tylko dawna Anglia i Irlandia Północna — też Północna Irlandia, której fanatyczni katolicy pozostali knąbni mimo trzech ekspedycji karnych podjętych przez Wielkiego Brata. Niewielkim tylko pocieszeniem mógł być dla nas fakt, że w zamian Eurazja otrzymała od nas również knąbrych Polaków.

Podczas oficjalnego bankietu pokojowego, wydanego na wyraźne życzenie delegacji Eurazji, wielu ludzi płakało. Najlepiej chyba udało się tym Policjantom Myśli, których zastrzeliliśmy po premierze „Hamleta” — pomyślałem, trącąc się kieliszkiem z eurazjatyckim dyplomatą — bo nie dożyli tej hańby. Dzisiaj są najszcześliwsi z nas wszystkich.

Chcieliśmy ten bandycki pokój zachować w tajemnicy tak długo, jak to tylko byłoby możliwe. Ale prognozy pogody *Timesa* pomijały już Amerykę i Afrykę Północną. A jakże często propaganda Oceanii chweliła się, że podczas gdy tropikalne ulewy leją na wschodnich peryferiach, na zachodzie panuje susza, a na północy szaleje śnieżna zamieć. Ludzie uświadomili sobie, że Wielka

Brytania stała się niewielkim krajem, małym państwem weisniętym między dwie superpotęgi. Mieszkańcy Londynu chodzili po ulicach ze spuszczoneymi głowami. Wielu nosiło opaski żałobne, wspomnienie po utraconych terytoriach.

W końcu czerwca wrócili do kraju oddziały kolonialne Armii. Dwa miliony niepotrzebnych żołnierzy zalało miasto – dwa miliony bezrobotnych. Tłoczyli się na ulicach, zapełniali stacje, puby i dzielnice proletów. Gwałtownie wzrosła liczba przestępstw. W ciągu dnia coraz więcej osób ośmielało się przechodzić z dzielnic proletów do City. Policja Myśli nie była już w stanie podołać obowiązkowi – było to wciąż trudniejsze w miarę jak zmniejszano racje żywnościowe. Wtedy właśnie nastąpił najsmutniejszy rozdział gospodarczej historii Oceanii – tzw. letni kryzys mięsny.<sup>1</sup> (...)

41. *Skromna propozycja: artykuł przewodni Whitersa w numerze TLS z połowy sierpnia 1985 zatytułowanym: „Reforma gospodarcza”*

Przynajemy, że nie wierzymy aby obecny rząd był w stanie przezwyciężyć trudności ekonomiczne kraju, jest naszym zamierzeniem tylko zwrócenie uwagi – przede wszystkim w interesie patriotycznej ludności Oceanii – na ważki czynnik, który być może pomógłby nam w dzisiejszych trudnościach.

Dowiadujemy się, że plantacje kakao plemiennej wspólnoty Brazaville cierpią na dotkliwy brak nawozów. Można by zatem założyć, że byłoby w stanie przyjąć, na zasadzie eksperymentu, 8 tys. ton odchodów ludzkich, w zamian za walutę obcą, wymienną na walutę lokalną, jak i akceptowaną przez Bank of Hong Kong.

W związku z tym występujemy z naszą skromną propozycją: rząd powinien poważnie rozważyć następującą, opłacalną transakcję. Jesteśmy zdania, że każdy obywatel Oceanii wypełni swój patriotyczny obowiązek, oddając część swych ekskrementów do dyspozycji państwa. Z całą pewnością jest też możliwe zatrudnienie odpowiednich pracowników do pobierania i transportu tego wartościowego towaru, wyniku naszych niezbędnych wypróżnień. Oceania jest dzisiaj – częściowo na skutek pokoju – krajem ubogim w surowce naturalne. Ten jednak surowiec jest

możliwy do uzyskania w nieograniczonych ilościach, a poprzez poprawę stanu żywienia ludności można też uzyskać wzrost produkcji.

Poprzez obróbkę ludzkiego produktu końcowego możemy podnieść racje żywnościowe, stwarzając tym samym zdrowy obieg, który w przyszłości będzie mógł posłużyć jako przykład modelowy naszego rozwoju gospodarczego. (...)

46. *O'Brien o sprawie zakładników*

W tym czasie – w połowie sierpnia – stało się prawdziwym obyczajem proletów odwiedzanie City of London. Próbowali oni poprzez okazjonalne wypadki na zakupy poprawić sytuację zaopatrzeniową w slumsach. Zwłaszcza w weekendy proleci dosłownie zalewali Londyn. Upijali się – z różnych przyczyn, jeżeli udało się im coś kupić lub przeciwnie – jeżeli się nie udało, z radości, ze smutku, a w każdym razie do nieprzytomności. Pijani leżący na ulicach stawali się doprawdy problemem. Policja Myśli nie była też przyzwyczajona do radzenia sobie ze zwykłymi zadaniami prawa i porządku.

Pewnej sierpniowej nocy dwóch pijanych proletów, Hindusów czy też Pakistańczyków, obsikało pomnik ku czci poległych w wojnie 1968-1969<sup>3</sup>. Oficerowie Policji Myśli aresztowali obu. Okazało się, że nie mają dowodów osobistych – nie byliśmy nigdy specjalnie skrupulatni w kwestii dowodów osobistych dla proletów – odpowiadali też raczej beczelnie naszym ludziom. Ci przekazali ich więc na najbliższy posterunek policji, gdzie – jak się okazało – opracowano ich nieco bardziej niż było to konieczne. Następnego dnia jeden z nich zmarł.

Jak dotąd wszystko było w porządku – nie był to pierwszy przypadek tego rodzaju, również w Oceanii. Jednakże następnego dnia rodziny obu awanturników przybyły do Londynu i wszczęły poszukiwania w Policji Myśli. Posunęli się z całą pewnością za daleko, gdyż w końcu aresztowano ich.

Następnego dnia zastrajkowały nagle tysiące robotników zatrudnionych w fabrykach samolotów na obrzeżach Londynu, w tzw. „brudnym pa-

<sup>1</sup> Wyrażenie „kryzys mięsny” jest ekonomicznym eufemizmem, kryzys został bowiem spowodowany nie zniknięciem mięsa ze sklepów, lecz – paradoksalnie – faktem, że mięso się w sklepach pojawiło. Rozbudziło to określone potrzeby – niewątpliwie o podłożu politycznym. (przyp. bad.)

<sup>3</sup> Wojna 1968-69 pomiędzy Oceanią a Eurazją toczyła się o Madagaskar. Podczas walk ludność tubylcza została całkowicie wyniszczona. Wkrótce po zakończeniu wojny zwycięska strona, Eurazja, ewakuowała terytorium nieprzydatne już z punktu widzenia ekonomicznego. Wojna ta nie miała więc najmniejszego sensu, chociaż w tej sprawie wielu znakomitych przedstawicieli naszego instytutu wyraża odmienny pogląd. (przyp. bad.)



sie". Nie podeszliśmy do sprawy specjalnie poważnie, wysłaliśmy tylko oddział Policji Myśli do uspokojenia robotników. Tymczasem proci zaatakowali naszych pałkami, rozbroili ich — coś za heroiczny czyn, około tysiąca proletów przeciwko dwudziestu policjantom — i zamknęli w szopie. Wysłali też jednego z nich z powrotem do nas i poinformowali, że jeśli nie wypuścimy aresztowanych w ciągu 24 godzin, szopa zostanie spalona. Później dołączono do tego żądanie, by Policja Myśli publicznie przeprosiła za aresztowanie.

Mówiąc szczerze, byliśmy potwornie zdenerwowani. Zauważyliśmy też, że nie mamy już do czynienia ze zdezorientowanym tłumem, lecz przeciwnie ze świetnie zorganizowaną grupą. Zgodnie z raportem służb wywiadowczych, przywódcą proletów był robotnik pakistański, pracownik kanalizacji miejskiej, Muhammad Stanley.

Tenże Muhammad stracił rodziców w 1960 roku, podczas kampanii antyreligijnej. Młody człowiek był zatrudniony w British Museum i podczas uprzątania budynku ze zbędnych śmieci ukradł tam wydany po angielsku Koran. Od tego czasu uważał się za wyznawcę religii muzułmańskiej, przekazywał też swoje fanatyczne poglądy otoczeniu. Tak czy owak był sierotą i wiodł żywot proletę; założył też dużą rodzinę. W ciągu 12 lat spłodził ośmioro potomstwa — i oczywiście wszystkie wychował w wierze muzułmańskiej. I przez cały czas krzewił swoją wiarę, co niezbyt nas denerwowało, bo w ogóle nie traktowaliśmy proletów poważnie. I tak pewnego dnia stwierdziliśmy, że jesteśmy całkowicie nie przygotowani do konfrontacji z fanatycznym, przepelnionym nienawiścią tłumem z londyńskich slumsów. Jak to ktoś kiedyś określił, idea zawładnęła masami i stała się materialną siłą. (Chciałbym wiedzieć, kto ukuł ten aforyzm — jest bardzo na miejscu). (...)

#### 50. O'Brien o rozwiązaniu sprawy zakładników

Zerwałem wszelkie kontakty ze Smithem i spółką, gdy dowiedziałem się, że chcą się skomunikować z Arabami. Powiedziałem im zupełnie szczerze: „Chłopcy, głupio robicie. Nie mam nic przeciwko temu, że chodzicie na zebrania, że opluwacie wszystkie świętości i śpiewacie szmatławę piosenki. Ponadto, chociaż uważam zbieranie podpisów za afront, mogę i o tym zapomnieć. Ale, że by się łączyć z proletami! Nie złoście się na mnie, ale nie mogę was dłużej popierać. Musicie wziąć to na swoje własne barki. Nie chcę mieć nic wspólnego z dolewaniem benzyny do ognia — nawet jako strażak. Czytałem projekt waszej Karty, którą Parsons, ten wiecznie śpiący historyk, skleił z Magna Charta, Deklaracji Niepodległości

i bolszewickich frazesów. Puste słowa. „Człowiek urodził się wolny”. Idiocytyczne”.

Ja sam też byłem o włos od zrezygnowania z Policji Myśli. Z tak niewiarygodnym tchórzstwem poczynali sobie w sprawie zakładników, że napawało mnie to obrzydzeniem. Żeby poważnie rozumujący Policjant Myśli używał argumentu o rodzinach i dzieciach zakładników. I po co? Czyżby ci brudni Arabowie też nie mieli żon i dzieci? Musimy być bezwzględni wobec samych siebie, argumentowałem, bo wystarczy tylko gest z naszej strony i lawina ruszy.

I miałem rację. Ledwie tylko wypuściliśmy tych Arabów, którzy utrzymali się przy życiu, a wysokiej rangi oficer Policji Myśli wystąpił w tele-ekranie z przeprosinami — nigdy w życiu nie zapomnę tego poniżenia — proci uderzyli znowu z powodu tych, którzy zostali zabici. Tym razem nie zadowolili ich nasza skrucha. Zażądali ustąpienia rządu i ukarania winnych.

Urządziliśmy wielki bankiet na cześć uwolnionych Policjantów Myśli. Głowa państwa,<sup>4</sup> cała generacja Policji Myśli i ambasador Eurazji brali udział w przyjęciu. Morale było wysokie, może nawet za wysokie. Śmiało się z proletów, którzy uparli się ostatnio, że chcą swobodnie praktykować islam. Religie! W ogólnej wesołości szef Policji Myśli zrobił pogardliwy ruch ręką w kierunku dzielnic proletów i powiedział: „Przerobimy was na mielone”.

#### 51. Smith o spotkaniu z Muhammedem Stanleyem

Był wielkim, potężnym mężczyzną, o czarnych, kręconych włosach. Dzielnie śmiejące się oczy spoglądały na mnie spod jasnobrunatnego czoła. Przyjął mnie w środkowym pokoju swego małego domku, który był zawsze otwarty; poprosił mnie o chwilę cierpliwości, gdyż odmawiał właśnie codzienną modlitwę. Pokłonił się kilkakrotnie na wschód, po czym zwrócił się do mnie.

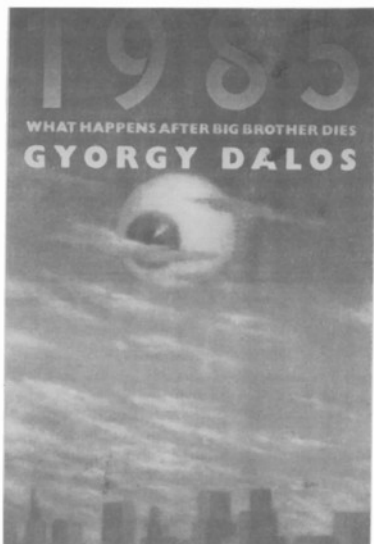
„Co cię tu sprowadza, mój miły, niewierny bracie?”

Wyjaśniłem mu, że przychodzę w imieniu Intelktualnego Ruchu Alternatywnego i że chcielibyśmy nawiązać z nim kontakt w celu skoordynowania naszych działań. Zaznaczyłem też, że

<sup>4</sup> Poprzednio głową państwa był niewątpliwie Wielki Brat. Nie wiemy jednak, kto był jego następcą. Partia zdecydowała w czerwcu, że dla uniknięcia przerosłów indywidualnych ambicji, żadne nazwisko nie zostanie wymienione w publikatorach. Przedstawiciele rządu występowali wspólnie jako jedna wielka anonimowa postać. (przyp. bad.)

zwracamy się zarówno do komitetu strajkowego robotników, jak i do niego osobiście.

Muhammad przyjrzał mi się, poklepał mnie przyjacielsko po ramieniu i powiedział: „Muhammad nie potrzebuje doradców. Muhammad dzień i noc ma do swej dyspozycji najlepszego doradcę na świecie”. Mówiąc to, stworzył szufladę biurka, ukazując Koran. „Widzisz, bracie? Ta książka udzieli mi porady w każdej sytuacji i o każdym czasie. Ale nie myśl sobie, mój miły, niewierny przyjacielu – jak się zdaje, nie zamierzał tytułować mnie inaczej – że jeśli będziecie potrzebowali na-



szej pomocy, odmówimy wam. Prawdziwie wierzący dzieli się ostatnim kawałkiem chleba, a jego myśli są z tymi, którym sprzyja. Jakie wieści przynosisz z miasta?”

Opowiedziałem o zbieraniu podpisów i o oddziałach IRA, które powstały we wszystkich dzielnicach. Również z tej przyczyny byłoby dobrze, powiedziałem, wracając do początku naszej rozmowy, gdybyśmy nawiązali współpracę ze strajkującymi. Moglibyśmy, na przykład, informować czytelników TLS o walce, jaką toczą strajkujący, bo *Times* tylko oszukuje odbiorców. Mogli-

byśmy, powiedzmy, zamieścić reportaż ze zdjęciami.

„Pisać?” zapytał zaskoczony Muhammad. „Dlaczego pisać? Ludzie przecież nie umieją czytać. Ja sam jestem prawie analfabeta.”<sup>5</sup>

„Dlaczego nie?” przerwałem mu nieco zirytowany, ponieważ dotknęło mnie, że Muhammad tak mało przywiązuje wagi do naszej współpracy. Po czym uświadomiłem sobie, że pod pojęciem „ludzie” Muhammad rozumie przede wszystkim mieszkańców dzielnic proleckich, ci zaś faktycznie byli analfabetami. Powiedziałem mu więc: „Nie możecie myśleć tylko o sobie. Mieszkańcy City czytają i naprawdę ma znaczenie, co czytają”.

„Więc piszcie”, odpowiedział Muhammad bez zbytniego entuzjazmu. „A jedyne, co ma znaczenie, to żebyście pisali prawdę”.

Zapewniłem go, że nawet się nam nie śniło pisać coś innego niż prawdę. Wspomniałem też o zastrzeżeniach części członków IRA w stosunku do zatrzymywania zakładników jako metody walki politycznej. Próbowaliśmy też wysunąć argumenty o konieczności stosowania w polityce czystych metod.

Muhammad rozłożył ręce w zdumieniu.

„Drogi, niewierny przyjacielu”, powiedział, „Allah nie wynalazł polityki, tak więc musimy oczyścić się sami. Po to właśnie jest wiara. A ponadto” dodał łagodząco „Policjanci jedli ten sam ryż, który my jemy i ten sam, który i ty będziesz jadł, albowiem zapraszamy cię właśnie, nasz miły, niewierny przyjacielu”.

W większym pokoju nakryto w międzyczasie do długiego stołu. Siedziało przy nim ośmioro dzieci w wieku od trzech do czternastu lat. Fatma, zakwefiona żona Muhammada, podała smakowity, beźmięśny pilaw.

„Bez wątplenia zaskakuje cię wiele naszych obyczajów, nieprawdaż?” zwrócił się do mnie Muhammad. „To, że nie jemy mięsa, jest częścią naszego stylu życia. W tym punkcie popiera nas również Partia. Ale tylko w tym. To, że Fatma nosi kwef, jest naszą prywatną decyzją. Często i ja chciałbym nosić kwef. Nie zawsze jest dobrze widzieć albo być widzianym”.

Gdy następnego dnia zdawałem członkom IRA relację z mojej wizyty u proletów, jedyne co mogłem im powiedzieć to, że „po raz pierwszy w życiu jadłem coś, co mi naprawdę smakowało”.

<sup>5</sup> Gdy po rewolucji przeprowadzono rewizję w domu Muhammada, znaleziono m. in. prace Maculaya, Spencera, Thoreau, Lao Tse, Agaty Christie i Georga Orwella. (przyp. bad.)

# W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W

3. 03-13. 03. 1986

## PO XXVIII ZJEZDZIE KPZS

*Sueddeutsche Zeitung* analizuje zmiany w sowieckiej nomenklaturze zaszczytne na ostatnim zjeździe sowieckiej partii:

„Połowę, liczącą 500 osób, sowieckiej nomenklatury stanowią po XXVII zjeździe KPZS ludzie z „awansu”. Jednakże podczas nowego podziału miejsc w głównych „łożach” sowieckich – w Komitecie Centralnym i w Centralnej Komisji Rewizyjnej – znalazły się również „stołki honorowe” dla pensjonowanych wcześniej osobistości, należących do nich: były premier Nikołaj Tichonow (80 lat), szef komisji planowania Nikołaj Bajbakow (75 lat), sekretarz KC Borys Ponomariow (81 lat), szef filii sowieckiej Sergiej Gorszkow oraz szef broni rakietowych Władimir Tołubko. Zaszczycu tego odmówiono dwóm członkom sowieckiego biura politycznego, którzy zostali za kadencji Gorbaczowa wykluczeni – mowa o Grigorim Romanowie (63 lata) i Wiktorze Griszynie (71 lat).

Wśród członków Biura Politycznego pozostaje Gorbaczow najmłodszym, przeciętny wiek tego gremium wynosi 66 lat. Wśród tych, którzy awansowali na kandydatów KC KPZS znalazł się Jurij Kwiznisk, członek delegacji sowieckiej podczas rozmów rozbrojeniowych w Genewie; przyśły ambasador ZSSR w Bonn – dotychczasowy ambasador w RFN Władimir Semjonow stracił mandat kandydata Komitetu Centralnego. Były ambasador sowiecki w Waszyngtonie Dobrynin został sekretarzem KC także nowym doradcą Gorbaczowa w zagadnieniach polityki zagranicznej Anatolij Czernajew został członkiem Komitetu Centralnego sowieckiej partii. Natomiast Aleksandra Bierukowa (56 lat) nowy sekretarz KC jest pierwszą od 25 lat kobietą, która zasiadła w najwyższym gremium sowieckim”.

*Neue Zuercher Zeitung* pisze w komentarzu podsumowującym zjazd KPZS:

„Jeżeli ktoś oczekiwał od Gorbaczowa rewelacji na miarę Chrzczonego, musi być rozczarowany reformatorskich wypowiedzi zabrakło. Niespodzianką na „minus” było agresywne wystąpienie (dotyczył raczej trzymającego się w cieniu) szefa KGB

Czebrikowa. Poddał on krytyce „demoralizujące kontakty z Zachodem” i oświadczył, iż w ostatnim czasie sowiecki wywiad odkrył, iż szereg ludzi po części zajmujących wysokie stanowiska w hierarchii państwowej „uległo niebezpiecznym wpływom zachodnim”, za co też „pociągnięto ich do odpowiedzialności”.

Również zachodniemiecki tygodnik *Die Zeit* akcentuje wystąpienie Czebrikowa w artykule o moskiewskim zjeździe pt. „Dwa kroki do przodu, jeden krok w tył”.

XXVII Zjazd KPZS, tutaj prawie wszyscy komentatorzy zachodniemieccy są zgodni, wzmocnił pozycję Gorbaczowa. Przywódcy sowieccy zdają sobie sprawę, iż aby dotrzymać kroku Zachodowi potrzebne są reformy gospodarcze; „jednakże za jaką cenę lub czym kosztem – to stoi na razie tylko w gwiazdach” – zauważa sardonicznie felietonista *Frankfurter Allgemeine Zeitung*.

## CZECHOSŁOWACZY TURYSŌI „ZNIKNEŁI” W JUGOSŁAWII

17 turystów czechosłowackich odbywających urlop w Słowenii (Jugosławia), opuściło grupę wycieczkownika i zostało uznanych za zaginionych”. Jak podał jugosłowiański dziennik *Vestnik* „zaginionych” podejmuje zapewne próbę przedostania się do Austrii drogą nielegalną, gdyż nie posiadają oni ważnych wiz austriackich.

## PORWANIE CZY...?

Oleg Tumanow, 41-letni współpracownik rozgłośni rosyjskiej Radio Wolna Europa zniknął pod koniec marca w tajemniczych okolicznościach. Ostatni raz widziano Tumanowa 22 lutego br., policja zachodniemiecka stwierdziła, iż z domu rosyjskiego dziennikarza zniknęły jednocześnie zbiory drogocennych ikon i znaczków, podał *Der Tagespiegel*.

## WKRÓTCE PONOWNA WYMIANA AGENTÓW

DPA podała, że „rozpoczęły się ponowne pertraktacje pomiędzy przedstawicielami Zachodu i Wschodu na temat wymiany agentów”. Tym razem jednakże akcja ta obejmować ma „agentów mniejszego ka-

libru”, informuje zachodniemiecka agencja prasowa.

## JURCZENKO ROZSTRZELANY?

Na Zachód przedostały się pogłoski, że oficer KGB Witalij Jurczenko, który w ub. roku „zmienił z upodobaniem fronty”, został rozstrzelany. Agencja TASS zaprzeczyła tym doniesieniom, i podała, iż „Jurczenko zajmuje się obecnie... pisanie pamiętników”, cytuje *Sueddeutsche Zeitung*.

## SUKCESY MUDŻAHEDINÓW W AFGANISTANIE

Na przełomie lutego i marca doszło do licznych starć pomiędzy powstańcami afgańskimi a wojskami regularnymi i wspomagającymi się jednostkami sowieckimi. Szczególne nasilenie walk objęło ważną strategicznie dolinę Pandżir i prowincję Herat. Powstańcom udało się zestrzelić trzy helikoptery sowieckie, zniszczono również dwa konwoje transportowe. Dyplomaci zachodni w New Delhi informują również, że „nie ustają sowieckie naloty odwetowe na miejscowości afgańskie, które podejrzewa się o sympatyzowanie z Mudżahedinami”, podaje *Frankfurter Allgemeine Zeitung*.

## ZAMIESZANIE WOKÓŁ SZUWAŁOWA

Wiktor Szuwałow, pracownik sowiecko-niemieckiej firmy z siedzibą w Bergisch-Gladbach (RFN) powrócił „po perypetiach” do Związku Sowieckiego. Szuwałow uległ w październiku ub. roku wypadkowi samochodowemu, w wyniku którego znalazł się w zachodniemieckim szpitalu; podczas rekonwalescencji zwrócił się z prośbą do władz niemieckich „o ochronę, ponieważ obawia się porwania”. Szuwałow złożył następnie wniosek o azyl w Stanach Zjednoczonych i był w stałym kontakcie z ambasadą USA. 6 marca br. doszło do nieoczekiwanej wolty: podczas rozmów w kancelarii zachodniemieckiego ministerstwa spraw wewnętrznych Szuwałow oświadczył, iż „przetrzymano go w RFN wbrew jego woli i chce natychmiast wracać do Związku Sowieckiego”. Obserwatorzy zachodni przypuszczają, iż Szuwałow jest

W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W

# W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W

agentem KGB; jednakże istnieją dowody w postaci listów od rodziny Szuwałowa, że poddawano go „silnym naciskom psychicznym”, informuje *Die Welt*.

## USA ŻĄDA REDUKCJI SOWIECKICH „DYPLOMATÓW” PRZY ONZ

Stany Zjednoczone zażądały od Związku Sowieckiego „redukcji akredytowanych przy ONZ dyplomatów (wycofania do roku 1988 105 z ogólnej liczby 275), ponieważ zagrażają oni bezpieczeństwu USA”. Dyplomaci sowieccy „angażują się ciągle, mimo wielokrotnych ostrzeżeń, w działania, które nie mają nic wspólnego z funkcjami ONZ, również działalność szpiegowską”, podał *Frankfurter Rundschau*.

14. 03.-19. 03. 1986

## HISZPANIA POZOSTAJE W NATO

13 marca odbyło się w Hiszpanii referendum, które zdecydowało o pozostaniu tego państwa w strukturze Paktu Atlantyckiego; 52,5 % głosujących opowiedziało się „za”, 39,8 % „przeciw”, podał *Der Tagespiegel*.

## UCIECZKA SOWIECKIEGO MARYNARZA

14 marca na szwedzkiej wyspie Gotland oddał się w ręce policji uzbrojony marynarz sowiecki, zbiegły uprzednio ze statku, który zawiązał do portu Silt. Władze szwedzkie przypuszczają, iż marynarz ten „zmusił przy pomocy broni załogę sowieckiego okrętu rybackiego, aby dowiozła go do portu na Gotlandii”, informuje *Neue Zuercher Zeitung*.

## DEMONSTRACJE W BUDAPESZCIE

15 marca (rocznica węgierskiej wojny o niepodległość w roku 1846) doszło w Budapeszcie do pokojowych demonstracji zorganizowanych przez opozycję. Około 15 tys. ludzi przemarszerowało ulicami centrum

stolicy Węgier nad brzeg Dunaju, gdzie odbyła się manifestacja, podczas której śpiewano pieśni narodowe. Milicja kontrolowała dokumenty wieluset, głównie młodych, ludzi; dwie osoby zostały aresztowane, informuje *Sueddeutsche Zeitung*.

## WYBORY WE FRANCJI

16 marca odbyły się we Francji wybory do Zgromadzenia Narodowego. Zgodnie z oczekiwaniami obserwatorów zwycięstwo odniósł blok partii liberalnych RPR-UDF (gaullistów, giscardystów) zdobywając bezwzględną większość (291 miejsc we francuskim parlamencie. Socjaliści, którzy ponieśli porażkę, stanowią z 205 miejscami nadal najsilniejszą partię. „W odrocie” znajdują się komuniści – 35 miejsc. Po raz pierwszy w historii w Zgromadzeniu Narodowym ultraprawicowa partia Front Narodowy (10 miejsc), której przewodniczy Jean-Marie Le Pen, podał *Der Tagespiegel*.

## MASOWE DEZERERCJE Z REZYMOWYCH WOJSK AFGAŃSKICH

Około 900 żołnierzy afgańskiej armii reżymowej (z położonego na północno kraju garnizonu Khost) przeszło na stronę Mudżaheddinów. Do dezercji doszło „po wycofaniu się żołnierzy sowieckich współdziałających z oddziałami kabulskiego reżymu”, podał *Sueddeutsche Zeitung*.

Według Afgańskiej Islamskiej Agencji Prasowej (AIP – agencji prasowej powstańców afgańskich) „wykonano egzekucje na 32 oficerach i 3 żołnierzach oddziałów reżymowych”. Jeden z przywódców Mudżaheddinów Hadži Din Mohammed stwierdził, iż wykonane wyroki miały padły ponieważ „osoby te były aktywnymi wykonawcami rozkazów reżymu komunistycznego”, informuje *Frankfurter Allgemeine Zeitung*.

Nikołaj Mowczan, 22-letni żołnierz sowiecki, który zdezerterował z oddziału walczącego w Afganistanie, stwierdził na konferencji prasowej w Oslo, że „oddziały sowieckie są zdemoralizowane; szerzy się narkomania – w powszechnym użyciu jest haszys; zdarzają się wypadki za-

żywania heroiny”, podał *Sueddeutsche Zeitung*.

## WIĘKSZOŚĆ SZWAJCARÓW PRZECIWKO PRZYSTĄPIENIU DO ONZ

75 % Szwajcarów (przy frekwencji wyborczej wynoszącej 50,2 %) wypowiedziało się w odbytym 16 marca referendum przeciwko przystąpieniu Szwajcarii do Organizacji Narodów Zjednoczonych, informuje *Neue Zuercher Zeitung*.

## SZPIEGOSTWO PRZEMYSŁOWE W RFN

Ludwig Holger Pfahls, prezydent zachodniemieckiego Urzędu Ochrony Konstytucji stwierdził na odbywającym się w Monachium sympozjum na temat bezpieczeństwa gospodarki RFN, iż „liczba NRD-owskich agentów przemysłowych działających na terenie Niemiec Zachodnich wynosi około pół tysiąca”. Również KGB specjalizuje się w szpiegostwie przemysłowym – około tysiąca oficerów (w tym 300 na Zachodzie) zajmuje się „działaniem na rzecz zmniejszenia zacofania technologicznego państw bloku wschodniego”. Pfahls stwierdził, że „ten rodzaj kradzieży kosztuje rocznie kraje zachodnie około 20 miliardów DM”, podaje *Die Welt*.

## SPECJALNE POSIEDZENIE BUNDESTAGU W SPRAWIE AFGANISTANU

18 marca odbyło się w Bonn otwarte posiedzenie parlamentu zachodniemieckiego z udziałem rządu RFN i partii zasiadających w Bundestagu, dotyczące sytuacji w Afganistanie. Zachodniobermliński *Der Tagespiegel* relacjonuje:

„Trwająca od ponad sześciu lat wojna w Afganistanie została wzoraj, przez rząd i partie parlamentarne oficjalnie potępiona; zażądano przerwania działań wojennych i wycofania wojsk okupacyjnych.”

W ciągu wielogodzinnego przesłuchania rzeczoznawców zarówno krajowych jak i zagranicznych oraz rzeczników afgańskich organizacji powstańczych wyłonił się przeróżający bilans wojny w Afganistanie: mi-

# W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W

## W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W

lion zabitych, 1,5 miliona rannych, 5,5 miliona uciekinierów.

„Cierpień, jakim poddany jest naród afgański, nie da się wyrazić w słowach”, powiedział rzecznik Związku Islamskiego Pir Gailani. Profesor Al Mojadeldi z Afgańskiego Frontu Wyzwolenia Narodowego zapelował do wolnego świata, o niepozostawianie Afganistanu samotnego w walce z komunizmem.

Jeden z rzeczników powstańców afgańskich stwierdził, że siły Mudżaheddinów wynoszą obecnie około 300 tysięcy, głównie prymitywnie uzbrojonych, bojowników. Brak jest bowiem broni palnej; zdobywa się ją głównie na żołnierzach sowieckich.

Francuski dziennikarz J. Abouchar (w ub. roku skazany w Afganistanie na karę 18 lat więzienia; zwol-

niony później w wyniku intensywnych nacisków rządu Francji i opinii światowej – przyp. red.) relacjonował, iż naród afgański jest rozczarowany znikomym zaangażowaniem Zachodu w toczącą się walkę wyzwoleniczą; społeczeństwo czuje się opuszczone przez Stany Zjednoczone i świat zachodni. Abouchar twierdzi, że chociaż powstańcy zadają wojskom sowieckim duże straty, to jednak walka przeciwko potęgce Związku Sowieckiego jest beznadziejna bez poparcia, które powinien udzielić Afganistanowi wolny świat.

Maria Mueller, pielęgniarka zaangażowana w działanie Komitetu Afgańskiego z siedzibą w Bonn, żąda natychmiastowej pomocy humanitarnej dla walczących Afgańczyków. Opisała ona straszliwe działania uzy-

wanych przez Sowieców min „motylkowych”, które „są tak skonstruowane, aby człowiek nie zginał natychmiast, tylko został potwornie okaleczony”. Pani Mueller powiedziała, że „około połowa poranionych przez takie miny ludzi umiera z powodu braku opieki lekarskiej”.

Liczni rzeczoznawcy podkreślili, że Związek Sowiecki prowadzi w Afganistanie „walkę niosącą zagładę wszystkim i wszystkiemu”. Oddziały sowieckie zabijają nie tylko ludzi, ale i zwierzęta; systematycznie niszczy się pola i zbiory, aby złamać opór narodu afgańskiego.

Przypomniano wypowiedź Ababraka Karmala, szefa kabulskiego reżymu: „Łatwiej jest mi osiągnąć socjalizm z jednym niż z 15 milionami Afgańczyków”. ■

## W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W

Nowość wydawnicza paryskiej „LIBELLI”

Zofia Romanowiczowa

BAŚKA I BARBARA

Drugie wydanie offsetowe

str. 224

cena F. 65.00

„Baśka i Barbara”, debiut literacki Zofii Romanowiczowej, była trzydzieści lat temu „książką na czasie”. Rozchwytana w rekordowej ilości egzemplarzy, tak w kraju, jak na emigracji, dosłownie „zacytana”.

Nowa fala polskiej emigracji staje wobec tego samego problemu: wychowanie dziecka na obczyźnie. „Baśka i Barbara”, o którą wciąż się dopominano, nie przestała być „książką na czasie”. Wznawiamy ją na usilne żądanie czytelników z myślą o Baśkach i Barbarach, które same są teraz matkami.

• • •

Jan Bielawicz „Życie”, Londyn 1956

„..., Najpiękniejszym wydarzeniem roku bieżącego w prozie emigracyjnej jest „Baśka i Barbara”. Rzadko się zdarza, aby książka znalazła uznanie tak powszechne. Sprawila to i wieczność tematu (przymierze matki z dzieckiem), i jego aktualność (dziecko polskie na obczyźnie), i osoba młodej autorki, i – przede wszystkim – piękna proza książki”.

Do nabycia u wydawcy: „LIBELLA”  
rue St.-Louis-en-l'Île,  
75004 Paris, France

(książki wysyłamy na cały świat)  
i w księgarniach polskich na emigracji  
Katalogi bezpłatnie wysyłamy  
na każde żądanie

Andrzej Zwanecki

# Śmierć premiera

*Zabójstwo Olofa Palme stanowi w historii Szwecji wydarzenie daleko ważniejsze niż obie wojny światowe razem wzięte. Wojny od przeszło 170 lat odbijały się w Szwecji dalekim echem, podczas gdy konsekwencje zamachu na życie premiera w jakimś sensie dotyczą wszystkich Szwedów. Ostatnie morderstwo polityczne miało miejsce w Szwecji w 1792 roku, kiedy to zwerbowany przez spiskowców szlachcic zamordował króla Gustawa III podczas balu maskowego. Nawet starcia robotników z policją i wojskiem w okresie rodzenia się ruchu robotniczego miały tu przebieg z reguły bezkrwawy – zabici padli tylko raz podczas ataku wojska na demonstrujących robotników w Adalen w 1936 roku. Szwecja nie tylko w oczach Europy, ale także w mniemaniu Szwedów uchodziła za ostatnią sielską peryferię kontynentu.*

Dla większości Szwedów, i to niezależnie od orientacji politycznych, Szwecja stanowiła wzór otwartego, demokratycznego społeczeństwa. Nie bez oczywistej dumy jeden z reporterów szwedzkiej popołudniówki *Expressen* przypominał sobie niedawno, jak to zaimponował amerykańskiemu koledze wybierając domowy numer telefonu Olofa Palme z książki telefonicznej i dzwoniąc do niego z pierwszej lepszej ulicznej budki. Ten niezwykle status Szwecji Olof Palme utwierdził swoim zachowaniem również w ostatnim dniu życia – wychodząc z domu bez ochrony osobistej, przedkładając metro nad samochód, wykupując bilet w normalnym kinie i spacerując później po ulicy, zamiast być odwożonym do domu w otwierającej mu drogę syrenami policyjnej eskortie. Straży na Sveavagen w Sztokholmie roztrzaskały obraz idyllicznej demokracji chyba nieodwołalnie. Gyorgi Konrad, węgierski pisarz i osobisty przyjaciel Palmego, stwierdził, że zabójstwo premiera Palme spina na powrót Szwecję z Europą. Z europejskim dziedzictwem przemocy i gwałtownych konfliktów politycznych.

O tym, jak dalece Szwecja była nieprzygotowana do tego rodzaju wydarzenia, świadczy m. in. kompletna indolencja szwedzkiej policji. Mimo że została zawiadomiona przez kierowcę taksówki w kilkanaście sekund po zabójstwie, pierwszy samochód policyjny pojawił się na miejscu dopiero po 10 minutach. Alarm w całym kraju, w tym także w sąsiadujących ze Sztokholmem komunach, ogłoszony został dopiero w dwie i pół godziny później. Posterunki policji w przystoecznych komunach w ogóle nie zostały wezwane do odcięcia dróg wylotowych ze Sztokholmu. Dopiero w półtorej godziny po fakcie zarządzono kontrolę centralnego dworca kolejowego. Nie obstawiono w ogóle statków odpływających do Finlandii. Kule, które trafiły Palmego i raniły jego żonę, znalezione zostały przez osoby cywilne już po przeszukiwaniu terenu przez policjantów. W ciągu czterech

pierwszych dni dochodzenia nie przesłuchano jednego z głównych świadków, ani tym bardziej mieszkańców sąsiadujących z miejscem zbrodni domów. O telefonie do ambasady szwedzkiej w Bonn w noc zamachu, z piątku na sobotę od rzekomego przedstawiciela zachodnioniemieckiej grupy terrorystycznej RAF sztab dochodzeniowy dowiedziało się dopiero w niedzielę wieczorem... I tak dalej, i tym podobne. W świetle toczącej się ostatnio debaty na temat przygotowania Szwecji do obrony przed ewentualnym wojennym sabota-

Olof Palme





Sztokholm: miejsce zbrodni.

żem i dywersją ze strony sowieckiej, zachowanie policji daje dowód braku zdolności szybkiego i skoordynowanego działania jednego z najważniejszych ogniw szwedzkiej obrony (nieco lepszym refleksem i panowaniem nad sytuacją wykazało się dowództwo armii). Do tego dodać trzeba, że radio szwedzkie podało wiadomość o zabójstwie premiera w godzinę po nadaniu tej informacji przez BBC.

Dla Szwedów zabójstwo premiera Palme stało się podobnym szokiem jak dla Polaków wprowadzenie stanu wojennego. W kilkanaście godzin po zabójstwie miejsce na chodniku, gdzie Palme został zamordowany pokrył dywan kwiatów i zniczy – spontaniczny gest, zupełnie niezwykły w Szwecji. Nie znaczy to bynajmniej, że Polacy byli przedmiotem jakiegoś szczególnego kultu czy powszechnej admiracji. Oprócz zwolenników miał wielu zaciętych wrogów, obok tych, którzy darzyli go sympatią, byli tacy, którzy uważali, że jego czas minął. Ostatnio zyskująca na znaczeniu frakcja związkowa zażądała jego odejścia ze stanowiska premiera. Symboliczny gest Szwedów jest raczej nie w pełni uświadomiony przez nich hołdem dla przeszłości, hołdem dla wczorajszej idylli, która bezpowrotnie minęła. Wielu nawet

spośród tych, którzy przyjęli wiadomość o zabójstwie premiera na trzeźwo, nie chce bowiem zdać sobie sprawy z konsekwencji tego, co nastąpiło. Gdyby Szwedzi byli narodem wierzącym, mógłbym napisać, że większość z nich modli się o to, by zabójca nie okazał się Szwedem. To przyniosłoby im pewną ulgę.

Szwedzka policja skatalogowała dotychczas następujące grupy stricte lub quasi terrorystyczne:

PKK – kurdystańska partia komunistyczna finansowana przez Moskwę, z centralą na terenie Niemiec Zachodnich, w latach 1984/85 bojowkarze tej partii wykonali kapturowe wyroki na odstępach w Uppsali i Sztokholmie; przedstawiciel partii Hussejin Yildirim, zanim skłoniono go do wyjazdu ze Szwecji, wypowiedział temu państwu nieoficjalną wojnę;

Oddział 17, straż osobista Jasira Arafata, której liczni członkowie przebywają w Szwecji;

Abu Nidal, przed którym szwedzką policję wielokrotnie ostrzegał Interpol,

chorwacy Ustaszę, których przedstawiciele Miro Baresic i Audjelko Brajkowic zamordowali przed kilku laty ambasadora Jugosławii w Szwecji, żądając odrzucić ostatnio prośbę Baresica,

o darowanie reszty kary, którą odsiaduje w więzieniu,

japońska Armia Czerwona, której wiceszefta Taketomo Takahasi szwedzka policja wydalili w roku ubiegłym;

indyjska Amandas Marga, której członkowie porwali samolot Aeroflotu i po wylądowaniu w Sztokholmie zostali skazani na długoletnie więzienie.

Jednakże jak dotychczas odpowiedzialność za wykonanie zamachu wzięły na siebie trzy różne zachodniemieckie ugrupowania terrorystyczne – Komando Christian Klar, Komando Holger Meins i RAF. Osobnik podający się za przedstawiciela tej ostatniej organizacji zadzwonił do domu sekretarza ambasady szwedzkiej w Bonn trzy godziny po zabójstwie. Komando Holger Meins wysadziło w roku 1975 w powietrze zachodniemiecką ambasadę w Sztokholmie, zaś członków innego gangu terrorystycznego Kroecker nakryto w trakcie przygotowań do porwania ministra d/s emigrantów Anny-Grety Leijon.

Zabójca znał w każdym razie dobrze Sztokholm, bowiem miejsce zbrodni zostało doskonale wybrane pod względem najwygodniejszej drogi ucieczki. Mężczyzna w długiej skórzanej kurtce, który wraz z dwoma towarzyszącymi mu osobami najprawdopodobniej od dłuższego czasu obserwowali mieszkanie państwa Palme, w piątek 28 lutego podążył za premierem i jego żoną do kina. Gdy po wyjściu z kina przeszli oni kilkaset metrów, zbliżył się i oddał do nich dwa precyzyjne strzały w plecy z rewolweru Smith and Wesson 357 magnum. Specjalne kule znalezione później na miejscu mordu miały zdolność przebicia nawet kamizelki kuloodpornej. Natychmiast po oddaniu strzałów zamachowiec uciekł po schodach w głąb zaułków, którymi nie mógłby podążyć za nim wóz policyjny. Wsiadł do czekającego samochodu i odjechał w nieznanym kierunku.

Olof Palme urodzony w 1927 roku pochodził z burżuazyjnej rodziny. Jego dziadek był oficerem artylerii, politykiem i właścicielem przedsiębiorstwa ubezpieczeniowego. Babka, należąca do kolonii łotewskich Niemców, zarządzała uniwersytem w Rydze. W 1948 roku Palme skończył Kenyon College w Ohio, a w trzy lata później złożył egzamin z prawa. Działał aktywnie w ruchu studenckim. W roku 1948 będąc w Czechosłowacji brał udział w demonstracji protestacyjnej przeciwko przejściu władzy przez komunistów. Wówczas to również pomógł zagrożonej uwięzieniem Czeszce w wyjeździe z kraju, zawierając z nią fikcyjne małżeństwo.

Palme tak wspomina swoje pierwsze zetknięcie z systemem komunistycznym: „Zjednoczony

Związek Studentów Szwedzkich należał do międzynarodowego związku studentów, który na skutek manewrów komunistów przekształcił się w odgałęzienie Kominformu. Było tam wielu studentów z trzeciego świata, których nie można było spotkać nigdzie poza tym forum. Ale wkrótce otwarta rozmowa z nimi stała się całkowicie niemożliwa. Przywódcy związku nie pozwalali mówić, zaanektowali mównicę i przywłaszczyli sobie prawo przemawiania w imieniu wszystkich. „Przez przypadek” ich rezolucja zawsze zgadzała się z głównymi kierunkami polityki sowieckiej. (...) Ciągłe dochodziło do starć z komunistami. Usiłowaliśmy się przekonać, czy da się z nimi współpracować. Ale brak pojedynowości z ich strony oraz ich sekciarstwo było jedyną odpowiedzią. Podczas osławionego kongresu w Pradze nie respektowali zupełnie naszego prawa do interwencji i wolnej dyskusji, a mnie samemu przyszło walczyć 10 dni, żeby się wreszcie dostać na mównicę. Poza tym nasze punkty widzenia nie znalazły się ani w dokumencie końcowym, ani w referatach z kongresu”.

Po skończeniu college'u Palme odbył podróż do Indii, Cejlonu, Birmy, Tajlandii, Singapuru i Indonezji. Nędzą tubylców i butą kolonizatorów wywarły na nim olbrzymie wrażenie. Zaczął czytać literaturę socjalistyczną. Po zdaniu egzaminu adwokackiego podjął pracę w konserwatywnym dzienniku *Svenska Dagbladet*, a następnie w latach 1953-54 pracował jako sekretarz w sztabie głównym wojska. Według własnego zdania nigdy nie myślał o karierze polityka. Zwrócił jednak na niego uwagę ówczesny przewodniczący partii socjaldemokratycznej i premier Tage Erlander. Erlander zaproponował mu stanowisko osobistego sekretarza, ceniąc sobie przede wszystkim jego świetną orientację w sprawach międzynarodowych i zdolności językowe.

Jak jednak doszło do tego, że syn kapitalisty, wychowanek prywatnych szkół został socjalistą? Sam Palme twierdził: „Osobiście nie przeżyłem nigdy swojej drogi do Damaszku ani objawienia. Mam zresztą skłonność do nieufności w stosunku do tych, dla których socjalizm jawi się jako rodzaj mistycznej wizji, nagła błyskawica metafizyczna. Jeśli chodzi o mnie, byłem oświecany stopniowo i jestem z tego zadowolony. Dobrze gdy akces do socjaldemokracji następuje w oparciu o spójne i realistyczne rozumowanie. To rzecz jasna nie wyklucza silnego zaangażowania emocjonalnego”.

W roku 1957 Olof Palme został pierwszy raz posłem do Riksdagu, w roku 1963 – ministrem bez teki, a w 1965 wyznaczono go na stanowisko ministra komunikacji. W okresie sprawowania przez niego tej ostatniej funkcji Szwecja otrzymała drugi kanał telewizyjny i przeszła z ruchu



lewostronnego na prawostronny. W roku 1967 Olof Palme został mianowany ministrem szkolnictwa. Patronował tym samym gruntownej reformie szkolnictwa, której konsekwencje wywołują dzisiaj w Szwecji coraz powszechniejszą krytykę.

Znaczącym momentem w karierze Olofa Palme stała się wojna wietnamska. Pierwszym ostrym wystąpieniem Palmego w kwestii międzynarodowej była jego mowa w Gaeule, w której uzasadnił prawo krytykowania polityki wielkich mocarstw przez małe, niezależne państwa. Był to wstęp do krytyki polityki amerykańskiej w Wietnamie. Jego stanowisko w jakimś sensie ukierunkowało linię partii socjaldemokratycznej wobec amerykańskiej próby powstrzymania ekspansji komunistycznej w Wietnamie. W roku 1968 partie polityczne i związki zawodowe zorganizowały demonstrację przeciwko wojnie w Wietnamie na centralnym placu w Sztokholmie. Palme zaproszony do wygłoszenia przemówienia stanął na czele pochodu ramię w ramię z wietnamskim ambasadorem w Moskwie. W trakcie przemówienia Palme skrytykował Stany Zjednoczone za obłudę w negocjacjach z Północnym Wietnamem, ale to przede wszystkim jego zdjęcie w towarzystwie wietnamskiego ambasadora obiegło świat. W dwa tygodnie później Stany Zjednoczone odwołały swojego ambasadora.

W roku 1972 po wznowieniu przez Amerykanów bombardowania Hanoi, w stolicy Wietnamu zburzony został m. in. cywilny szpital. Poruszony tym Olof Palme, już w randze premiera Szwecji i to najmłodszego w Europie (jednogłośnie zatwierdzony przez partię socjaldemokratyczną jako jej przewodniczący w 1969 roku) po naradzie z Willy Brandtem napisał i opublikował słynny tekst, w którym bombardowanie Hanoi porównał do głośnych przykładów ludobójstwa w Guernica, Oradour, Babim Jarze, Katyniu, Lidicach, Sharpeville i Treblince. Prezydent Nixon poczuł się niezwykle urażony porównaniem z nazistami i amerykański ambasador został ponownie odwołany do Waszyngtonu.

Jednakże Palme nie przebierał w słowach także i w krytyce drugiej strony. Inwazja wojsk układu warszawskiego na Czechosłowację też spotkała się z ostrym potępieniem z jego strony. Przez następne lata stale tę krytykę ponawiał. Kiedy w roku 1975 wyraził zaniepokojenie losem Aleksandra Dubczeka, Gustaw Husak gwałtownie go zaatakował. W swej replice Palme przypomniał wypowiedź ministra spraw wewnętrznych Czechosłowacji na naradzie z dowództwem czeskiej milicji, który stwierdził: musimy być bezwzględni w stosunku do wszystkich. „Tak przemawia kretatura dyktatury”, podsumował Palmę.

W miarę upływu czasu Olof Palme coraz silniej angażował się w problemy międzynarodowe. Był przewodniczącym grupy roboczej Międzynarodówki Socjalistycznej d/s Afryki Południowej. Wszedł w skład komisji Brandta mającej wypracować projekt zniewolenia różnic pomiędzy biednymi krajami Południa i bogatymi państwami Północy. Z jego inicjatywy natomiast powstała inna komisja – d/s rozbrojenia i bezpieczeństwa. Komisja ta, której Palme był przewodniczącym, przedłożyła swój raport Zgromadzeniu Ogólnemu ONZ w trakcie sesji rozbrojeniowej w lipcu 1982. W roku 1980 wyznaczony został przez sekretarza generalnego ONZ do roli mediatora w konflikcie pomiędzy Iranem a Irakim. Na pół roku przed jego śmiercią grupa sześciu przywódców państw neutralnych, ze Szwecją na czele, wystąpiła z nowym projektem zahamowania wyścigu zbrojeń jądrowych.

\* \* \*

Spośród węzłowych punktów w karierze politycznej premiera Szwecji na szczególną uwagę zasługuje jego gwałtowna krytyka amerykańskiej akcji wojskowej w Wietnamie. Olof Palme, będąc niewątpliwie politykiem błyskotliwym, zostałby premierem Szwecji niezależnie od swojego zaangażowania po stronie Wietnamu. Ale fakt, że został wyniesiony na to stanowisko w okresie kulminacji nastrojów antyamerykańskich, w jakimś sensie określił jego sylwetkę polityczną na zawsze. Aczkolwiek czasy się zmieniły, Palme do końca zachował podejrzliwość w stosunku do Amerykanów. Z wzajemnością zresztą. On, który usiłował grać rolę światowego polityka, neutralnej siły usiłującej znaleźć modus vivendi w stosunkach z obu blokami, nigdy nie został zaproszony do Stanów Zjednoczonych. To prawda, że bywał równie ostry w sformułowaniach skierowanych przeciwko reżymom prawicowym jak i lewicowym. W praktycznych działaniach politycznych jednakże zawsze był lekko skłonny do przeceniania dobrej woli ze strony sowieckiej i do odmawiania jej stronie amerykańskiej, jakby się bał, śladem jednego ze szwedzkich, lewicowych intelektualistów, że zbyt ostra krytyka reżymów komunistycznych daje broń do ręki prawicy.

W roku 1985 w przemówieniu wygłoszonym z okazji demonstracji pierwszomajowej, wojnie w Afganistanie poświęcił jedno zdanie, zaangażowaniu USA w popieraniu kontras – zdań pięćdziesiąt. Specjalista d/s szwedzkich w sowieckiej AP Nowosti Igor Pawłow stwierdził w ubiegłym roku: *Uważamy, że rząd Palmego jest rządem robotniczym, swego rodzaju sojusznikiem w międzynarodowym ruchu robotniczym.* Były zresztą mo-

menty, w których nie tylko jego stanowisko polityczne zbliżało się niebezpiecznie do stanowiska Sowietów, ale także sposób argumentacji zaczynał przypominać komunistyczną frazeologię (kiedys powiedział o opozycji: *wynajęci lokaje wielkiej finansjery*).

Gwoli sprawiedliwości trzeba dodać, że Olof Palme był bardzo konsekwentny w popieraniu wszelkich wewnętrznych, zyskujących społeczne poparcie inicjatyw reformatorskich w ramach reżymów komunistycznych oraz działalności ruchu praw człowieka. „Solidarności” udzielał poparcia nie tylko w okresie legalnego istnienia związku, ale włącznie do samej śmierci. Już po wprowadzeniu stanu wojennego przyjmował przedstawicieli „Solidarności” z kraju (Janusz Onyszkiewicz) i z emigracji (Miroslaw Chojecki).

Palme był inteligentnym i lojalnym dziedzicem reformatorskiej tradycji socjaldemokratycznej. Starał się odgrywać rolę sprawiedliwego patrona krajów wyzwolających się spod kolonializmu. Tam też miał niewątpliwie największy mir. Usiłował neutralizować wpływy komunistyczne w wielu spośród tych krajów i ośmielił ich rządy do szukania własnej drogi. Ale pomimo angażowania całego swojego autorytetu, chociażby w kontrowersyjne wizyty na Kubie i w Nikaragui, stunki te często przynosiły mu same rozczarowania. Reżymy na Kubie, w Nikaragui, Wietnamie i Tanzanii nie chciały słuchać jego argumentów o przewadze programu socjaldemokratycznego nad komunistycznym.

Pokojowa misja Olofa Palme, człowieka, który w imieniu małych państw walczył o ich prawo do współdecydowania o losach świata, który w imię pokoju gotów był paktować nawet z diabłem (w jego komisji d/s rozbrojenia jednym z członków ze strony sowieckiej był współpracownik KGB), zyskała mu wielką renomę międzynarodową, ale w sferze faktów nie przyniosła wiele. Rzeczywiste postępy w dziedzinie rozbrojenia, czy ktoś tego chce, czy nie, następowały w trakcie negocjacji pomiędzy supermocarstwami.

W roku 1976 partia socjaldemokratyczna przegrała wybory i przeszła do opozycji. Szesć lat w opozycji to było więcej niż mógł znieść Palme, pisze dziennikarz *Dagens Nyheter*. Polityka socjaldemokratów odznaczała się w tym czasie oportunizmem. Socjaldemokraci atakowali wszystko, co się rusza, nie wyciągając żadnych wniosków z przegranej i nie weryfikując własnego programu.

W roku 1982 socjaldemokracja odzyskała władzę, ale polityka premiera Palmego i jego partii utraciły swój harmonijny charakter. Ostatni okres jego pracy na stanowisku premiera cechowały zastraszające się konflikty z opozycją oraz afery polityczne. Wiele wskazuje na to, że pod koniec życia Palme uwierzył w swoją opatrnościową rolę. Kiedy na porządku dziennym stała sprawa naruszania granic Szwecji przez sowieckie łodzie podwodne, rząd socjaldemokratyczny składał protesty w Moskwie, a sam premier w tym czasie, za plecami własnego ministra spraw zagranicznych, nawiązywał nieformalne kontakty z G. Arbatowem, członkiem KC KPZR.

O ile jeszcze w roku 1975 ostrożność nasuwała mu wątpliwości co do możliwości przeniesienia modelu szwedzkiego do innych państw, to w ostatnim wywiadzie udzielonym przed śmiercią z dumą wyliczał przywódców europejskich, którzy gotowi są naśladować szwedzką „trzecią drogę”. Nawet w sferze personalnej prowadził politykę coraz bardziej oportunistyczną – powołanie nowego rządu po ostatnim zwycięstwie w wyborach do złudzenia przypominało karuzelę stanowisk w krajach komunistycznych. Jednym z jego ostatnich pociągnięć personalnych była skandaliczna próba odesłania na emeryturę długoletniego ambasadora Szwecji w Waszyngtonie. W ten sposób chciał zapewnić ciepłą posadkę koledze, który po przeformowaniu gabinetu znalazł się bez teki. Coraz częściej też dyskusje na temat polityki zagranicznej w parlamencie – głównie na temat stosunku do Związku Sowieckiego – kończyły się nerwowymi wybuchami premiera. Kiedy Ulf Adelhson, przywódca opozycyjnej partii konserwatywnej wniósł kilka miesięcy temu wniosek o udzielenie votum nieufności ministrowi spraw zagranicznych w związku z negocjowaniem przez niego raportów na temat działalności sowieckich łodzi podwodnych u wybrzeży Szwecji, Palme stwierdził, że Adelhson działa przeciwko pokojowi.

W dniu 28 lutego br. wraz z pewną epoką, w Szwecji odszedł do historii polityk nieprzeciętny i – jak każda osobowość nieprzeciętna – kontrowersyjny. Jako reformista wierzył w możliwość wyprowadzenia świata z klęski nędzy i gwałtu, jako „peacemaker” starał się przezwyciężyć fatalizm groźby atomowej wiszącej nad światem, jako wizjoner widział często porządek światowy, do którego rzeczywistość, jak się okazało, nie dośroga. ■

Jerzy Starski

## Zmieniać nie zmieniając Zjazd KPZS w oczach Zachodu

*Takim właśnie – bezsensownym wszak – terminem dość zgodnie oceniają XXVII Zjazd Komunistycznej Partii Związku Sowieckiego niemal wszyscy komentatorzy, zarówno zachodni, jak i emigracyjni, czy to polscy, czy rosyjscy. „Zmieniać nie zmieniając” tylko z pozoru jednak wydaje się hasłem bez sensu, w istocie zaś znakomicie oddaje taktykę nowego szefa ZSSR, Michaiła Gorbaczowa, który przed niespełną dwoma tygodniami, bo 11 marca obchodził rocznicę objęcia najwyższego stołka na Kremlu.*

I przez ten rok, którego kulminacją był odbywający się od 25 lutego do 6 marca br. zjazd partii, Gorbaczow postępował zgodnie z tym właśnie hasłem: zapowiadając bardzo wiele w zakresie zmian strukturalnych polityki i wewnętrznej, i zagranicznej ZSSR, dokonał praktycznie nieznacznych tylko korekt, a jedyną zmianą przeprowadzoną autentycznie (aczkolwiek nie do końca) była trwająca rok, bardzo staranna czystka personalna. Objęła ona wszystkie szczeble życia politycznego i publicznego, od Biura Politycznego, poprzez Komitet Centralny, rząd, aż po szefostwa partii w poszczególnych republikach i okręgach.

Wskazuje się przy tym na różne tak przyczynę, jak i skutki owej roszady. Główny powód wydaje się jasny: podobnie jak każdy szef świeżo obejmujący władzę, również i Gorbaczow stara się otoczyć „swoimi” ludźmi. Z 11 członków Politbiura tylko Gorbaczow i trzej inni funkcjonariusze

ostali się z ekipy Breżniewa. Czy jest to protekcyjnizm połączony z zapewnieniem swego rodzaju bezpieczeństwa w łonie samego aparatu władzy, czy też – jak ufają niektórzy zachodni obserwatorzy – sposób zapewnienia sobie możliwości realizacji nowatorskich planów reformy w ZSSR – pokaze czas. Jedno jest pewne – zmiany znacznie odmłodziły Biuro Polityczne, gdzie średnia wieku wynosi dziś nie lat 70 – jak za czasów Breżniewa – lecz tylko 64, przy czym sam szef partii ZSSR jest tu najmłodszy. „Młodzi” ludzie u władzy mają kilka wspólnych cech. Po pierwsze reprezentują (ponoć) nowy typ przywódcy jeżeli nie w stylu zachodnim, to przynajmniej w stylu rodzimego menadżera-technokraty. Mają być energiczni i dynamiczni oraz pozytywnie nastawieni do zmian. Konstruktynie krytyczni i otwarci na świat zewnętrzny. Powinni – jak sam Gorbaczow – pokazywać się publicznie, czy to w telewizji, czy na



różnych zebraniach, wypowiadać się w prasie, a przede wszystkim udawadniać, że są zdrowi i nie stetryczali. Po drugie zaś – podkreśla się wyraźnie, że nowa ekipa to ludzie epoki powojennej, którzy nie brali udziału w II wojnie światowej na żadnych istotnych stanowiskach, ani też nie ubrudzili sobie rąk stalinowskim terrorem.

Innym novum personalnym ekipy Gorbaczowa jest obecność w naczelnych władzach KPZS, wybranej na zjeździe, pierwszej od 25 lat kobiety. Aleksandra Biriukowa, gorąca wielbicielka Gorbaczowa (o czym dużo i chętnie mówi) została sekretarzem KPZS bądź to – jak komentują dziennikarze zachodni – dlatego, że jest kobietą, a jej wybór ma być gestem w stronę damskiej większości tak całej ludności ZSSR, jak i 100 milionów zatrudnionych. Bądź też – jak skomentowała to Wolna Europa – Biriukową wybrano, gdyż piastowała wysoką funkcję w centrali związków zawodowych. *Jej nominacja – powiedział jeden z dziennikarzy – może się wiązać z krytycznymi uwagami Gorbaczowa pod adresem związków zawodowych, którym zarzucił poważne niedociągnięcia w zakresie obrony praw robotniczych. Czyżby „Solidarność” zrobiła swoje?*

Jakby nie było, czystki wśród najwyższego aparatu partyjnego, rozpoczęte już przez Andropowa, a ułatwione nieco przez fakt, że wiekowi członkowie dawnych władz powoli jednak wymierają, po roku zapewniły Gorbaczowowi niespodziewanie korzystną sytuację. Ani Stalin, ani Chruszczow, ani Breżniew nie zdołali w tak krótkim czasie i bez użycia siły i terroru w tak znacznym stopniu podporządkować sobie aparat i biurokracji.

Pierwszy rok rządów Gorbaczowa upłynął pod znakiem wzmoczonego zainteresowania Zachodu poczynaniami władcy Kremla. Z nieodmiennym optymizmem usiłowali zachodni politycy odkryć w Gorbaczowie „nowego człowieka”. Zapoczątkowała to Anglia, którą Gorbaczow odwiedził wraz z – jak to szczególnie podkreślano – elegancką i światową żoną. *Pani Gorbaczow wiedziała nawet, jak postugiwać się „Euroczekami”* – napisały dzienniki londyńskie. Jeśli chodzi o samego Gorbaczowa z zachwytem odnotowano, *iz mówi płynnie po angielsku*. W podobnym tonie utrzymane były relacje z wizyty szefa KPZS w Paryżu, a niemal do egzaltacji doszło na całym Zachodzie podczas spotkania Reagan – Gorbaczow w Genewie. Gorbaczow pokazał się od najlepszej strony, *jako przywódca opanowany, kompetentny i... fotogeniczny*.

Zainteresowanie prasy wzmagają doniesienia z ZSSR – Gorbaczow wy-

powiedział wojnę korupcji i „wsadził” do więzienia kilka nie najmniejszych osobistości partyjnych za łapownictwo.

Gorbaczow wprowadził prohibicję – wiadomość bardzo istotna dla dobrodusznego czytelnika prasy zachodniej, którym nie tak dawno wstrząsnął przedrukowany w wielu dziennikach reportaż o pijaństwie w ZSSR i alkoholizmie kilkuletnich nawalet dzieci.

Gorbaczow pozwolił wyjechać Jelenie Bonner, żonie Sacharowa i wypuścił na Zachód słynnego dysydenta – Anatolija Szczarańskiego; wietrzono w tych faktach zapowiedź nowej polityki wewnętrznej, opartej na przestrzeganiu praw człowieka.

Zwykłym ludziom Gorbaczow pozwolił na krytykowanie złego zaopatrzenia i drobnych życiowych kłopotów dnia codziennego – w prasie, w telewizji i radiu, liberalizm posunął się aż tak daleko, że „szarzy obywatele” odważyli się pokazać swoje twarze w zachodniemieckim programie telewizyjnym i tylko umundurowany sowiecki



żołnierz na służbie odmówił powiedzenia, co mu się nie podoba — kolejka przed sklepem, zła jakość chleba czy dziura w jezdni.

Sowiecki poeta Jewtuszenko upoważniony został do publicznego wygłoszenia na arenie międzynarodowej krytyki jeszcze dalej posuniętej, zatakował mianowicie błędy biurokracji i administracji. I tak dalej...

W aurze powszechnego (niemal) uznania rozpoczętą Gorbaczow XXVII zjazd partii. Pięć tysięcy delegatów oczekiwało od kongresu zapewne znacznie mniej niż zainteresowani polityką międzynarodową zachodni dziennikarze. Jeszcze mniej spodziewało się po zjeździe już tylko rzadkie społeczeństwo, które nie takie zgromadzenia widziało i nie takie deklaracje słyszało i które może nie wie, że ZSSR miało w ubiegłym roku najniższy od zakończenia II wojny dochód narodowy, ale na pewno doskonale to czuje na własnej skórze. Komentatorzy zachodni natomiast znali wskaźniki ekonomiczne, ale nie znali jednak realiów i przeżyli pewne zaskoczenie. Otóż tak wyczekiwany spęd zaczął się, trwał 10 dni, zakończono go i nic się nie zdarzyło. Obecny zjazd miał w pewnej mierze rocznicowy charakter, odbył się dokładnie w 30 rocznicę słynnego XX zjazdu, kiedy to na tajnym posiedzeniu Chruszczow objawił zebranym rewelacje na temat stalinowskiego terroru. Mimo to nie przyniósł on żadnych niespodzianek oprócz dalszych zmian personalnych i morza słów. W ciągu tych 10 dni tak dalece nic się nie wydarzyło, że czytelnik prasy zachodniej nie był w stanie dowiedzieć się, co właściwie robiło dalej w Moskwie 5 tysięcy delegatów, skoro Gorbaczow wygłosił swe przemówienie już

Gorbaczow; mówił 5 i pół godziny



pierwszego dnia i śmiało można by było całą imprezę na tym zakończyć.

Gorbaczow mówił 5 i pół godziny, przeczytał 200 stron maszynopisu, a jedna z delegatek uczciwie wyznała dziennikarzowi, że nie zasnęła. Wielogodzinne przemówienia mają w Sovietach ustaloną tradycję, z którą nie mógł zerwać nawet Breżniew w swych ostatnich latach, kiedy to faktycznie nie był w stanie już wygłaszać żadnych tekstów. Przypomniano więc skwapliwie w zachodnich publikatorach, że podczas ostatniego zjazdu w 1981 roku trzęsący się Breżniew stał na podium, a jego tekst czytał jakiś anonimowy lektor. Podkreślono przy okazji, że Gorbaczow czytał sam, energicznie i w pełni sił witalnych, że zrobił tylko krótką przerwę na śniadanie, ponadto popijał herbatę z mlekiem.

Komentarze prasy zachodniej wykroczyły oczywiście poza ową herbatę z mlekiem. I utrzymane były w tonie co najmniej powściągliwym i dalekim od zachwytu. *Ten facet jest ortodoksyjnym marksistą i nasze oczekiwania nie powinny wykraczać poza ten właśnie fakt* — powiedział dziennikarzom amerykańskiego *Newsweeka* jeden z dyplomatów zachodnich. Najkrótsze chyba streszczenie przemówienia zjazdowego udało się korespondentowi United Press International; sprowadza się ono do stwierdzenia, że była tam *krytyką niedociągnięć politycznych ZSSR i atak na Stany Zjednoczone*. Nieco szerzej, choć również złośliwie napisał londyński dziennik *Daily Telegraph*: *Mowa była wyjątkowo rozwlekła, wcale nie nowatorska, dość nudna, nieraz utrzymana w tonie chętlipowym, pełna starych stereotypów i absolutnie niestrawna dla słuchaczy*. Wynika z niej zaś tylko tyle, że nowy władca *Wszechrosji* cieszy się dobrą kondycją fizyczną, ma dobry wzrok i odczuwa nieodpartą potrzebę skomentowania wszystkiego naraz, od alkoholizmu w ZSSR do broni kosmicznych w USA. (...) *Politycy zachodni będą oczywiście usiłowali przekopać się przez ten zalew słów i aberracyjne wizje światopoglądowe, by się przekonać, czy nie kryją one jednak czegoś nowego*. Już teraz można jednak stwierdzić krótko, że... niewiele.

Z kolei *The Times* podkreślił, że o ile jeszcze w chwili gdy *Michaił Gorbaczow* wchodził na mównicę, można było żywić pewną nadzieję, iż okaże się zdolny do przełamania diabelskiego kręgu stagnacji gospodarczej i wprowadzi świeży powiew do życia politycznego kraju, inaugurując nowe odprężenie w stosunkach międzynarodowych, o tyle gdy kilka godzin później schodził z podium, żegnany milknącymi oklaskami wyczerpanego audytorium, wiadomo było, że nadzieje te były ptonne. (...) *Jeżeli miał coś do zaoferowania opinii zagranicznej, to utonęło to w dobrze znanej*

*anty Zachodniej retoryce (...). Jeszcze większe jednak rozczarowanie musiały wywołać jego wypowiedzi w dziedzinie polityki wewnętrznej, bo też więcej w tej dziedzinie oczekiwano. Gorbaczow tymczasem zajął się tak przecież starymi i dobrze znanymi problemami: niewydolnością gospodarki, korupcją zbiurokratyzowanej maszyny, niesprawidłowościami społecznymi, gdy jednak trzeba było wyjaśnić, dlaczego nie udało się dotąd tych problemów rozwiązać, czy też jak można by je rozwiązać w przyszłości – sekretarz generalny miał niewiele więcej do powiedzenia ponad te same, jakie stare i dobrze znane środki zaradcze (...).*

*A New York Times dodaje: Niezaprzeczalna jest chęć modernizacji (...). Niezaprzeczalna jest jednak także niechęć do (...) podjęcia efektywnych środków zaradczych. Rację mają ci, którzy przestrzegają przed ułotnianiem reform Gorbaczowa z liberalizmem.*

W oczach Zachodu najbardziej zaskakujące wydają się dwa elementy przemówienia szefa KPZS – mówienie o konieczności zmian bez jakiegokolwiek chęci dokonania radykalnej zmiany oraz nagły i, po Genewie jednak nieco niespodziewany, atak na amerykański imperializm.

Amerykański *Newsweek* z dnia 10 marca pisze: *Tradycyjnie już przywódcy sowieccy wykonują w swych zjazdowych przemówieniach gesty hołdownicze w kierunku marksistowskiej ortodoksji, zapewniając towarzyszy, że kapitalizm nadal podąża ku śmietnisku historii. Jednakże zjadłowy atak Gorbaczowa przekroczył retoryczne tradycje, przybierając formę pełnej kwasu solnego filipiki na „stolicę imperializmu”, kraj, gdzie związki zawodowe są prześladowane, umysły poddane kontroli, a niemoralność i nienawiść do wszelkich przejawów demokracji uprawiane są na bezprecedensową skalę.*

Dziennikarz *Newsweeka* zastanawia się w miarę obiektywnie nad tym, co skłoniło Gorbaczowa do tak gwałtownej napaści. *Podjeżdżawa się – pisze więc – że całą tę żółtą wylat Gorbaczow na użytek słuchaczy sowieckich. Oznaczałoby to, że musiał odwołać się do sztywnej, ortodoksyjnej sztamki w polityce zagranicznej, po to, by tym łatwiej przekonać partię do swych nowatorskich i zgoła nieortodoksyjnych planów gospodarczych. I faktycznie, Gorbaczow w debacie nad sytuacją gospodarczą kraju opowiedział się po stronie reform. Skrytykował inercję epoki Breżniewa nazywając ją okresem, gdy Kreml próbował coś naprawić, niczego nie zmieniając.*

Nie było to – jak się zdaje – najszcześliwszym określeniem, miało bowiem wszelkie cechy dobrego i chwytliwego hasła propagandowego, w związku z czym skwapliwie zostało podjęte

przez dziennikarzy jako ocena nie Breżniewa – bo ten ich już przecież dawno nie interesuje – ile samego Gorbaczowa.

Pierwsze reakcje na przemówienie były więc dla Gorbaczowa nader niekorzystne. Jednakże – zgodnie z zapowiedzią angielskich dziennikarzy – po kilku dniach komentatorom udało się przetrawić owe *aberracyjne wizje światopoglądowe* i wydusić z tekstu o objętości książki parę zdań dotyczących prognoz na przyszłość. Tak w dziedzinie polityki wewnętrznej, jak i stosunków międzynarodowych, w tym również z krajami bloku wschodniego.

Zacznijmy więc od spraw wewnętrznych. Gorbaczow mówił o konieczności dokonania decydującego przełomu dla przeycipzenia bezwładności, stagnacji i utraty dynamizmu, które w ostatnich latach dotknęły życie gospodarce, społeczne i moralne kraju. Wezwał do usprawnienia centralnego planowania, do zwiększenia niezależności i odpowiedzialności poszczególnych przedsiębiorstw, a także sowchozów i kołchozów.

Warto też zaznaczyć, że po raz pierwszy – choć tylko raz w swym przemówieniu – Gorbaczow użył słowa „reforma”, oświadczając, że sytuacja ekonomiczna jest już taka, iż nie można się ograniczać do częściowych środków zaradczych. W innych częściach swego mowy szef KPZS używał jednak stale słowa „przebudowa” lub „zwrot”. Poza zapowiedzią pewnej decentralizacji Gorbaczow wspominał także o konieczności przestrzegania zasad demokracji w miejscach pracy, o kontroli oddolnej, o socjalistycznej samorządności. I choć dużo mówił o zwiększeniu dyscypliny pracy, uznał jednak zarazem, że bodźce materialne mają dla robotników większe znaczenie niż bodźce moralne.

Co ciekawe, Gorbaczow dał do zrozumienia, że zmiany natrafiają na opory w szeregach KPZS. Gromko potępił tendencje do oceniania każdej zmiany w mechanizmie ekonomicznym, jak gdyby chodziło o jakieś odchylenie od zasad socjalizmu. Najostrejsze sformułowania zarezerwował – oprócz USA – dla samej partii – co jest zresztą rzeczą normalną na zjeździe partyjnym. *Cała partia – powiedział – stała się sprawcą niekorzystnych tendencji w życiu gospodarczym, społecznym i moralnym kraju, gdyż jej działalność, podobnie jak działalność rządu, pozostawała w tyle za potrzebami kraju, a problemy piętrzyły się przed jej oczyma i nie były rozwiązywane.*

W sumie, jeśli chodzi o sytuację wewnętrzną, przemówienie Gorbaczowa nie zawierało elementów obiecujących szybką poprawę gospodarki sowieckiej. Znajdują się w nim jednak aluzje, że można oczekiwać pewnych posunięć – jak zmiany systemu cen czy ograniczenie nadmiernego za-

trudnienia -- które mogłyby być początkiem polityki reform.

W dziedzinie zarządzania obiecał Gorbaczow zniesienie szczegółowego nadzoru ministerstw nad przedsiębiorstwami, przywrócenie hurtowego handlu wyrobami przemysłowymi, odciążenie Gospłanu z odpowiedzialności za codzienne zarządzanie, aby umożliwić mu skoncentrowanie wysiłków na strategii i planowaniu perspektywicznym, uzależnienie funduszu płac od wyników danego przedsiębiorstwa, zezwolenie przedsiębiorstwom na zatrzymanie większej części swych zysków dla własnych celów, a nawet uelastycznienie cen, które mają reagować nie tylko na podaż, ale także na popyt.

Osobny rozdział swej mowy poświęcił Gorbaczow analizie chronicznie chorego rolnictwa ZSSR. Zasugerował on między innymi „twórcze zastosowanie” leninowskiej koncepcji zastąpienia konfiskaty nadwyżek przez podatek na artykuły żywnościowe. Podatek ten Lenin wprowadził w roku 1921 inicjując tym samym stynny NEP czyli Nową Politykę Ekonomiczną. W tym wypadku nie mamy jednak do czynienia z przełomem na skalę NEP-u. Gorbaczowowi -- jak wynika z jego dalszych uwag -- chodzi po prostu o to, aby artykuły stanowiące nadwyżkę w stosunku do planu produkcyjnego były pozostawione do dyspozycji danego kołchozu, który może je sam skonsuować, sprzedać na wolnym rynku lub sprzedać państwu za premię.

Jak na warunki sowieckie brzmi to bardzo obiecująco. I teoretycznie mogłoby być odpowiedzią na pytanie, które i na Zachodzie, i zwłaszcza na Wschodzie zadają sobie wszyscy -- czy ten „nowy człowiek” jest w stanie rzeczywiście się zastosować do swych własnych -- wcale przecież nie rewolucyjnych -- pomysłów. Przypomina się jednak -- o czym dziennikarze zachodni zdają się nie pamiętać -- że takich dobrze brzmiących planów poprawy czy też naprawy ZSSR było już w historii tego kraju kilka, np. plan Kosygina z roku 1965, i nic oczywiście z nich nie wynikało. Więc jakie szanse ma właściwie Gorbaczow nie jako przywódca partii, bo tu zapewnił sobie wcale mocną pozycję, lecz jako przywódca narodu pogrążonego w nędzy i stagnacji, pozbawionego większości praw obywatelskich.

Dziennikarz *Le Soir* odpowiada na to pytanie co najmniej pełen wątpliwości i nie różni się w tym od większości swych zachodnich kolegów -- pisze bowiem:

*Gorbaczow jest niekwestionowanym przywódcą, nowoczesnym i popularnym, a osiągnął to nie uczyniwszy żadnego ustępstwa na odcińkach istotnych dla komunizmu: nie wprowadził liberalizacji w zakresie poszanowania praw ludzkich, nie dokonał żadnej istotnej reformy w systemie admi-*

*nistrowania państwem i gospodarką, nie naruszył przywilejów biurokracji, nie rozluźnił więzów, którymi Moskwa skrupowała państwa Wschodniej Europy. Cel strategiczny Gorbaczowa jest oczywisty: System radziecki powinien tak funkcjonować, aby nic nie mogło mu zagrazać z zewnątrz ani od wewnątrz. Gorbaczow ma pięćdziesiąt cztery lata i może rządzić jeszcze przez okres pięciu mandatów prezydenckich w Stanach Zjednoczonych. Żeby to osiągnąć, powinien pamiętać o dwóch wyzwaniach, z którymi musi sobie jakoś poradzić: pierwsze to konieczność uwolnienia biurokracji sowieckiej -- rzecz niemal że niemożliwa do wykonania, drugie: wciąż rosnąca potęga Stanów Zjednoczonych.*

Emigracyjni dziennikarze rosyjscy, redagujący wydawany w Monachium kwartalnik *Forum* wymieniają znacznie więcej tych niezbędnych warunków, które spełnić by musiał Gorbaczow, aby sprostać wizerunkowi demokracji u władzy. Oprócz radykalnej reformy gospodarczej i związanej z tym zasadniczej poprawy warunków życia w ZSSR, wymieniają unormowania na płaszczyźnie porozumienia stosunków międzynarodowych. To zaś nie będzie w ogóle możliwe bez ograniczenia wydatków na brojenia, przestawienia gospodarki z militarnej na pokojową (w ZSSR 40% ogółu zatrudnionych pracuje dla potrzeb przemysłu zbrojeniowego), zakończenia wojny w Afganistanie i przestrzegania praw człowieka (w tym wyrażenia zgody na emigrację ludności żydowskiej i niemieckiej).

Zgodnie z przytoczoną tu już zasadą „zmiany bez zmieniania” nie wydaje się możliwe spełnienie tych postulatów.

Przed zjazdem zachodni obserwatorzy polityczni zastanawiali się też, w jakim stopniu wpłynąć on może na sytuację w poszczególnych krajach bloku wschodniego. W tym względzie zjazd KPZS nie przyniósł jednak większych niespodzianek. Jednym z głównych przykazań Gorbaczowa pozostaje nadal utrzymanie jedności bloku przez ograniczenie marginesu swobody działania poszczególnych państw, wykluczenie możliwości niepożądanych odchyśleń od wytoczonej przez Moskwę linii i zwiększenie współzależności gospodarczej krajów Europy Wschodniej.

W związku z tym Gorbaczow zapowiedział wprowadzenie stałych, regularnych, wielostronnych spotkań przywódców partyjnych. Ma to ułatwić szybkie konsultacje we wszystkich ważnych sprawach dotyczących polityki wewnętrznej jak i zagranicznej. Takie spotkania od chwili przejęcia władzy przez Gorbaczowa odbyły się już cztery razy, a będą teraz zinstytucjonalizowane.

Chcąc być może złagodzić opory, na jakie mogło napotkać zbyt rygorystyczne narzucanie tak zwanym bratnim partiom jednej wspólnej po-

lityki, Gorbaczow stwierdził, że poszczególne państwa komunistyczne mają już teraz własne doświadczenia w rozwiązywaniu własnych problemów, w zapobieganiu kryzysom i pokonywaniu podziałów. „Bratnie partie nauczyły się już, jak można godzić ze sobą interesy poszczególnych państw i szukać wspólnych rozwiązań nawet najbardziej skomplikowanych problemów.”

Przemówienie Gorbaczowa nie zawierało żadnych ostrzeżeń ani pogroźek pod adresem państw satelitarnych. Wręcz przeciwnie, dał on do zrozumienia, że kierownictwo partii sowieckiej nie będzie korzystało z ostawionej doktryny Breżniewa – o tak zwanej ograniczonej suwerenności państw socjalistycznych – tak długo jak państwa te stosować się będą do wspólnie przyjętych uzgodnień i ustaleń. Czyli pełna liberalizacja. Tak liberalnie brzmiące wywody „nowego człowieka na Kremlu” natchnęły nieco naiwnych i wciąż



Gorbaczow i Jaruzelski: „bratnie partie ...”

wierzących w słowa obserwatorów politycznych do przewidywać, że zmiany w Związku Sowieckim dają reżymom innych komunistycznych krajów Europy Wschodniej pewną szansę przeprowadzenia reform systemu w ich własnych krajach. Można bowiem przyjąć, że Gorbaczow jest obecnie zainteresowany przede wszystkim utrzymaniem spójności wschodniego bloku, oczekuje lojalności od tak zwanych bratnich partii, dając im większą swobodę w dziedzinie polityki wewnętrznej.

Komentatorzy zapominają jednak, że to oni sami wprowadzili w życie prasowo-telewizyjne pierwszej połowy 1986 r. hasło „zmieniać nie zmieniając”, i że póki będzie ono aktualne, wszystko, co Kreml czyni w materii przemian, zwrotów i reform, pozostanie tym, czym było – totalitarną maszyną, którą ktoś od czasu do czasu próbuje zasłonić jedwabnym parawanikiem. ■



## Doskonały prezent dla niemieckich przyjaciół !!!

Kolejny numer naszego niemieckojęzycznego kwartalnika „Meinung”

W numerze m. in.: wypowiedzi Ingeborg Drewitz, Herberta Hupki, Heinricha Lummera i Petera Scholl-Latoura na temat stosunków polsko-niemieckich; fragmenty polskiego bestselleru ostatnich lat – książki „Konspira”; ostatnia rozmowa z Witoldem Wirpszą; protokół konferencji prasowej Andrzeja Jajdy; Witold Wirpsza o sobie w Berlinie Zachodnim, i in.

„Meinung” można zamówić bezpośrednio w redakcji „Poglądu” lub kupić w Stodleck's Buchhandlung (Berlin 20, Richard Wagner Str. 39) i w Muzeum Muru (Berlin 61, Haus am Checkpoint Charlie).



Robert Tof

# Powrót pilotów

*Amerykańska eksploracja kosmosu od samego początku była nastawiona na zbudowanie pojazdu w kształcie samolotu, który mógłby być wielokrotnie używany. Marzenie to ziściło się w 1981 roku, gdy dwaj astronauty: John W. Young i Robert L. Crippen, wypróbowali pierwszy kosmiczny prom – „Columbia”. Zastrzegam się od razu, że tematem artykułu nie będzie katastrofa „Challengera”, mimo iż temat ten jest stale obecny w amerykańskich i kanadyjskich czasopiśmie. Chciałbym przypomnieć dzieje amerykańskiego programu kosmicznego, który rozpoczęli piloci-oblatywacze z Edwards Air Force Base w Kalifornii.*

Pierwszym krokiem było przekroczenie bariery dźwięku, pilotaż na wielkich wysokościach (od 50 do 80 km) i manewrowanie przy takiej szybkości. We wrześniu 1947 roku Chuck Yeager na samolocie X-1 przekroczył barierę dźwięku. X-1 był pierwszym z serii eksperymentalnych samolotów-rakietoplanów – miał cztery rakiety odrzutowe i cienkie skrzydła (grubości 15 cm). Zaledwie 30 osób wiedziało wtedy, jakiego wyczynu dokonał Yeager. Uczczono to potężnym stekiem i drinkiem. Okazało się ponadto, że Yeager leciał mając sprawną jedną rękę trzy dni przed lotem spadł z konia i złamał sobie dwa zębra, co unieruchomiło jego prawą rękę. Tylko jedna osoba – inżynier lotu, wiedział o częściowej sprawności pilota. Aby mu dopomóc, przesyłmugował kawałek rączki od miotły, która posłużyła Yaegerowi jako swoista dźwignia ułatwiająca manewrowanie. To zdarzenie i parę innych nazwano w kręgu pilotów „kowbojską” fazą oblatywania rakietoplanów.

W końcu lat 50-tych Amerykanie mieli gotowe nowe wersje pojazdu – X-1A, X-2 i D-588-2. Wszystkie pojazdy przekroczyły dwukrotnie szybkość dźwięku. Gdy Sowiety wystrzeliły pierwsze sputnika, jeden z oblatywaczy oczekiwał na wyprobowanie najnowszego modelu – X-15, który miał wzniesić się na wysokość 80 km i powrócić poprzez atmosferę lądując w bazie Edwards. Granica między atmosferą a przestrzenią kosmiczną rozciąga się na wysokości około 500 km, promy kosmiczne orbitują na wysokości 200-300 km, satelity powyżej 550. „Challenger” uległ katastrofie na wysokości 15 km, gdzie panuje stała temperatura –55°C i ciśnienie 10<sup>3</sup> mb. Gdy uporano się z problemami termicznymi i X-15 odbył parę udanych lotów, rozpoczęto budowę X-20, który był pierwowzorem dzisiejszych promów.

Kontrakt na budowę dostał Boeing i rozpoczęła ją w parę dni po wystrzeleniu pierwszego sputnika sowieckiego. X-20 miał być pojazdem podobnym do samolotu, długości przeszło 10 metrów i wystrzeliwanym przez raketę Titan III. Po orbitowaniu powracałby jako samolot lądując w bazie Edwards. Rosyjski sputnik sprawił pilo-

tów w osłupienie, mimo tego iż ważył 80 kg i zawierał tylko radionadajnik. Natomiast rząd USA wpadł w panikę i na gwałt zaczęto przyspieszać program kosmiczny.

Główny problem polegał na wykorzystaniu rakiet wojskowych do cywilnego programu NASA. NASA jest agencją cywilną, agencja wojskowa istnieje oddzielnie i jedynie włącza się w program ogólny. W tamtym czasie wykorzystanie rakiet wojskowych stanowiło poważny problem polityczny – oczywiście według Amerykanów, a nie Sowieców, którzy od początku mają wyłącznie wojskową agencję kosmiczną. W latach 50-tych, mimo wojny koreańskiej, zimnej wojny i polowania na czarownice komisji McCarthy'ego, Amerykanie sprawiali wrażenie, zakłopotanych chłopców, którzy za wszelką cenę nie chcą drażnić niedawnego sojusznika. Wydaje się, że po prostu nie dowierzali, iż Rosjan stać na takie świństwa, co srodze się zemściło zarówno w dziedzinie polityki (Węgry, mur berliński, kryzys kubański), jak i technologii – podbój przestrzeni kosmicznej. Niepotrzebne skrupuły (choć powinniśmy się w tym miejscu zastanowić, czy aby na pewno niepotrzebne, właśnie systemy totalitarne nie mają nigdy żadnych skrupułów) opóźniły program budowy nowoczesnego pojazdu kosmicznego. Należy zrozumieć to jako opóźnienie, a nie klęskę technologiczną lub przegranie wyścigu w kosmosie, bowiem nikomu się wtedy nie śniło nazywać badania kosmosu wyścigiem. Niestety paniczna reakcja USA, pobudzona dodatkowo lotem Gagarina w 1961 roku, ustawiła cały program kosmiczny w kategoriach wyścigu technologicznego i spektakularnych sukcesów. Dodatkową presję wywarła propaganda sowiecka zachłystująca się triumfami w kosmosie i wyprzedzeniem imperialistycznych Stanów. To przecież wtedy Chruszczow oznajmił, że w następnych 5 latach ZSSR wyprzedzi USA we wszystkich dziedzinach.

Zrównanie nastąpiło w programie Gemini, wyprzedzenie w Apollo, a w 1973 roku oba państwa miały stacje orbitalne – Salut i Skylab. Po trzech, w pełni udanych wyprawach Skylaba i na

skutek zmieniającej się sytuacji międzynarodowej doszło do wspólnego lotu amerykańsko-sowieckiego w 1975. Potem przez 6 lat Amerykanie nie wysłali ani jednego astronauty. Przygotowywali jednocześnie dwa programy – prom kosmiczny i wielką stację orbitalną (kosmiczne laboratorium). Pozostałe programy realizowane były bez bezpośredniego udziału człowieka, m.in. wspaniały program Voyagera, który przyniósł tyle rewelacyjnego materiału, że jego przeanalizowanie zajmie jeszcze około 5 lat.

Powróćmy do projektu X-20. Rakieta Titan III bazowała na pocisku balistycznym Titan II, który miał wysokość 10 pięter, ważył 150 ton i unosił cały zespół (na szczycie rakiety miał być X-20, po bokach dwie rakiety przyspieszające na paliwo stałe, każda o średnicy 3 metrów) z siłą ciągu 195 ton. Wszelkie prace były daleko zaawansowane, ale właściwy program mógł być gotowy najprędzej za dwa, trzy lata. Wynika z tego, iż najprawdopodobniej pierwszy raketoplan (prom kosmiczny) mógł wystartować już w 1962/63 roku. Ale wysiłek kosmiczny zmienił kompletnie plany. Przerzucono się szybko na mniejsze rakiety typu Redstone, które miały siłę ciągu mniejszą o 1/5 od Titana II, lecz były już gotowe i wielokrotnie wypróbowane. Na szczycie Redstone umieszczono małą kapsułę – pojazd kosmiczny. Rasowi piloci-oblatywacze, którzy latali już na raketoplanach i przygotowywali się do pierwszych lotów kosmicznych byli zawiedzeni i wściekli. Astronauta w kapsule był całkowicie uzależniony od innych, od ośrodków kontrolujących i sterujących na ziemi. Ponadto podrożyły koszty, bowiem ani kapsuła ani rakieta nie mogły być użyte po raz drugi. Między pilotami i nowym rodzajem załóg – astronautami, wybuchł konflikt ciągnący się aż do roku 1962, gdy sukcesy pierwszych, załogowych lotów amerykańskich zmieniły punkt widzenia. Do tamtego czasu piloci nazywali pogardliwie astronautów *sztucznym mięsem w puszcze* i dodawali, że na pewno wyprzedzi ich małpa. Tak też się stało; przed lotem Sheparda i orbitowaniem Glenna, wysłano szympansy. Po 1962 r. wielu wybitnych pilotów przeniosło się z Edwards do NASA Manned Spacecraft Center w Huston.

W 1963 roku ostatecznie odwołano program budowy X-20, choć Boeing rozpoczął budowę pierwszego pojazdu. Skupiono się nad programem Mercury i Gemini, a następnie Apollo i Skylab. W 1969, po sukcesie projektu Apollo, NASA powraca do projektu X-20 i kontynuuje go pod nazwą prom kosmiczny. Wstępuje zakłada się, że prom będzie wynoszony na orbitę według pierwotnego planu, ale przez raketę o większej mocy niż Titan III. Potem wymyślono olbrzymi zbior-

nik, który magazynuje paliwo dla promu. Pozostano także przy raketach przyspieszających (tzw. boosters) na paliwo stałe, prom miał być większy od wersji X-20 i bardziej przypominać samolot. Projekt rozwijał się dość wolno, bo masę pieniędzy pochłaniały kolejne loty Apollo, a także – od 1973 r. – wyprawy na stację Skylab.

Musiano rozwiązać wiele problemów technicznych, a jednym z najważniejszych było jakby sprzężenie pilota z komputerem kontroli lotu, a przede wszystkim powrotu na ziemię. Około 1980 roku problem był rozwiązany. W marynarce wojennej USA opracowano automatyczny system ładowania myśliwców, które naprowadzał i korygował komputer. Prom kosmiczny ma 5 komputerów. Początkowo projekt przewidywał 4 komputery, ale okazało się podczas prób symulacyjnych, że powstawały nieprzewidziane trudności, włącznie z błędnymi decyzjami. Dodano piąty komputer o nazwie Salomon, który kontroluje cały system i do którego włączają się piloci promu wchodząc w jego tzw. pętle w dowolnym miejscu. W wielu sytuacjach, podczas lotu promu, decyzje pilotów nie są przekazywane bezpośrednio do różnych części maszyny napędowej i zbiornika. Dlatego faza odstrzelania aż do wejścia na orbitę jest kierowana z ziemi. Manewry promu – obrót, zmiana położenia dziobu, ruchy w poziomie, latanie bokiem i przyspieszanie na orbicie – są wykonywane przez pilotów. Oczywiście także powrót na ziemię, choć może być prowadzony tylko przez komputer. Co ciekawsze – w sensie technicznym, żaden z komputerów, włącznie z tym piątym, najmądrzejszym, nie może faktycznie podjąć samodzielnej decyzji. Decyzję podejmuje pilot.

Wybudowano cztery promy: „Columbia”, „Challenger”, „Discovery” i „Atlantis”. Pierwszy wystartował prom „Columbia”, 12 kwietnia 1981 roku o godzinie 7 rano. Lot trwał nieco ponad 54 godziny. Wszystko wypadło wspaniale, mimo odwołania startu dwa dni wcześniej, w ostatniej sekundzie odliczania. Na pokładzie było wspomnianych dwóch astronautów: 43-letni Crippen – pierwszy raz w kosmosie i 50-letni Young – czterokrotnie w kosmosie, dziwiący człowieka na Księżycu.

Ich lot otworzył nowy etap podboju kosmosu. Pierwszy raz nowy sprzęt został wytestowany bezpośrednio przez ludzi w warunkach lotu. Wszystkie poprzednie programy były testowane najpierw bez załogi. Automatycznie wzrosło niebezpieczeństwo lotu, czego potwierdzeniem jest katastrofa „Challengera”, mimo iż śledztwo komisji prezydenckiej ujawniło już szereg zaniedbań. Wydaje się, że katastrofy można było uniknąć.

choć współczynnik 24 udanych lotów świadczy o poziomie bezpieczeństwa. Badania kosmosu nie mogą i nie będą odbywać się tylko poprzez automaty, nawet gdyby były najwspanialsze.

Pierwszy lot promu odbył się 18 lat po pionierskich lotach na raketoplanach Thompsona

i Yeagera 13 lat po ostatnim locie X-15. Young i Crippen czekali niemal dziesięć lat na pierwszy lot promu, który pierwotnie był przewidywany na 1979 rok. Po wylądowaniu „Columbi” Crippen powiedział: *Naprawdę warto było tak długo czekać.* ■

Krystyna Grzybowska

## Londyn i reszta świata

Zdarzyło mi się czytać zarówno w prasie krajowej, jak i emigracyjnej pogłębione analizy sytuacji społeczno-polityczno-gospodarczej jakiegoś kraju na podstawie dwutygodniowej podróży dziennikarza. I o dziwo, nie wszystkie były wysane z palca. Aby jakiś kraj poznać, wystarczy być w nim albo kilka dni albo... kilkanaście lat.

Jutro wraz z mężem i córką wsiadamy w samochód i żeglując kilkadziesiąt mil lewą stroną szosy opuszczamy krainę Albionu. Czy na zawsze? A kto to wie? Łatwość przekraczania granic w zachodnim świecie może nas jeszcze skusić do kolejnej przeprowadzki. Zwłaszcza, jeżeli dobytek ogranicza się do książek i paru sztuk odzieży i nic się za sobą nie pozostawia.

Tak więc mieszkałam w Wielkiej Brytanii, a dokładnie w Londynie (nie licząc paru wycieczek krajoznawczych) dokładnie rok i wcale nie jestem pewna, że wiem o nim więcej niż redaktor warszawskiej *Kultury*, który tu spędził kilka dni na marnych dietach. Nie miał więc tak jak ja możliwości wydania pewnej ilości funtów w londyńskich pubach, które są jedynymi naprawdę prawdziwymi ośrodkami swobodnej wymiany myśli i poglądów ludzi różnych ras i stanów. Oprócz oczywiście osób z towarzystwa, ale one są niewidzialne na ulicy i w innych dostępnych szaremu człowiekowi miejscach. No może w telewizji. Mówią po angielsku z królewską, stąd wydaje się, że mają w buzi bardziej gorące kartofle niż człowiek z Brixton władający czystym cockney'em, językiem całkowicie niezrozumiałym.

Jeśli o język chodzi, to ostrzegam, że najlepsze nawet świadectwo uzyskane w warszawskiej szkole metodystów nie pomoże nam w uzyskaniu wiadomości od pierwszego napotkanego przechodnia, gdzie mieści się pałac Buckingham. I to nie tylko dlatego, że my nie rozumiemy, ale że nas nie

rozumieją. Anglicy czystej krwi (nie mylić z Brytyjczykami, którzy np. przybyli z wysp na Atlantyku czy Sri Lanki albo Bangladeszu) nie czynią większych wysiłków, by zrozumieć, co się do nich mówi, aczkolwiek z zasady, jako byli imperialiści (czytaj: posiadacze imperium) nie władają żadnymi obcymi językami i wcale się tym nie martwią. Zdarzyło mi się więc raz, że panienska w kiosku z papierosami za nic na świecie nie mogła zrozumieć, że chcę nabyć paczkę „marlboro”. Powiedziałam, że pójde do geszeftu, w którym mnie rozumieją i panienska w mig podała mi żądane papierosy.

### ONI WYKUPIĄ ANGLIĘ

i wcale mnie to nie dziwi. Hindusi, obywatele brytyjscy i poddani Jej Królewskiej Mości cicho i bez pośpiechu, ale za to niezwykle skutecznie odgrywiają się na Anglikach za doznane krzywdy w czasach imperialnych. Stopniowo przesuwać się z dzielnic uboższych do bardziej eleganckich, wykupując małe geszefty – sklepiki, w których można kupić wszystko, co potrzebne na co dzień. Od papierosów i alkoholu poprzez papier toaletowy, środki do prania po mrożone gotowe dania. Biorą kilka procent drożej niż Anglicy, ale za to ich sklepy są otwarte przez cały tydzień. Największe obroty mają w soboty i niedziele, a już znakomite w Boże Narodzenie czy Wielkanoc, kiedy to chrześcijanie odpoczywają, a Hindusi zarabiają.

Pracują całymi rodzinami (licznymi) i niezadko przy kasie operuje kilkuletni malec liczący w mig z talentem Fenicjanina. Anglicy są na Hindusów oburzeni, ale kiedy pani Thatcher zaproponowała otwieranie sklepów w niedzielę, w parlamencie podniósł się wrzask, że godzi to w odwieczne tradycje. Tak więc coraz więcej jest w Londynie sklepów hinduskich i coraz więcej panów w turbanach rozbija się wytwornymi limuzynami.

Włosi, Grecy, Pakistańczycy, Chińczycy i znów Hindusi prowadzą knajpki i bary „take away” (na wynos) i choć klientów mają nie tak wielu, im się opłaca. Anglikom coraz mniej, więc biorą coraz więcej. I narzekają na kolorowców. A ja tego nie rozumiem, bo ci kolorowi mają paszporty brytyjskie i są poddaniymi Jej Królewskiej. A że na ulicach jest kolorowo i typ ostego blond

dyna w tweedach należy w niektórych dzielnicach raczej do unikatów, to już inna sprawa. W każdym razie nie moja. Nie moją jest też sprawa, że najpiękniejsze i najdroższe domy wykupują naftowi szejkwowie, a do city, do jej banków wdzierają się, choć ja uważam, że wchodzą lekkim krokiem, Amerykanie. Nie zmienia się tylko angielska tradycja. Jeden z najświetniejszych zabytków obok kolumny Nelsona i królewskiej siedziby z gwardią zupełnie niespotykane przytupującą wielkimi buciurami.

### OD TRZECIEJ DO SZÓSTEJ

nie podaje się alkoholu w żadnym, ale to absolutnie żadnym brytyjskim pubie. Także do jedenastej rano i od jedenastej wieczór. Jest to zgodne z tradycją, która podobno datuje się od drugiej wojny światowej, kiedy to wprowadzono ograniczenia dla zwiększenia dyscypliny wśród żołnierzy. I tak pozostało.

Tradycja czy też przyzwyczajenie, niestychana trudność przedstawiania się społeczeństwa na nowinki techniczne i wszelkie inne powody, że Wielka Brytania, dziś zresztą wcale nie taka wielka, zostaje coraz bardziej z tyłu za wysoko uprzemysłowanymi krajami Europy, nie mówiąc już o Stanach Zjednoczonych czy Japonii.

I tak np. próby unowocześnienia druku gazet przez niektórych potentatów z Fleet Street doprowadziły jak wiadomo do gwałtownych protestów ze strony związków zawodowych. To przypomina niszczenie maszyn w fabrykach angielskich w ubiegłym stuleciu. A na Fleet Street nadal większość gazet drukowana jest na urządzeniach z czasów królowej Wiktorii, linotypy kąpiące żywym ołowiem i maszyny rotacyjne są zupełnie takie same jak te, których używa największa warszawska Drukarnia Słowa Polskiego.

Na całym świecie transmituje się jak wiadomo ważne obrady parlamentu, ale nie w Anglii. Jest to bowiem wbrew tradycji. Dopuszcza się natomiast przekaz dźwięku. Tak więc na ekranie telewizyjnym zdjęcie pani Thatcher, jej głos i charakterystyczne wycie opozycji dochodzące zza ekranu. I na odwrót. Prawi Neil Kinnock i słychać wycie torysów. Udało się od niedawna przeforsować pokazywanie na ekranie obrad Izby Lordów. Jest to widok niezwykle wzruszający. Sędziwi starszankowie prawią o doniosłych sprawach Wielkiej Brytanii i świata przy akompaniamencie wytwornego chrapania pozostałych. Od czasu do czasu huknięcie łaską o podłogę któregoś z bardziej krzepkich lordów budzi audytorium, które jednak za chwilę znów zapada w słodką drzemkę. Myślę, że coś w rodzaju Izby Lordów można by zorganizować w PRL. Byli dostojnicy i dygnitarze

partyjni mogliby sobie naprawiać świat, w sposób zgoła nieszkodliwy i rozweselający publiczność.

Anglicy spożywają tradycyjną kuchnię angielską i dlatego jest ona niejadalna. O jedzeniu mówi się tu „food” i to oddaje całą prawdę. Tak zwane kuchnie z fajerkami są tu dość nowym wynalazkiem. Do niedawna kominek służył nie tylko do ogrzewania ale i gotowania. Nic zatem dziwnego, że w kuchni angielskiej królują dania z kotła, rozmaite „eintopf”, „pie”, czyli coś tam zapieczone w tłustym cieście i kawałek wieprzowiny z rusztu. Słynne śniadania angielskie, które są podobno wyśmienite, składają się z jajka na bekonie i fasoli z sosem pomidorowym na grzance. Anglicy spożywają takie poranne niezwykle ciężkostrawne „food”, żeby potem móc zaoszczędzić na lunchu, który składa się z kanapki albo z niczego i tak czekają do kolacji, w czasie której spożywają następane „food” w formie „pie” albo puddingu. Wszystko to jest bez smaku i fantazji i zupełnie nie odpowiada kontynentalnemu podniebieniu. Telewizja próbuje lansować kuchnię chińską, indyjską czy francuską, ze zmiennym powodzeniem. Jeszcze jako tako przyjmuje się kuchnia włoska czyli makaron z sosem pomidorowym.

Befsztyk po angielsku jest wymysłem Polaków, nie udało mi się czegoś takiego spotkać w tutejszych restauracjach. Za to mogę sobie zjeść amerykańskiego steka, który niestety swoją ceną przekracza możliwości przeciętnej kieszeni.

Anglicy spożywają też w olbrzymich ilościach „food” pod nazwą „sausages” czyli kiełbaski. Jest to rozgnieciona tłusta papka w kiszce, składająca się w 20 procentach z mięsa – reszta nieznaną. Prawdopodobnie soja i zmielone kości oraz tłuszcz. Od tego Anglicy chorują na żołądek i serce. I choć w tzw. sklepach kontynentalnych można kupić znakomite kiełbasy i parówki, tradycja jest tradycją.

Brak wszelkiego smaku do jedzenia i traktowania go jako żywności dla podtrzymania sił wydaje mi się być jednym z powodów słynnego angielskiego „splenu”, który można by nazwać chandrą połączoną ze znudzeniem. Ten stan rozprasa na szczęście obficie spożywany przez wyspiarzy alkohol w postaci piwa, whisky, a ostatnio brandy. Pod względem spożycia alkoholu Anglicy kroczą w pierwszym szeregu zachodniej Europy. Cudzoziemców zdumiewa, jak naród tak oszczędny (podobno bardziej od Szkotów), skąpiący sobie jedzenia i innych przyjemności tak beztropko trwoni pieniądze na drinki. A trzeba wiedzieć, że alkohol jest tu tradycyjnie bardzo drogi.

Bardzo podobają mi się angielskie domki. Małe, ciasne, ale własne. Stoją malowniczym rząd-

kiem wzdłuż londyńskich ulic, z trawniczkami, różami itp. Są domki stare wiktoriańskie, młodsze georgiańskie i całkiem nowoczesne. Właściwie wszystkie nieprzystosowane do życia. Po pierwsze nie znane są tu w ogóle piwnice. Stąd brak izolacji od chłodu i wiecznie panującej na wyspie wilgoci, no i nie ma gdzie chować starych gratów. Tradycyjne przekonanie, że klimat jest tu łagodny, a obywatele zahartowani, prowadzi do całkowitego chaosu w czasie surowej zimy. Tak stało się i w tym roku. Zima stulecia zmusiła wielu Anglików do normalnego ogrzewania mieszkań, w przeciwnym razie zamarzliby na śmierć. Cieniutkie mury domów i nieszczerne olbrzymie okna nie chronią przed mrozami i wiatrem. W wielu domach natomiast wciąż nie ma centralnego ogrzewania, a elektryczne kominki nie dają wcale ciepła. Ze strachu, że rachunki za prąd wyniosą krocie (elektryczność jest tu niezwykle droga) ludzie starzy siedzą w całkowicie nieogrzewanych domach i mrą jak muchy. Choć niektórzy z nich mają pokaźne zasoby w banku, z oszczędności nie wydają na ogrzewanie, bo nigdy dotąd tego nie robili.

Zimne i wilgotne domki zimą, latem przekształcają się w pomieszczenia chłodne i mokre. Istna klinika doktora Kneippa. Ale optymizm nie opuszcza mieszkańców Albionu i chyba tylko tym tłumaczyć można fakt, iż w lutym przy kilkustopniowym mrozie po londyńskich ulicach paradują panienki bez pończoch, błyskając sinymi nosami i sinymi łydkami. Dzieci też są hartowane i szanujący się uczeń podstawówki bez względu na pogodę chodzi w krótkich spodenkach i podkolanówkach. Aż dziw, że tylko 30 procent społeczeństwa choruje na reumatyzm.

### KSIĘŻNICZKA DAVID

Jest podobnie jak cały dwór królewski starą angielską tradycją. Jest to dla przybysza z zewnątrz kosztowny dziwoląg, coś w rodzaju turystycznej atrakcji. Ale Brytyjczycy traktują tę instytucję niezwykle poważnie. To znaczy, oni mogą się z ich wysokości podśmiewać, ale innym, wara. Wszelka krytyka ze strony cudzoziemców królowej lub księżniczki Diany, nazwanej przez prezydenta Reagana w roztargnieniu księżniczką David, spotyka się z brakiem poczucia humoru tego w gruncie rzeczy dowcipnego społeczeństwa.

Z tym wiąże się słynna angielska tolerancja i niezwracanie uwagi na rozmaite dziwactwa. I rzeczywiście, nawet najdziwniej przebrany facet nie zwróci uwagi współpasażerów metra. Jednej pani wypadła kiedyś w autobusie sztuczna szczęka i było to bardzo zabawne, bo nie mogła jej znaleźć. Nikt nie pomógł jej w poszukiwaniu w imię tolerancji.

Jednak filozofia tolerancji Wyspiarzy nie jest wcale taka jednoznaczna. Pewna Angielka wyłożyła mi ją następująco: my jesteśmy tolerancyjni wobec wszystkich cudzoziemców pod warunkiem jednakże, że oni przystosują się do nas, do naszych tradycji i przyzwyczajęń. Czyli – jak ktoś się nie przyzwyczai, nie będzie mógł liczyć na angielskich przyjaciół, na tak zwane zintegrowanie się w społeczeństwie. Nic dziwnego, że życie w cudzoziemskich gettach jest tu niezwykle rozpowszechnione i ci Polacy, którzy nie mają ochoty zangliczeć, mogą liczyć wyłącznie na własne towarzystwo.

Zupełnie inaczej ogląda się Wielką Brytanię z pozycji turysty. Amerykańskiego turysty – dodajmy. Z portfelem wypchanym dolarami może on upajać się egzotycznością królewskiego dworu, urokiem starych wiktoriańskich hoteli i wytwornymi ciuchami od Harrodsa. Potem wsiada w samolot i ma to z głowy.

Znacznie smutniej wygląda tutejsza rzeczywistość dla stałego mieszkańca. Coraz więcej narzekań na drożyznę, brud i niedbalstwo. Na karaluchy pełzające po ścianach królewskich klinik, niepunktualność listonoszy i autobusów. Poimperialna Anglia nie może pozbiierać się z szoku. Szokiem zatem było nie tylko nazwanie księżniczki Diany księżniczką David, ale również i to jeszcze większym, obrzucenie Jej Królewskiej Mości jajkami przez Maoryski oraz wypięcie na nią gołego zadka również przez Maorysa.

Świat się zmienia. Technika amerykańska i japońska opanowały świat. Brytyjczycy nie tylko nie nadążają, ale od pewnego czasu głowią się nad tym, co mogliby eksportować? Zwrócił na to publicznie uwagę książę Karol mówiąc, że wyroby brytyjskie nie stanowią konkurencji i coraz gorzej się sprzedają.

Odsprzedażenie Amerykanom firmy helikopterowej Westland i części zakładów Leylanda potraktowali Anglicy jako nowy upadek dawno już upadłego imperium. Nie jesteśmy przygotowani do pracy – powiedział mi pewien Anglik. System szkolnictwa, jego kastowość i tradycjonalizm nie pozwala wychowywać ludzi nastawionych na sukces i karierę, tak jak w Ameryce.

Londyn, olbrzymie, niezwykle piękne miasto z nazwami ulic przyporządkowanymi o zawrót głowy przybysza z socrealizmu. A więc są to same Kings road, Kings streets, Queens road itd. itp. Początek jest królewski, straż ogniowa też, po prostu muzeum, ale także współczesne.

Opuszczam ten Londyn bez żalu, ale również z miłymi wspomnieniami. Nigdy nie zapomnę wspaniałych parków: Richmond Park, gdzie łążą stada saren i jeleni, Kew Gardens z niepowtarzalnymi okazami przyrody z całego świata i angiel-

skiego poczucia humoru, które wciąż jeszcze nie stępsiało. Jest też w tych wszystkich tradycjach, które może śmieszą, może drażnią, przekaz wielkiej kultury angielskiej, którą widać na każdym kroku, w zachowaniu i sposobie bycia. Może to dziwne, że do teatru trzeba chodzić w smokingu, ale można pójść do pubu w byle łańchmanie i oddać się uroczej pogawędce o wstrętnej angielskiej pogodzie i wyniku ostatniego meczu krykieta.

Na londyńskiej ulicy człowiek czuje się anonimowo, w dobrym słowa tego znaczeniu. Nikt na ciebie nie zwraca uwagi, możesz iść w jednym kapciu w drugim bucie i nikogo to nie obchodzi. Uprzejmość, choć może trochę zimna, ułatwia życie i orientację w terenie.

Anglia jest ciągle zapatrzona w siebie. Choć kanał La Manche jest wąziutkim przesmykiem dzielącym ją od kontynentu, wciąż więcej się tu mówi o rozruchach w Pendźbicie i sytuacji ekonomicznej w innych byłych koloniach, niż o ważnych wydarzeniach na świecie. Mecz krykieta trwa zazwyczaj pół roku i przez pół roku jest transmitowany w telewizji, mecz bilarda drugie pół roku i też w TV. Można tego nie lubić, można się zżymać. Ale czy musi się być poddanym Jej Królewskiej Mości? Nie musi.

A więc Dover i Europa. I wreszcie zjem we Francji coś smacznego na obiad. ■

## Z Rzymu...

### Marek Lehnert

#### O CZYM NIE POWIE WAM MIODOWICZ

W zasadzie włoskie związki zawodowe, trzy największe centrale CGIL, CISL i UIL, nie utrzymują kontaktów ze „związkami” krajów Wschodu (powodów w tej chwili nie wymieniam, są zresztą dosyć oczywiste). Jedynym wyjątkiem jest węgierski CRZZ (SZOT). Zdaniem CISL, z Węgrami można rozmawiać, bo choć krytycznie odnieśli się do doświadczenia „Solidarności”, nie widzieli w niej jednak nigdy piątej kolumny kapitalizmu, a w jej członkach – zdrajców ojczyzny i socjalistycznych ideałów. Sekretarz generalny CISL-u, Franco Marini, wziął więc udział w niedawnym zjeździe Szotu (Budapeszt, 14-16 lutego), i w prezydium zjazdu złożył tekst swego wystąpienia. Mowa tam jest o zainteresowaniu jego trzymilionowej organizacji losom i niedolą innych narodów: obok Chile, Afryki Południowej – jest oczywiście i PRL. Kto wie, jak zabrzmiałaby te słowa,

gdyby Marini wypowiedział je z trybuny zjazdowej, gdy na sali, w wygodnych fotelach siedzieli przedstawiciele „trudiaszczysia” wszystkich CRZZ-ów Układu Warszawskiego (plus niepoprawny CGT), z Alfredem Miodowiczem włącznie. Tekst jednak został złożony, nie odczytany. Tym bardziej więc nie ma co liczyć na to, że pan Miodowicz powtórzy go komuś po powrocie do Warszawy. Zapoznany więc czytelników z tym dotyczącym Polski fragmentem.

*Nie byłbym lojalny – pisze Marini – gdybym w atmosferze serdecznej gościnności, jaką nas otaczacie, zapomniał o jeszcze jednym przykładzie jawnego gwałcenia praw związkowych, jakie ma miejsce – niestety – w niedalekiej Polskiej Rzeczpospolitej Ludowej. Centrala CISL popierała i nadal popiera walkę „Solidarności” o pluralizm związkowy, i to bynajmniej nie dlatego, by negocjować prawomocność ustroju polityczno-społecznego, odmiennego zgoła od tego, o jakim marzy dla włoskich ludzi pracy, ile raczej dlatego, że przekonana jest, iż niezależnie od tego, gdzie do tego dochodzi, żądanie i pragnienie ludzi pracy, dążących do powołania niezależnej organizacji związkowej zaspokojone być może jedynie przez nich samych. Szczególnie wtedy, gdy pragnienie to objawia się w sposób odpowiedzialny, gdy nie towarzyszy mu przemoc a jedynym środkiem do osiągnięcia własnych celów pozostaje typowo związkowa broń – rokowanie. Przekonanie o słuszności naszego stanowiska umacniają uroczyste proklamowane przez MOP prawa, jakie poszczególne państwa – w tym również PRL – dobrowolnie ratyfikowały.*

#### POCZTA SAMOTNYCH SERC

W organie włoskiej partii komunistycznej dzienniku *L'Unita* ukazał się w połowie lutego dziwny list – od włoskiego następcy tronu, księcia Vittorio Emanuele; niedoszły król, syn ostatniego monarchy Umberto zmarłego na obczyźnie, zwraca się do komunistów, a dokładnie do komunistycznych senatorów i deputowanych, aby pomogli innym partiom obalić jeden z artykułów republikańskiej konstytucji, zakazujący męskim potomkom domu sabaudzkiego powrotu do Italii. Vittorio Emanuele przypomina zasługi swych przaszczurów dla zjednoczenia Włoch i wyraża nadzieję, że czterdzieści lat to wystarczająco długi czas, by komuniści przestali żywić niechęć do monarchii. *L'Unita* list drukuje, czemu nie, nie odmawia sobie jednak komentarza. Czytamy w nim, że komuniści włoscy nadal przeciwni są obaleniu wspomnianego artykułu, skazującego Sabaudów na emigrację, nigdy też im nie zapomną uległości

wobec faszyzmu i wpedzenia Italii w awanturę wojenną.

Jak widać z powyższej historyjki, *L'Unita* stała się ostatnio organem odsuniętych, odepchniętych i niechcianych, nieco wcześniej pisał tu Aleksander Dubczek, teraz niedoszły król... Z przyjemnością na łamach włoskiego dziennika przeczytalibyśmy żale generała Jaruzelskiego, nadesłane, dajmy na to, z Madagaskaru. A na myśl, że mógłby temu towarzyszyć także jakiś komentarz, miody wlewają się do serca!

## ZJAZD WŁOSKIEGO ZWIĄZKU ZAWODOWEGO

Rzym. W dniach 28 lutego - 4 marca trwał tutaj Zjazd CGIL, największej, a więc najbardziej liczącej się włoskiej centrali związkowej. Pomimo że związek znajduje się, jak to powiedziano i na zjeździe, w kryzysowej fazie, liczba jego członków przekracza cztery i pół miliona. Wydarzeniem, które jeśli nie przesłoniło samego zjazdu, to bez wątplenia nadało mu ton, było odejście dotychczasowego - od lat szesnastu - sekretarza generalnego Luciano Lamy. Zastąpił go na tym stanowisku 54-letni Antonio Pizzinato, wybrany co prawda na koniec zjazdu przez delegatów w sposób demokratyczny, lecz wcześniej niestety „desygnowany” przez partię - a więc jako jedyny kandydat... Partia, to oczywiście WłPK - w niedawnej ankiecie 70 % członków CGIL-u utożsamia się z pozycjami tej siły politycznej (15 % stanowią socjaliści, którym w związku z tym „należy się” stanowisko pierwszego wicesekretarza; są w CGIL elementy bardziej na lewo od komunistów, a także - ciekawe - jeden procent chadeków). Pizzinato należy do partii od 1948, od 1972 wybiera karierę związkową. Wcześniej, w latach szesćdziesiątych, przebywał w Moskwie, gdzie studiował ekonomię i socjologię; tym, którzy nazywają go w związku z tym „Rosjaninem”, odpowiada, że był tam po 1956 roku, a więc po XX zjeździe KPZR...

Luciano Lama, którego działacze „Solidarności” mieli okazję poznać na zjeździe w Gdańsku i który później nie szczędził dowodów sympatii dla polskich ludzi pracy, szczególnie po 13 grudnia, przeszedł do pracy w aparacie partyjnym. Nie wiadomo jeszcze, do jakiej przystanie „frakcji”, przypuszczalnie usytuuje się „na prawo”, ma bowiem opinię „socialdemokraty”. Miejmy nadzieję, że i na nowym miejscu - i w nowej, kto wie, jakiej roli (nie zapominajmy, że Lama po śmierci Berlinguera był kandydatem bazy na stanowisko sekretarza WłPK, przeciwnikom tej kandydatury sprzyjało, że był wówczas zajęty w związkach zawodowych, teraz będzie wolny) Lama nie zapomni

o przyjaźni, jaką okazywał Lechowi Wałęsie i dziesięciu milionom jego kolegów.

W każdym razie w pożegnálnym przemówieniu Lama pamiętał o tych, którzy - jak Polacy - z utęsknieniem, ale nie biernie wypatrują wolności związkowych. Powiedział na ten temat m. in.: *Tam, gdzie ruch związkowy nie posiada należytej mu autonomii, usycha demokracja, reżym zaś pozabawia się siły decydującej o autentycznym postępie. Związki zawodowe przymusowe, podporządkowane rządowi bądź zależne od partii politycznych, mogą występować jedynie - w obronie reżymu, system zresztą wchłonie je, sprowadzając do roli odgałęzienia administracji państwowej. W wielu krajach świata nadal istnieje tendencja do zdominowania związków zawodowych, a tam, gdzie ludzie pracy dopominają się o prawo do organizowania się, władza ucieka się najczęściej do prześladowań.*

Na zjeździe CGIL, wśród ponad stu trzydziestu delegacji zagranicznych, nie zabrakło Polaków; organizatorzy świadomie nie zaprosili delegacji OPZZ, a „Solidarności” reprezentował Jerzy Milewski z biura w Brukseli (towarzyszyl mu przedstawiciel biura rzymskiego). Milewski mówił o obecnej sytuacji Związku i w Związku, o pracy podziemnej i ryzyku, jakie niesie ona z sobą, lecz jest niezbędną do tego, aby gdy któregoś dnia przyjdzie działać jawnie, działalność ta była również skuteczna. Mówił o sztykanach w stosunku do członków „Solidarności” i ich rodzin, o uwięzionych. Podkreślił, że pomimo represji, „Solidarności” pozostaje wierna zasadom walki środkami pokojowymi, nadal w dialogu i kompromisie widzi możliwość przełamania impasu. Wyraził również nadzieję, że prowadzona w ten sposób walka „Solidarności” przyczyni się do światowego pokoju, który - na Wschodzie i na Zachodzie - budować trzeba wspólnie. Jak mówią siedzący blisko nowego sekretarza generalnego CGIL, przyjął on przemówienie Milewskiego bardzo życzliwie. Po prostu mu się podobało.

Odczytano również list do delegatów, nadesłany przez Lecha Wałęsę (zostanie on włączony do dokumentów zjazdu), wcześniej na adres zjazdu nadszedł list od Grupy Międzyzwiązkowej. Ślad zainteresowania CGIL-u „sprawą polską” pozostanie również w uchwałach zjazdu. Delegaci przyjmując uchwałę w sprawie „Obrony wolności ludów i praw związkowych”, zaaprobowali jednocześnie jej piąty punkt, w którym stwierdzono, co następuje: *Rola związków zawodowych w Polsce domaga się dla nich pola samodzielnego działania. Mamy tutaj na myśli samodzielny i niezależny związek, który po pięciu latach od Porozumienia Gdańskiego rząd ignoruje, a nawet prześladowuje. Solidaryzujemy się z walczącą o ponowne swoje*

uznanie „Solidarnością”, z jej walką o pluralizm związkowy i demokratyczną odnowę społeczeństwa.

Rzym, 6 marca 1986

## Z Oslo... Paweł Gajowniczek

**GDYBY MAREK ADAMKIEWICZ  
ŻYŁ W NORWEGII**

W Polsce Marek Adamkiewicz za odmowę złożenia przysięgi wojskowej otrzymał 2, 5 roku więzienia. Podobne wyroki otrzymują inni, którzy postanowili postąpić tak samo. Bardzo często skazuje się w PRL ludzi, którzy ze względu na wymogi swej religii nie mogą stosować przemocy (np. Świadkowie Jehowy). Czy w przypadku Marka Adamkiewicza jest to ostatni wyrok, przekonamy się. Być może gdy po wyjściu z więzienia, ponownie odmówi złożenia przysięgi wojskowej, zostanie skazany jeszcze raz.

Co oczekiwałoby go w Norwegii? Sądzę, że jest to w miarę typowy kraj zachodnioeuropejski i przepisy obowiązujące w innych państwach Zachodu są zbliżone.

Po pierwsze, nie ma możliwości skazania kogokolwiek za odmowę złożenia przysięgi wojskowej, bo w armii norweskiej takiej nie ma. Obrona ojczyzny jest po prostu obowiązkiem każdego obywatela. Przysięga wojskowa wprowadzona w PRL starała się przeschęcić Polakom przysięgi składane przez polskie formacje ochotnicze, zarówno powstańcze, legionowe czy konspiracyjne. W rzeczywistości przeschępc ten bardziej przypomina tradycje państw zaborczych, a reakcja Marka Adamkiewicza reakcje legionistów Piłsudskiego, którzy w lipca 1917 roku odmówili złożenia przysięgi na wierność i braterstwo broni państwom centralnym (Niemcy i Austro-Węgry). Reakcja tamtego i obecnego okupanta była bardzo zbliżona – pozbawienie wolności żołnierzy odmawiających złożenia przysięgi.

Wracając jednak do dzisiejszej Norwegii. Młody Norweg, który deklaruje się jako pacyfista, niezależnie, czy robi to z pobudek religijnych, czy ze względu na swoje przekonania etyczne ma prawo ubiegać się o zwolnienie od zasadniczej służby wojskowej.

Rokrocznie, z tych właśnie względów, 2.000-2.500 młodych Norwegów zostaje skierowanych do tak zwanej służby cywilnej. Przez okres równy

służbie wojskowej tzn. przez 16 miesięcy niedoszły rekrut zobowiązany jest pracować np. w służbie zdrowia czy służbach socjalnych. Uposażenie które otrzymuje tak zwany „cywil”, jest bardzo niskie i odpowiada dniówce żołnierza służby czynnej. Nie oznacza to, że ta osoba i jej rodzina, mają umrzeć z głodu.

Odbywający służbę wojskową w cywilu otrzymuje szereg dodatków np. na mieszkanie, nie pracującą żonę, dzieci, pomoc w spłacie pożyczek itp. Bardzo często równolegle pracują zarobkowo. Przykładowo wszyscy trzej „cywile” skierowani do służby w Solidaritet Norge-Polen dorabiali jako dziennikarze. Jeżeli odbywającemu cywilną służbę wojskową mimo wszystko brakuje pieniędzy, to do minimum socjalnego, podobnie jak każdemu mieszkańcowi Norwegii dopłaci mu biuro socjalne.

W jaki sposób można zostać „cywilem”? Osoba deklarująca się jako pacyfista może przed odbyciem służby wojskowej wystąpić do Ministerstwa Sprawiedliwości o zwolnienie od zasadniczej służby wojskowej. Może to również uczynić w dowolnym momencie odbywania służby. Wówczas zostaje ona natychmiast przerwana.

W obu przypadkach po złożeniu zeznań przed policją, która sprawdza, czy powodem jest rzeczywiście pacyfizm, a nie np. chęć wygodniejszego ułożenia sobie życia, sprawę rozpatruje Ministerstwo Sprawiedliwości. Około 90 % wniosków załatwianych jest pozytywnie już na tym etapie. Od decyzji negatywnej przysługuje odwołanie do sądu.

Jeśli i tu sprawa zostaje przegrana pozostają trzy warianty dalszego postępowania:

1. Dobrowolnie odbyć służbę wojskową.
2. Odbyć przymusową służbę wojskową, w tym czasie nie nosi się broni, ale pracuje np. w lesie, rolnictwie itp.
3. Iść do więzienia na okres 3 miesięcy, po czym jeśli dalej odmawia się odbycia służby wojskowej, odbywa się kolejną karę, tym razem 1 rok pozbawienia wolności. Na tej karze zostaje zakończony kontakt delikwenta z wojskiem.

Ci nieliczni, którzy wybrali więzienie (średnio 2-3 osoby rocznie), robią to zapewne z wygodnictwa. Więzienie norweskie bardziej przypomina pobyt w polskim szpitalu. Z tym, że regulamin i warunki są lepsze i znacznie bardziej liberalne. Odwiedziny mogą się odbywać nieskończoną ilość razy. Cele są czyste, dobrze wietrzone i oświetlone. Z reguły są to cele pojedyncze. Spacer, oglądanie telewizji, czytanie książek i prasy są nieograniczone. Regulamin jest tak łagodny, że ostatnio poważnym problemem jest szerząca się wśród więźniów narkomania.

Cele są otwarte, czego efektem częste przypadki zajścia w ciążę kobiet więźniarek. Więźnio-



wie otrzymują przepustki na przykład na święta. Przewiduje się, że najbardziej znany szpieg norweski Arne Treholt \* już w grudniu 1986 otrzyma przepustkę i będzie kilka dni przebywał na wolności.

Podsumowując – 2,5 tysiąca zwolnionych od służby wojskowej w Norwegii odpowiadałoby przy blisko 10-krotnie liczniejszej populacji mieszkańców naszego kraju – 20-25 tysiącom zwolnionych od służby polskich pacyfistów. Wśród nich powinien się znaleźć i Marek Adamkiewicz. Niestety, kraj, w którym żyje, lubi pacyfistów, ale tylko na Zachodzie. ■

\* Arne Treholt został w 1985 roku uznany winnym szpiegostwa na rzecz Związku Radzieckiego i Iraku i skazany na najwyższy możliwy w Norwegii wymiar kary – 20 lat więzienia.

## Z Indii... Hanna Chorążyna

### WŚRÓD PLEMION NA WZGÓRZACH

#### CZEŚĆ I

W poprzednim artykule pisałam o harijanach – bezkastowych – o których społecznie zrównanie tak gorąco upominał się Gandhi. Istnieje jeszcze w Indiach inna grupa ludzi, która jest ekonomicznie i społecznie upośledzona. Są to mieszkańcy lasów na wzgórzach. W Indiach mówi się o nich – ludność plemienna albo girijans. Istnieją powiaty jak np. Wynad w Kerali, gdzie stanowią oni 20% ogólnej liczby mieszkańców, ale bywają i takie, gdzie ich liczba dochodzi do 30%. Ogółem jednak w Indiach nie przekraczają oni 0,5% ludności. Dzielią się na wiele plemion różniących się znacznie nawet fizycznie, a oczywiście także cywilizacyjnie i kulturowo. Część z nich wiodła do niedawna życie pół-nomadów tzn. budując swoje gliniane osiedla co jakiś czas w innej partii lasu. Niektóre, rzadkie grupy, do dziś dnia nie mają żadnego kontaktu z ludźmi spoza swojego środowiska i chronią się w głąb lasu na ich widok. Większość jednak zetknęła się z cywilizacją, gdyż ludność z dolin posuwała się w głąb lasów, by zdobyć tereny pod uprawę, także Anglicy zakładali na wzgórzach plantacje kawy i herbaty. Od drugiej wojny światowej, gdy Indie odzyskały niepodległość, lasy podlegały ochronie, więc i proces wypierania girijanów został powstrzymany. Władze państwowe wzięły ich pod opiekę i przydzieliły

małe działki leśnego gruntu, ale oni nie przyzwyczajeni do uprawiania ziemi przeważnie ją zaniedbali, a w niektórych wypadkach sprzedawali za bezcen ludzimi spoza ich kręgu. Girijanie, którzy żyją na pograniczu lasów, najczęściej poszukują teraz pracy jako niewykwalifikowani robotnicy – kuli. Od cywilizacji przejmują na ogół to, co najgorsze przede wszystkim alkohol, który bądź kupują, bądź wyrabiają sami, a także szukają łatwych zarobków w prostytucji. Należą do ludzi najbardziej w Indiach wykorzystywanych, gdyż nie znają wartości pieniędzy i za używany radioodbiornik albo tani zegarek z drugiej ręki mogą zapłacić równowartość długiego okresu swojej pracy. Jeśli prowadzą jakiekolwiek uprawy, sprzedają je na ogół na pnium, a także dają w zastaw swoje narzędzia i naczynia kuchenne, a nawet domy. Produkty leśne jak miód i rośliny mające znaczenie lecznicze skupowane są u nich za bezcen. Eksploatacja tych ludzi nie tylko się nie zmniejsza, a raczej zwiększa z biegiem lat. W Kerali istnieje przysłowie: „Prowadź interesy z 10 osiedlami plemiennymi, a można być zabezpieczonym na zawsze”.

Girijanie żyją w małych leśnych osiedlach złożonych z 15-25 glinianych domków. Całe osiedle stanowi jeden klan rodzinny prowadzący odrębne życie i posiadający własne tradycje. Różnią się nawet trochę językowo i obyczajowo od mieszkańców innych osiedli tego samego plemienia. Wszędzie jednak jest miejsce dla rytuału religijnego – bądź na zewnątrz, na wyznaczonym dla tego celu miejscu, bądź pod dachem, a czasem nawet w specjalnie pobudowanym domu. Ceremonie urodzin, osiągnięcia dojrzałości, małżeństwa i pogrzebu są poświęcone Bogu i odchodzone ze śpiewami i tańcami. Oczywiście girijanie mają dużo przesądów, jak wszystkie ludy żyjące z dala od cywilizacji. Podczas obłożnej choroby najstarszy we wsi wygania złego ducha z chorego. Ten rytuał odbywa się wśród śpiewów o wysokich tonach i gwałtownych tańców. Przed zbiorami i polowaniem odmawia się też specjalne modlitwy.

W jednym z plemion zwanym Mullukurumas na wzgórzach Kerali najstarszy we wsi określa, w jakim kierunku ma się iść polować oraz rodzaj i wielkość zwierzęcy, którą można zabić. Te polecenia są ściśle przestrzegane jako dane przez Boga. Polują oczywiście przy pomocy łuków, ale w ostatnich czasach niektórzy mają już strzelby. Na ptaki zastawiają sieci. Kobiety z tego plemienia są specjalistkami w oszołamianiu ryb, które następnie dają się łapać. To plemię należy do najbardziej cywilizowanych, osiedla ich są czyste, chaty dwuizbowe, chociaż bez okien, strych przeznaczony na zbiory. Są serdeczni i gościnnie zapraszają do wnętrza ciemnej chaty, w której rogu

jest palenisko. Przynośli sobie najszybciej hodowlę i uprawę roli.

Najliczniejsze plemię w powiecie Wynad, zwane Paynas, należy do najprymitywniejszych i jest najbardziej wykorzystywane. Boją się dzikich zwierząt, więc na nie nie polują, a tylko łapią króliki, kraby, szczury. Chaty mają bardzo małe, jednoizbowe. Rozpoznać ich można łatwo, bo zarówno mężczyźni, jak i kobiety mają na głowie dużą, brudną szopę kręconych włosów. Nie przyswoili sobie zupełnie uprawy roli ani hodowli. Wielu z nich pracuje obecnie w charakterze robotników rolnych. Praca społeczno-kulturalna wśród nich jest trudna, gdyż nie odczuwają potrzeby przemian, a przynajmniej nie na tyle, by zdobyć się na wysiłek dla poprawienia swego bytu. W osiedlach Paynas panuje stosunkowo duża swoboda seksualna. Dość często zdarzają się rozwody, co rzadko spotyka się u Mullukurumas, a zupełnie jest obce wsi indyjskiej. Zawarcie drugiego małżeństwa jest u Paynas znowu uroczyste obchodzone w obecności całego klanu. Wiek małżonków nie odgrywa w nich zasadniczej roli. Mówiono mi o małżeństwie 17-letniego chłopca z 70-letnią kobietą, co bez oporu zostało zaakceptowane przez środowisko. Girijanie są silni, długo zachowują sprawność fizyczną, a długowieczność zdarza się wśród nich częściej niż na równinach. Jednak śmiertelność jest wśród nich duża, szczególnie wśród niemowląt. W niektórych plemionach, w odległych od dróg komunikacyjnych osiedlach zachował się zwyczaj, że kobieta odbywa poród samotnie w lesie. Zdarzały się wypadki pożarcia noworodka przez dzikie zwierzęta. Przypomina to podobne obyczaje wśród Nomadów na Saharze, gdzie kobieta szła dokonać rozwiązania w piaskach pustyni.

W powiecie Wynad żyje 16 różnych grup plemiennych. Niektórzy rozróżniają 5 głównych, a inne traktują tylko jako zróżnicowanie poprzednich. Wspominałam tu tylko o dwóch grupach plemiennych, dlatego że one najbardziej różnią się między sobą. Miałam także sposobność odwiedzić osobiście kilka ich osiedli. Nawiązałam kontakt ze stowarzyszeniami w powiecie Wynad i sąsiednich, które prowadzą akcję pomocy dla Girijanów. Wśród działaczy oddanych tej sprawie spotkałam wielu interesujących ludzi. O ich pracy i jej rezultatach napiszę następnym razem.

Styczeń, 1986 rok

**CZY-TAJ** **Pogląd**

## notatki

### ZACHODNIOBERLIŃSKIE TOWARZYSTWO OBRONY PRAW CZŁOWIEKA Z POMOCĄ POLSCE

Zachodniobierlińskie Towarzystwo Obrony Praw Człowieka zajmuje się z uwagi na graniczne położenie swej siedziby przede wszystkim sprawami państw Bloku Wschodniego. Problemy polskie zajmują w działalności tej organizacji szczególnie ważne miejsce. A kierującą nim mieszkanka Berlina nosi nazwisko – Petra Dombrowski i choć, jak twierdzi, jest to przypadek, bo nazwisko wiąże się z pochodzeniem przodków jej męża, dla polskiego ucha brzmi ono mile. Właśnie realizowana jest kolejna akcja, zainicjowana przez berlińskie Towarzystwo Obrony Praw Człowieka kilka lat temu, a mająca na celu przesyłanie dwa razy do roku przez prywatne osoby świątecznych paczek rodzinom więźniów politycznych oraz pozbawionym pracy polskim intelektualistom, dziennikarzom i artystom. Pozyskano do tej akcji na stałe ponad 200 zachodniobierlińskich rodzin niemieckich, które podjęły się patronatu i nawiązały w tym czasie bliższe i bezpośrednie już kontakty korespondencyjne. Teraz z okazji zbliżających się świąt wielkanocnych odchodzą do Polski kolejne przesyłki z darami, dowody nie tylko materialnej chęci pomocy, lecz także zrozumienia i zyciowości.

(jh)

### NOWA ORGANIZACJA EMIGRACYJNA

*Biuletyn Informacyjny Międzyzakładowej Komisji Koordynacyjnej NSZZ „Solidarność” Region Pomorza Zachodniego – Szczecin* dnia 7 lutego 1986 r. zamieszcza notatkę pt. „Cenna inicjatywa” – „Niewiele informacji dociera do nas na temat życia i działalności emigracji solidarnościowej (...), dlatego też z satysfakcją informujemy, że emigracyjna grupa związkowców z Regionu Pomorza Zachodnie wystąpiła z projektem utworzenia Emigracyjnego Klubu „Solidarność”. (...) Życząc organizatorom i członkom Klubu sukcesów w ich działalności, będziemy informować naszych czytelników na bieżąco o przejawach tej działalności”. Tyle *Biuletyn Informacyjny* (skrótów dokonała nasza redakcja).

Sygnatariusze apelu powołali w listopadzie 1985 roku Biuro Organizacyjne Emigracyjnego

Klubu „Solidarność” – adres: Krzysztof Jagielski, Neukoellner Str. 266, 1000 Berlin 47.

Zasadniczym celem pracy Klubu jest skupienie emigracji związkowej NSZZ „Solidarność” z całego świata, najogólniej mówiąc tych, którzy otrzymali azyl polityczny, a którzy nie złożyli mandatu związkowego, a więc w dalszym ciągu spoczywa na nich obowiązek działalności związkowej. Struktura organizacyjna Klubu będzie taka jak NSZZ „Solidarność” – pełna autonomia poszczególnych ogniw Klubu ze wspólnym statutem i ordynacją wyborczą.

Klub powstaje tak jak tworzył się NSZZ „Solidarność” - poprzez samodzielne budowanie się od DOŁU. Biuro Organizacyjne Klubu oczekuje więc nie tylko zgłoszeń osobistych, ale i propozycji dotyczących kształtu i działania Klubu.

(tj)

## WIECZÓR AUTORSKI MARIII KURECKIEJ

5 marca br. w berlińskiej galerii DAAD (Deutscher Akademischer Austauschdienst – niemiecka organizacja d/s wymiany naukowej i kulturalnej) odbył się wieczór autorski, żyjącej od prawie szesnastu lat w Berlinie Zachodnim polskiej poetki, tłumaczki literatury niemieckiej i krytyka literackiego w jednej osobie – Marii Kureckiej.

DAAD znana jest – zarówno w Berlinie Zachodnim, jak i w Polsce – z wieloletnich zasług w dziedzinie upowszechniania polskiej literatury w Niemczech i prezentacji jej twórców. Prawie co roku przyjeżdżają tu na wielomiesięczne stypendia krajowi pisarze. Pierwszym polskim stypendystą DAAD był w roku 1967 poeta i pisarz, nieżyjący już dzisiaj, Witold Wirpsza. Spośród reprezentantów polskiej literatury, których gościła berlińska organizacja wymienić należy chociażby tych najsłynniejszych: Jacka Bocheńskiego, Włodzimierza Odojewskiego, Kazimierza Brandysa czy Wiktora Woroszyńskiego.

Zeszlórocznym stypendystą DAAD był Andrzej Braun, tegorocznym zaś jest przybyły przed paroma dniami do Berlina Julian Kornhauser. Wieczór autorski Marii Kureckiej przeznaczony dla niemieckiego odbiorcy, zgromadził zarówno przedstawicieli berlińskiego świata literatury, dziennikarzy i krytyków tutejszych czasopism, jak i Polaków – i to zarówno przebywających tu gościnnie, jak poeta Leszek Szaruga czy wspomniany już Julian Kornhauser, jak i na stałe związane z Berlinem dziennikarzy i artystów.

Swój, wygłoszony w języku niemieckim, wykład poświęcił Maria-Kurecka zagadnieniu literackiego przekładu omawiając je na przykładzie tłumaczenia *Doktora Faustusa* Tomasza Manna.

*Prawie trzy lata, a więc niemal tyle, co autorowi książki zajęło jej napisanie, pracowaliśmy z mężem (W. Wirpszą – przyp. red) nad jej tłumaczeniem – mówiła Maria Kurecka. Przypomniła w ten sposób problemy pracy tłumacza, o których pisała wcześniej w opublikowanej w Wydawnictwie Poznańskim książce pod tytułem *Diabelne taraty*.*

Owe „diabelne taraty” związane są zresztą nie tylko z przekładami. Jako specjalistka w dziedzinie twórczości Tomasza Manna jest również Maria Kurecka autorką szczegółowej monografii o nim. Żadne krajowe wydawnictwo nie zdecydowało się wszakże na publikację tej książki, kiedy Maria Kurecka i Witold Wirpsza pozostali na stałe w 1970 roku w Berlinie Zachodnim. Znosi się jednak na to, iż monografia o Mannie ukaże się nakładem jednego z emigracyjnych wydawnictw.

(zet)

## EDMUND BAŁUKA W RFN

Na zaproszenie bawarskiego oddziału niemieckiej centrali związków zawodowych DGB, przebywał w RFN Edmund Bałuka, przewodniczący Komitetu Strajkowego szczecińskich stocznicowców w roku 1970, a od 1980 działacz „Solidarności” w Szczecinie. Edmund Bałuka był po 13 grudnia internowany, po czym skazany na 5 lat pozbawienia wolności za rzekome przygotowania do obalenia siłą władzy. Zwolniony latem 1984 na mocy amnestii, od 10 miesięcy przebywa we Francji, gdzie działa w komitecie pomocy dla niezależnych związków zawodowych w bloku wschodnim przy francuskiej centrali związkowej Force Ouvrier. Współpracuje również z nowym francuskim czasopiśmie *Diagonale. Est-Ouest*, które zajmuje się sprawami niezależnego ruchu robotniczego oraz sytuacją w krajach komunistycznych. Miesięcznik *Diagonale* przeznaczony jest przede wszystkim dla szerokich mas związkowców francuskich.

Edmund Bałuka



Edmund Bałuka spotkał się z niemieckimi działaczami związkowymi – 16 i 17 marca w Monachium, 19 – w Kolonii. 18 marca odbyło się podobne spotkanie w Berlinie, na które został zaproszony przez działaczy IG Metall. Bałuka przedstawił sytuację polskich niezależnych związków, oraz mówił o obecnej sytuacji w Polsce. Wiele niemieckich działaczy związkowych zakończonych było przede wszystkim relacjami płać i cen oraz rozmiarami represji w stosunku do działaczy „Solidarności”, o czym niestety nie zawsze i nie w pełni informuje prasa niemiecka.

W trakcie spotkania w Berlinie, związkowcy niemieccy z DGB sformułowali list protestacyjny



Spotkanie z Bałuką: tłumaczem był E. Klimczak

do rządu PRL oraz do polskich placówek dyplomatycznych z żądaniem umożliwienia przedstawicielom DGB zapoznania się z systemem penitencjarnym w Polsce, przede wszystkim tych zakładów karnych, w których przebywają więźniowie działacze podziemnej „Solidarności” oraz represjonowani za działalność polityczną. W liście żądano również zwolnienia ze szpitala więziennego i przeniesienia do normalnego szpitala Czesława Bieleckiego, który od 5 miesięcy prowadzi głodówkę protestacyjną. Uczestnicy spotkania zebrali też sumę 550 marek na pomoc „Solidarności”.

(jk)

## VII ZJAZD PISARZY NIEMIECKICH – BERLIN ZACHODNI

W dniach od 14 do 16 marca 1986 odbył się w Berlinie Zachodnim VII zjazd Związku Pisarzy Niemieckich, normalna z pozoru statutowa impreza, połączona z wyborem nowych władz. Normalność owego – nawet niezbyt ważnego zgromadzenia

(tutejsze gazety poświęciły mu kilka zaledwie linijek) została jednak zakłócona na samym wstępie przez... politykę światową. Na zjazd zaproszeni zostali bowiem goście – koledzy pisarze z innych związków literatów – w tym również z ZSSR i NRD. Pisarze sowieccy nie przyjęli zaproszenia, gdyż jak podała *Literaturnaja Gazeta – Kongres odbywać się będzie na terytorium nie należącym do Republiki Federalnej Niemiec*. Z punktu widzenia Wschodu Berlin Zachodni ma status dziwoląga politycznego i nie należy do RFN (w przeciwieństwie do Berlina Wschodniego, który z całą pewnością należy do Niemiec Wschodnich i nawet „służy” jako stolica). Skoro zaś Berlin Zachodni nie należy do Niemiec Zachodnich, to pisarze zachodniemieccy nie mają prawa tam się zbierać.

NRD postanowiła więc, że wzorem Moskwy i pisarze z Berlina Wschodniego nie pojedą do „ziemi niczyjej”, jednakże, aby nie zakłócać dobrze rozwijających się niemiecko-niemieckich stosunków, odmowie towarzyszyło stwierdzenie, że *pisarzem z NRD nie odpowiada termin zjazdu*.

Od lat już pisarze zachodniemieccy propagują ideę wspólnego oblicza kultury w całej Europie środkowej, stąd zażyłe kontakty z twórcami z krajów Bloku Wschodniego zarówno emigracyjnymi, jak i mieszkającymi na stałe w Polsce, Czechostowacji, ZSSR czy na Węgrzech. I dlatego też nie tylko zaprosili na swój zjazd gości ze Wschodu, ale popołudnie pierwszego dnia obrad poświęcone zostało Europie środkowej. Z referatami na ten temat wystąpili: Lew Kopelew, przybyły z Węgier Gyorgy Petri, przebywający na stałe w Wiedniu czeski pisarz Pavel Kohut; Szwajcar Hermann Burger; Belg – Pierre Mertens oraz gość z Polski – Julian Kornhauser.

Dyskusja nie była – jak się zdaje – zbyt owocna. Dziennikarka berlińska liberalnego *Tagesspiegel* nazwała ją wręcz nudną i rozwlekłą, a zgromadzeni pisarze doszli do zgodnego ponoc wniosku, że *kultura w Europie rozpada się*.

Najbardziej wstrząsające wrażenie zrobiło wystąpienie Lwa Kopelewa, pisarza rosyjskiego, od kilku lat przebywającego na przymusowej emigracji w RFN. Poinformował on zebranych, że aktualnie w ZSSR przebywa w obozach bądź na zesłaniu 105 pisarzy i dziennikarzy rosyjskich, których jedynym przestępstwem było – jak powiedział Kopelew *pisanie prawdy*. Uwolnienia pięciorga z nich – Iriny Ratuszńskiej, Anatolija Marcenki, Leonida Borodina, Lwa Tomofiejewa i Mykoły Rudenki – zażądali w specjalnym memoriale zgromadzeni na zjeździe pisarze.

(ems)

# Listy do redukcji

Schwenningen, 1. 04. 86

Komunistyczni szpiezy, konfidenti i ich donosiciele są tylko narodową zakałą każdego komunistycznego społeczeństwa. Do tej grupy należą ludzie celowo do swych zadań i zleceń przygotowani i szkoleni. Przechodzą różne testy wytrzymałościowe, a więc są to próby ukrycia kłamstwa. Dla nas emigrantów w bezpośrednim zamiarze są oni nieosiągalni, ale mimo wszystko wydaje mi się, że istnieją sposoby ich demaskowania, nawet bez stosowania „testów” do wykrywania kłamstw. Zaczynam więc od szpiegów. Mam na uwadze tylko komunistycznych. Ci przyjeżdżają na Zachód z zadaniami ściśle wyznaczonymi i na pewno zupełnie tajnymi. (...)

Polscy młodzi emigranci muszą zdać sobie sprawę (przynajmniej powinni), że komunistyczni szpiezy są i wśród nas. (...) Dlaczego musimy wiedzieć o istnieniu szpiegów? Po pierwsze: dyskretnie kontrolują w obozach dla uchodźców politycznych nasze rozmowy, dyskusje, a nawet korespondencję. Czasami też znużeni i zmęczeni samotnością zapraszają nas do wzięcia udziału w spacerze po parku, gdzie znajdują się „amerykańskie pola radarowe” w Berlinie Zachodnim. Poprzez smętne dyskusje przyczyniają się do powstawania wśród nas sytuacji stresowych. Często sieją zamęt. (...)

Jak ich zdemaskować? Po czym ich poznać? Najczęściej mają myszujące po kątach i świecące się oczka, a gdy komuś spojrzysz się w oczy, to jego wzrok jest metny i bez wyrazu. Z pozoru są opanowani, ale na codzień bardzo podnieceni, jakby się czegoś bali. Często też próbują być innymi od wszystkich. Dlatego też wyrażają dziwne i czasami skrajnie zainteresowania; wczytują się w Biblię, w jakieś filozoficzne książki, interesują się też elektroniką ale są to tylko pozory. Czasami też po prostu „grają” przystawionych wariatów i jest ich to cała aktywność. Ich rozmowa (mowa?) niczego nie sugeruje, nikogo też nie poucza, ani nie demaskuje. Mówią oni po prostu, by mówić. W tej mowie to jak w obecnym polskim jażdżospisie – jest ciasto i są kluski, ale mięso nieosiągalne.

Konfidenti w przeciwieństwie do szpiegów są bardzo aktywni. Najczęściej sami wyznaczają sobie zadania. Dlatego też konfidenti są kandydatami na szpiegów. Konfidenti w swych dyskusjach są z pozoru szczerzy, rzeczowi i konkretni, chociaż czasami wyrafinowani. Ci już stawiają pytania zdecydowanie. (...) Jak ich wykryć i zdemaskować? Bardziej od szpiegów rzucają się w oczy. Są z pozoru bardzo impulsywni i aktywni. Udzielają się też politycznie i publicznie (piją dużo alkoholu, chociaż nigdy nie na umór). Dlatego też należą ich gniebić ciągłymi pytaniami, zaciągać porad, pokazywać swoje papiery i natchmisiast powiadać o tym nadzrędną władzę federalną w Niemczech. Konfidenti zdradzają się swym wyrafinowanym gadulstwem i świadomie sterowanymi dyskusjami, gdzie się nam narzucają. Należy im utrudniać pracę! W jaki sposób? Zadawać mnóstwo głupich pytań i należy je powtarzać zmieniając tylko ich formę. Ponadto konfidentów należy psychicznie męczyć i szantażować. Trzeba świadomie, choć dyskretnie rozpowiadać wszystkim Polakom w obozie (w mieście), że X i V to komunistyczni

agenci. Gdy cię ktoś (konfident) o to zapyta jakie masz dowody, mów, że to nieprawda i dręcz go dalej. Nie bój się konfidenta, on ci nic nie zrobi, bo on się boi jeszcze bardziej od Ciebie. Konfidentów należy nawiać, a nawet wręcz zmuszać do picia alkoholu. (...)

Apeluję do całej polskiej emigracji na Zachodzie (szczególnie młodej) o powiadomienie lokalnych władz o istnieniu zdekonspirowanych przez was komunistycznych szpiegów i konfidentów. Nie wstydźcie się też powiadomić o tym polskich ambasad i jeżeli się boicie, to czyńcie to anonimowo, ale czyńcie! Nikt nie wam za to nie zrobi!

Piotr Gadzina

Monachium, 1 kwietnia 1986

Drogi Redaktorze Naczelny!

Od dłuższego czasu czytam z rosnącym niepokojem Wasze pismo. Do prawdziwej pasji doprowadził mnie artykuł pióra niejakiego Jana Krukowskiego (*Pogład* nr 3/206) pod tytułem „Obrona Częstochowy”. Otdł pan Krukowski pisze: „...wierny Soroka posłał się bobem, który uzyskał w wyniku techniki 'recycling' (rozpowszechnionej z powodu panującego na Jasnej Górze głodu)”. Pytam, w czym interesie leży publikacja fragmentów tajnych archiwów z klasztoru jasnogórskiego wyrywkowych i na dodatek fałszywych. Jako, długoletni odzwierny klasztoru wielokrotnie czytałem dla zabicia czasu foliarty i dokumenty – także te dotyczące obrony Częstochowy przed Szwedami. Przypadek sprawił, że wziętem sobie na pamięćko po wioletniej służbie, oważ księgę pisaną przez opata Wychowskiego pt. „Relacja o spłynięciu tużdziej napitkach klasztornych w czas Szweda naporu ex delirium”. Oto fragment, który zaświadczają, iż wierny Soroka nie w musu, ale fantazji, tudzież dziwnych upodobań smakowych spożywał już raz przetrawiony bób. Cytuje: „Obłężenia dzień 113. Wydano: Kmiciowci – półgęski dwa; barszczu garnce dwa, kapłona pół, piwa antaek jeden... wiernemu Soroce bobu miarki dwie, wiewprzowych łbów trzy...”. Koniec cytatu.

Ha, Szanowny Redaktorze, gdzież to prawdy, gdzie? Niejaki Krukowski kpi sobie w żywe oczy z gwałdy historycznej. Dopóty dzban wodę nosi dopóki się ucho nie urwie – niniejszym rezygnuję z prenumeraty *Pogład*.

Z uszanowaniem  
Wincenty Turbowoń

Haarlem, 1 kwietnia 1986

Redakcjo, proszę o zamieszczenie niniejszego oświadczenia:

## OŚWIADCZENIE

Ja, Anatol Mucha, syn Edwarda oświadczam: wbrew pogłoskom rozpущonym przez niejakiego Koryckiego Bogdana nie jestem Murzynem. Co prawda mam jak na Polaka bardzo ciemną skórę, ale bierz się to stąd, iż chorowałem w dzieciństwie na *pigmentosis extra ordinarius*. Niejaki Korycki Bogdan oczernia mnie wśród wpływowych kół emigracyjnych (patrz *Kultura* nr 13/85), iż jakoby „potajemnie gram na tam-tamie i otrzymuję listy z Madagaskaru”. Wszystko to są wierne bzdury. Ja też nie lubię Murzynów i jestem prawdziwym patriotą.

Z poważaniem  
Mucha Anatol

# Listy do redakcji

Essen, 14. 03. 1986

Szanowny Panie Redaktorze!

Bardzo prosimy o opublikowanie naszego listu na łamach *Poglądu*.

Jesteśmy działaczkami organizacji politycznej PSL i SPK w RFN działających na emigracji od zakończenia II wojny światowej.

Jako nowa fala emigracji politycznej z Polski jesteśmy zobowiązani do kontynuowania tradycji walki politycznej prowadzonej przez starszą generację w oparciu o ich wieloletnie doświadczenie i dostosowanie metod walki do aktualnej sytuacji.

Nasze koło nr 512 SPK z obecną siedzibą w Essen wraz z PSL prowadzi prężną działalność na obszarze Nadrenii-Westfalii. Ostatnio nawiązaliśmy kontakty z podobnymi organizacjami politycznymi w Stanach Zjednoczonych i Francji.

Pragniemy wymiany doświadczeń oraz wzmocnienia koordynacji i wspólnych akcji z tymi organizacjami. Chcemy również poszerzyć nasze koło i dlatego bardzo prosimy wszystkich chętnych pragnących współpracy o nawiązanie kontaktu z nami.

Łączymy wyrazy szacunku. Stali czytelnicy

Ewa i Adam  
Mrozowski  
Propsteistr. 1  
4300 Essen 16

Odpowiedzi redakcji: Pani Iwona Krakowska-Kampen i p. Andrzej Kucharczyk z Kabelhorst (RFN). „Listu Otwartego” z podziękowaniami za pomoc otrzymaną od działaczy polonijnych w Szwecji p.p. Władysława Nowika, Zygmunta Kraczkowskiego oraz Wiesława Smoleńskiego nie ogłosimy, gdyż ma on charakter prywatny. ■

## FUNDUSZ WYDAWNICZY „POGLĄDU”

Każde wydanie „Poglądu” ukazuje się również w wersji zminiaturyzowanej z przeznaczeniem dla Czytelników w kraju.

*Los wolnego słowa w Polsce zależy więc również od Czytelników i Prenumeratorów „Poglądu”.*

Każda, nawet najmniejsza wpłata na fundusz wydawniczy pozwoli zwiększyć nakład naszego dwutygodnika na kraj.

Nazwiska ofiarodawców będziemy publikować.

Wpłaty prosimy kierować na konto:

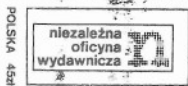
„Gesellschaft Solidarność” e.V.  
„Pogląd”  
Sparkasse der Stadt Berlin West  
Konto Nr 122 001 238 2  
BLZ 100 500 00  
lub  
Postscheckkonto  
586 90-102  
BLZ 100 100 10  
Postscheckamt  
1000 Berlin (West)

1. Mieczysław Jaszczuk, Witten DM 25,-
2. Peter Fiedler, Berlin DM 10,-
3. Beziemiennie z Guetersloh na rozwój czasopisma DM 10,-
4. Na „Solidarność” w kraju Jacek Wyrwiak, M. Lach, J. Chmielewski, Bonn DM 20,-
5. Na „Solidarność” w kraju. Beziemiennie Bremerhaven DM 50,-

*Ofiarodawcom serdecznie dziękujemy!*



POLSKA 302f  
Rozpr. Szopienicka



POLSKA 45d  
Rozpr. Szopienicka



POLSKA 20f  
Rozpr. Szopienicka



POLSKA 55d  
Rozpr. Szopienicka



POLSKA 35f  
Rozpr. Szopienicka



POLSKA 40f  
Rozpr. Szopienicka



POLSKA 25f  
Rozpr. Szopienicka



POLSKA 30f  
Rozpr. Szopienicka

„Pogląd” ukazuje się od stycznia 1982 roku (do października 1982 roku, jako „Biuletyn Informacyjny” Komitetu Obrony Solidarności) i jest niezależną publikacją Towarzystwa Solidarność e.V. — Zrzeszenia zarejestrowanego w Berlinie Zachodnim, mającego na celu obronę praw do zakładania niezależnych związków zawodowych oraz obronę praw człowieka w Europie Wschodniej.

#### Fragmenty § 2 Statutu Towarzystwa

Zrzeszenie jest ponadpartijne i realizuje w swej działalności wyjątkowo cele użyteczności publicznej, jakimi są:

1. Popieranie niesienia pomocy dla osób prześladowanych z przyczyn politycznych, rasowych i religijnych, dla uchodźców i wysiedleńców, przede wszystkim z krajów Bloku Wschodniego, a w szczególności z Polski.
2. Propagowanie tolerancji w dziedzinie kultury oraz rozpowszechnianie idei porozumienia między narodami w celu pokojowego ich współistnienia. (...)
3. Propagowanie zbliżenia kulturowego pomiędzy narodami, a w szczególności między Polakami i Niemcami. (...)
4. Popieranie ruchów demokratycznych w państwach totalitarnych, przede wszystkim w Polsce i krajach Bloku Wschodniego. (...)
5. Zrzeszenie realizuje swoje cele poprzez uświadamianie i popularyzowanie idei demokratycznych i kultury politycznej. W tym celu:
6. Zrzeszenie rozprowadza swoje czasopismo „Pogląd” — „Meinung” w kraju i za granicą. Zadaniem czasopisma jest informowanie o tendencjach rozwojowych w Polsce i w państwach totalitarnych, przede wszystkim w tych, które należą do Bloku Wschodniego, jak również ma na celu stworzenie forum dla prześladowanych, wysiedleńców oraz uchodźców z tych krajów. (...)
7. Zrzeszenie ma zamiar dokonywać analiz sytuacji w krajach totalitarnych, poprzez organizowanie sympozjów i wykładów oraz publikowanie ich rezultatów w celu informowania opinii publicznej. (...)

#### Cena pojedynczego egzemplarza bez wysyłki:

Australia . . . . .	2,5 \$A
Austria . . . . .	30 ÖS
Belgia . . . . .	85 bfr
Dania . . . . .	15 dkr
Francja . . . . .	15 FF
Holandia . . . . .	5 fHl
Norwegia . . . . .	13,5 nkr
RPA . . . . .	2,5 R
Szwecja . . . . .	15 skr
USA . . . . .	2,5 \$
Wielka Brytania . . . . .	1,2£

#### PRENUMERATA

RFN:	
kwartalna . . . . .	DM 27,-
półroczna . . . . .	DM 52,-
roczna . . . . .	DM 85,-
Kraje europejskie:	
półroczna . . . . .	DM 54,-
roczna . . . . .	DM 90,-
USA, Kanada, Afryka, Ameryka Południowa:	
półroczna . . . . .	DM 72,-
roczna . . . . .	DM 120,-
Australia:	
półroczna . . . . .	DM 82,-
roczna . . . . .	DM 140,-

© Wszelkie prawa zastrzeżone. Przedruk i tłumaczenie wyjątkowo z pisemną zgodą redakcji. Zastrzega się prawo skracania nadesłanych materiałów. Materiałów nie zamówionych nie zwracamy. Nawet materiały podpisane nazwiskiem niekoniecznie oddają pogląd redakcji. Odpowiedzialność prasową za artykuły podpisane nazwiskiem ponoszą autorzy. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wysyłkę podejmujemy po przekazaniu należności na konto:

„Gesellschaft Solidarność” e.V.  
„Pogląd”

Sparkasse der Stadt Berlin West  
Konto Nr. 122 001 238 2  
BZL 100 500 00  
lub  
Postcheckkonto  
586 90 - 102  
BLZ 100 100 10  
Postcheckamt  
1000 Berlin (West)

Czytelników w Szwecji prosimy o dokonywanie wpłat na prenumeratę na konto:

Tadeusz Karolak  
Postgiro, Nr. 465 0809—9  
dopisek: POGLAD

OFFSETDRUCKEREI  
Hans-Juergen Wichmann  
Askaniering 155-156  
1000 Berlin 20

CENA DM 4.-

# Pogląd

#### IMPRESSUM

Verleger — Wydawca:  
Gesellschaft Solidarność e.V.  
Geatesstr. 10, D-1000 Berlin 62

Redaktor odpowiedzialny

Edward Klimczak

Adres redakcji

Postfach 62 02 24

D - 1000 Berlin 62

Tel. 030/782 93 84

Przedstawiciele, korespondenci i kolporterzy

AUSTRALIA — Andrzej Lewandowski, 905/32 Dumond Street, Bentley 6102, Tel. 09/3505094;

AUSTRIA — Ryszard Giziowski, Felberstr. 38/19, 1150 Wien.

DANIA — Roman Śmigiełski, Kastelvej 5, 3tv, 2100 Kopenhagen 0, Tel. 01/425184;

FRANCJA — Krystyna Sawczuk, 143, rue Elieane Foulet, 69400 Villefranche s/S, Tel. 74/620945;

KANADA — Krzysztof Kasprzyk, 46 Fuller Ave., Toronto, Ontario M6R 2C3; Marek Przykowski, 4760 Cote des Neiges, Montreal P.Q., H3V 1G3, Tel. 514/7355974;

NORWEGIA — Paweł Gajowiczek, Linderbergsgassen 32b, 1068 Oslo;

RFN — Lucja Abramowicz, Schiederbergstr. 135, 4532 Mettingen, Tel. 05452/3878; Andrzej Baranowski, Riesengebirgerstr. 1, 5300 Bonn 1; Stanisław Brodniecki, Zum Luftsacht 17, 4600 Dortmund 15, Tel. 0231/374673;

ANNA Cykowska, Hammersteinstr. 1, 3000 Hannover 1, Tel. 0511/624038; Andrzej Janiszewski, Suodstr. 8, 5100 Aachen, Tel. 0241/22078; Jerzy Jankowski, Oskar-Maria-Graf-Ring 54, 8000 Muenchen 83, Tel. 089/6371213;

Lech Jarmóła, Postfach 601203, 2000 Hamburg 60; Zygmunt Kuciej, Emdenerstr. 9, 6230 Frankfurt 80, Tel. 069/385975; Jan Kustusz, Graf-Gottfried-Str. 24, 5760 Arnsberg; Tadeusz Leff, Wiemerstr. 307a, 7000 Stuttgart 30, Tel. 0711/8567415; Marek Poliwski, Bachemerstr. 27, 5000 Koeln 41, Tel. 0221/407161; Mirosław Suflida, Wilhelm Bauman Str. 51, 4830 Gutersloh, Tel. 05241/27730; Waldemar Tymoszuk, Alster Arkaden 10, 2000 Hamburg 36; Jacek Wyrwiak, Bruesselestr. 11, 5300 Bonn 1, Tel. 0228/678379;

SZWECJA — Tadeusz Karolak, Box 83, 13525 Tyreso, Tel. 08-7421457;

USA — Piotr Catka, 4855 W 119th, Alsip 60658 Ill. Tel. 312/5972096; Mirosław Marecki, P.O. Box 605a, Holland, MI 49432, Tel. 616/3966207; Tamara Sochacka, 3198 Trowbridge, Hamtramck, MI 48212, Tel. 313/8711686; Andrzej Wiśniewski, 713 N. Rochwell //c, Oklahoma City, O.K. 73127;

WIELKA BRYTANIA — Solidarity with Solidarity, 7 Quintin Av., London SW20 8LD, Tel. 01-6734456;

Postvertriebsstück: A 9878 D  
Gebühr bezahlt  
Poglad, Postfach 620224,  
1000 Berlin 62

W najbliższych tygodniach ukaze się nowość wydawnicza „Poglądu” – Witolda Wirpży „Polaku, kim jesteś?” Zamówienia już dziś można nadsyłać na adres redakcji. Przewidywana cena – DM 25,-. „Książka ta powstała swego czasu z myślą o czytelniku cudzoziemskim – było to w dodatku dość dawno – pierwsze wydanie „Polaku, kim jesteś?” w języku niemieckim ukazało się w roku 1971 w Lucernie. A jednak z czystym sumieniem polecam ją czytelnikowi polskiemu – teraz, w roku 1985. Polecam ją czytelnikowi polskiemu, ale nie każdemu. Nie polecam jej przywiązanemu do znanych stereotypów polskości, takiemu, który w książce ze słowem „Polak” w tytule szukać będzie potwierdzenia tego, do czego jest przyzwyczajony od dziecka i co może nawet zawiera jakąś prawdę, ale tak banalną, że nie warto się nią zajmować, tym bardziej zaś takiemu, któremu wyidealizowana polskość służy do wywyższania się nad innymi, który swój „kompleks polski” (usprawiedliwiony skądinąd kolejami, losu narodowego – wszyscy go w jakimś stopniu dźwigamy) przerobił na ksenofobię, zapiekłą złość i zasklepienie, na wieczną obojętność, wystawianie na pokaz ran i zadraśnięć, pretensje do całego świata o spadające na Polskę plagi. Taki czytelnik książki Wirpży nie przyjmie i nie zrozumie, co najwyżej pogrzyży go ona w głuchej irytacji. Polecam ją takiemu czytelnikowi polskiemu, który lubi myśleć – i którego ciekawi myślenie innych, nawet wtedy, a może zwłaszcza wtedy, kiedy podąża innymi drogami niż jego myślenie. Takiemu, który się nie gorszy i nie oburza ani na oryginalny przewód myślowy, ani na przytoczone fakty, który nie sądzi, że w dziedzinie myślenia o własnym narodzie powinno być przestrzegane jakiegokolwiek tabu, uważa natomiast, że z myślenia zawsze coś dobrego wyniknie, choć to dobro nie musi się od razu zmaterializować w czymś uchwytym i policzalnym”. (Z przedmowy Wiktora Woroszyńskiego)